

Anna
Klejzerowicz

Cień Gejszy



*Wszelkie podobieństwa
do prawdziwych, współczesnych
osób lub zdarzeń są przypadkowe.
Nawet miejsca są tylko
niedoskonałym odbiciem
miejsc rzeczywiście istniejących,
a czas – odbiciem Czasu...*

Czemu tak różne

Wspomnienia niosą zwiewne

Kwiaty wiśniowe

Basho, *Haiku*,
przełożyła Agnieszka Żuławska-Umeda

Prolog 1

Tokio, Japonia, 1905 rok

Wreszcie zapadł zmrok...

Tym razem celowo nie wziął rikszy ani nie wsiadł do jednego z licznie jeszcze kursujących po ulicach Tokio – lub Edo, jak wciąż nazywali swoje miasto konserwatywni mieszkańcy – omnibusów konnych. Nie skorzystał też z elektrycznego tramwaju, którego pierwsze linie otwarto niespełna dwa lata temu, bo tym nowym środkiem transportu przemieszczało się niewielu pasażerów. Ktoś mógłby go zapamiętać. Nietrudno w niemal pustym pojeździe zauważyć rosłego, jasnowłosego Europejczyka! Choć coraz liczniej przyjeżdżali do Japonii, to wciąż jeszcze rzucali się w oczy. A on z całą pewnością nie chciał zwracać na siebie uwagi tej nocy...

Wolał pod osłoną ciemności wtopić się w uliczny tłum. Niejeden raz narzekał w towarzystwie, że na ulicach tego miasta nie można już zaznać ciszy i spokoju, ani w dzień, ani w nocy. Gdy Japonia postanowiła upodobnić się do Zachodu – w tym samym momencie zapragnęła też go przewyższyć.

Dziś jednak zgiełk i ruch były mu na rękę.

Przemykał spieszenie uliczkami biedniejszych dzielnic, narażając się na zaczepki, obelgi, ryzykując, że miejscowe urwisy obrzucą go kamykami. Mijał długie szeregi nędznych, przeludnionych baraków dla biedoty miejskiej oraz należące do rzemieślników lub sklepikarzy małe domki-kramy z miniaturowymi ogródkami na zapleczach. Uliczki były wąskie i nieoświetlone i tylko z rzadka mijał go ktoś z latarnią w ręku, niczym świetlik w ciemnościach. W mroku tonęły także liczne wykopy i zwały budulca, ponieważ całe to zadziwiające miasto stało się w ostatnich latach wielkim placem budowy. Musiał zatem pilnie uważać, by przypadkiem nie skrócić sobie kostki. Nie narzekał jednak – celowo wybrał taką drogę. Dopiero gdy dotarł do bardziej cywilizowanych dzielnic miasta, nie mógł już uniknąć natrętnego światła ulicznych lamp gazowych.

Opuścił kapelusz na czoło, nikt jednak nie zwracał na niego większej uwagi. Budynki były w większości nowe, ceglane, na modłę europejską. Ulice szersze, upstrzone pojazdami, a nieustanny szum, łoskot, furkot rikszy, stukot kopyt końskich – zazwyczaj źródło irytacji – były mu dziś na rękę. Podobnie jak ta kolorowa, hałaśliwa ciżba. Po niedawnym zwycięstwie nad Rosją w mieście wciąż panowała euforia. Mijali go zarówno Japończycy, ubrani w tradycyjne kimona i zachodnie meloniki albo – dla odmiany – w szykowne garnitury do egzotycznych japońskich drewniaków; jak również grupki europejskich dżentelmenów i amerykańskich oficerów, poszukujących nocnych rozrywek. Jakaś wiekowa Japonka, mimo pogodnego jesiennego wieczoru dzierżąca w dłoni otwarty europejski parasol, wyszczerzyła do niego pomalowane na czarno zęby. Wzdrygnął się. Stary, okropny obyczaj, na szczęście już prawie w zaniku.

– *What time is it, sir?* – Gdzieś z dołu usłyszał nagle pytanie, zadane w wątpliwej angielszczyźnie piskliwym dziecięcym głosikiem. O mało nie potknął się o malca. Kawalek dalej tłoczyła się, chichocząc, grupka dzieci. Poirytowany, miał ogromną ochotę odtrącić szczeniaka. Wiedział doskonale, o co chodziło. Japońskie dzieciaki często urządzały sobie takie zabawy na widok białego dżentelmena. Szło im o to, by z bliska zobaczyć zegarek kieszonkowy. Godzina nic ich nie obchodziła. Zawracanie głowy. Powstrzymał jednak narastające uczucie zniecierpliwienia i wyjął swoją cebulę. Podekscytowane dzieci zleciały się jak muchy do miodu, wymieniając między sobą uwagi w swoim dziwnym, szczekliwym języku... Kiedy wreszcie zdołał oderwać się od tych małych żółtych diabłów, ponownie zerknął na cyferblat zegarka i zatrzasnął go z hukiem. Musi się pospieszyć... Jeszcze chwila szybkiego marszu i wreszcie znalazł się na ulicy Ginza.

Była to szeroka aleja prowadząca do dworca kolei żelaznej – Shinibashi. Jako pierwsza zabudowana została na wzór zachodni. Obsadzona rzędami młodych wierzb, otoczona wielkimi domami w stylu kolonialnym, zaopatrzona w kamienne chodniki dla pieszych, stała się miejscem bliskim gustom europejskim. Ulokowały się tu drogie lokale rozrywkowe, bary, herbaciarnie, prywatne szkoły oraz rezydencje i magazyny bogatych kupców. Ulica oświetlona elektrycznością, była ludna, gwarna, poprzecinana szynami elektrycznego tramwaju. Przed jednym z budynków ujrzał nawet zaparkowany samochód z umundurowanym szoferem, drzemającym za kierownicą. Zapewne jakiś dostojny urzędnik państwowy zapuścił się w tę okolicę, by zażyć odrobiny boskiego relaksu albo załatwić interesy... Wśród przechodniów dominowały modne europejskie stroje, ozdobne damskie kapelusze oraz obyczaje eleganckiego towarzystwa stolicy. Szybko rozejrzał się dookoła. Nic nie wzbudziło jego niepokoju. Nikt mu się nie przyglądał. Ponownie zsunął melonik na

czoło, skierował się wprost do celu: niedużej, narożnej kamienicy ozdobionej kolumnami.

Odetchnął z ulgą, gdy znalazł się pod osłoną drzew. Jeszcze raz rzucił okiem, czy ktoś go przypadkiem nie obserwuje, jednak w zasięgu wzroku nie dostrzegł nikogo. Zerknął na dom. Okna frontowego salonu oświetlone były dyskretnym światłem, przenikającym przez grube kotary. Postanowił skorzystać z bocznego wejścia przeznaczonego dla domowników i zaufanych gości. Zastukał w drzwi mosiężną kołatką. Po chwili otworzyła mu spłoszona służąca – młodziutka Japonka, niemal dziecko.

– Pani pije herbatę... – oznajmiła kiepską angielszczyzną, kłaniając się nisko zgodnie z obowiązującymi w tym kraju wymogami uprzejmości.

– A pan? – zagadnął, świdrując ją wzrokiem. – Jest tutaj?

Dziewczyna jeszcze bardziej się spłoszyła.

– Państwo są razem – odparła. – Ale...

– Prowadź!

Zawahała się.

– Co się dzieje, Meiko? – dał się słyszeć męski głos dobiegający z frontowego salonu. Do sieni zajrzał młody Europejczyk ze starannie przystrzyżonym wąsikiem i ubrany w japońskie kimono. Zauważył gościa i jego przystojna, sympatyczna twarz nagle stężała.

– Ty tutaj?

– To cię dziwi? Przyszedłem sfinalizować... naszą sprawę.

– Wejdz.

Został wprowadzony do dużego pokoju urządzonego na modłę europejską. Szczęśliwie nie kazano mu zdejmować butów. Gdyby zaproszono go do japońskiej części domu, nie obeszłoby się bez tego zwyczaju. A on nie chciał tracić czasu. Wiedział, że nie może sobie na to pozwolić.

– Yukasan... – odezwał się cicho młody człowiek z wąsikiem.

Od płonącego kominka odwróciła się urodziwa gejsza w prostym seledynowym kimonie, ozdobionym subtelnym białym ornamentem przedstawiającym motywy roślinne. Jej włosy były rozpuszczone, a nie upięte w tradycyjny sposób, a lśniąca, czarna fala spływała miękko na kark i ramiona. Jej twarz – pozbawiona charakterystycznego białego makijażu, w jakim ją dotychczas oglądał – wydała mu się teraz jeszcze bardziej ponętna. Oboje zastał w swobodnych, domowych strojach. Znak, że zakłócił parze spokojny, intymny wieczór... Typowa w tym kraju amoralność!

Kobieta skłoniła się z tradycyjną japońską grzecznością, nie dając poznać po sobie najmniejszych oznak wzburzenia. Odwzajemnił ukłon z drwiącym uśmiechem, którego nie

potrafił sobie odmówić.

– Sake? – zapytał jego przyjaciel.

Były przyjaciel...

– Nie – rzucił twardo, błędząc wzrokiem po znajomym pomieszczeniu. – Nie po to przyszedłem.

Nic tu się nie zmieniło od czasu, gdy we troje, w dobrej jeszcze komitywie, spędzali w tym miejscu ostatni wspólny wieczór. Gustowne meble, dywan, kotary, kilka akwarel na ścianach. Typowy europejski salon w sercu Japonii. Jedynie niski stolik, z rozłożonymi obok trzcinowymi poduszkami, nie pasował do tego wnętrza – widać, że przeniesiono go tutaj chwilowo, dla większej wygody.

Kobieta zajęła się nalewaniem herbaty i po chwili, z kolejnym uprzejmym ukłonem, wręczyła im czarkę zielonkawego płynu. Przyklękli na poduszkach. Od umieszczonego pod blatem porcelanowego piecyka *hibaschi* rozchodziło się przyjemne ciepło.

– A więc jak tam twoje sprawy, przyjacielu? – zapytał w końcu mężczyzna w kimonie, uważnie spoglądając na niespodziewanego gościa sponad czarki herbaty, trzymanej w obu dłoniach.

– Nie bawmy się w czcze uprzejmości – odparł po chwili kłopotliwego milczenia. – Czyżbyś wciąż zamierzał zrealizować swoją groźbę?

– To nie jest groźba! – zachnął się tamten, odstawiając czarkę na stół. – Jedynie oficcerski obowiązek. Nie mogę postąpić inaczej. Przecież ty doskonale o tym wiesz! Dostałeś czas do namysłu. Mam nadzieję, że skorzystałeś z niego.

– A więc nie zmieniłeś zdania?

– Nie – młody człowiek ze smutkiem pokręcił głową. – Wybacz. Nie mogę. Nawet, gdybym chciał. To sprawa honoru. No i zasad...

Kobieta przez cały czas milczała, lecz spoglądała na nich niespokojnie spod lekko opuszczonych powiek. Zdażyła już długą kościaną spinką upiąć włosy w węzeł ponad karkiem. Wciąż była niezwykle piękna. Przeszli na swój ojczysty język, więc nie mogła zrozumieć, o czym rozmawiają. Z pewnością jednak wyczuwała tkwiące w ich głosach napięcie. Był ciekaw, czy znała sprawę. Z pewnością tak! Nawet gdyby on się jej nie zwierzył – a przecież mówił jej niemal o wszystkim, szalony błazen, tak dalece cenił sobie jej rozum i dyskrecję – to miała zbyt duże wpływy w sferach rządowych, by takie rzeczy mogły dla niej pozostać tajemnicą.

Zmrużył oczy ze złością.

– Nawet gdybyś chciał... – powtórzył przybysz z zimnym sarkazmem, choć w środku

ogarnęła go furia. – Ale ty nie chcesz. Prawda?

– Prawda – uśmiechnął się przepraszająco jego dawny druh.

– A więc – wycedził z nienawiścią – pozostaje mi jedno... przyjacielu... Nie dajesz mi wyboru.

Nagromadzona furia zalała go niczym fala gorącej krwi. Wprawdzie zaplanował to na zimno, teraz jednak ogarnęła go prawdziwa euforia na samą myśl o tym, co musi się za moment wydarzyć. Wyszarpnął broń, skrytą pod surdudem. Na ten widok tamtych dwoje zerwało się na równe nogi.

Lecz na darmo. Za późno. Najpierw strzelił do mężczyzny. W sam środek czoła. Ten, padając, wbił w niego osłupiałe, szkliste spojrzenie. Kobietę trafił prosto w serce. Zanim zdążyła krzyknąć. Choć i tak by nie krzyczała. Taka już była. Twarda suka. Coś powstrzymało go przed sprofanowaniem jej urody. Ta twarz bez najmniejszej skazy miała pozostać w jego pamięci...

Na bladoturkusowym jedwabiu niczym kwiat rozkwitła purpurowa i szybko powiększająca się plama krwi. Kobieta wolno osunęła się na dywan. W tym samym momencie do pokoju wbiegła zaniepokojona służąca. Na widok mężczyzny z rewolwerem oraz ciał leżących na podłodze uniosła dłoń do ust i wydała z siebie przeciągły ptasi pisk. Niech to szlag! Na śmierć zapomniał o tej małej flądrze! Błyskawicznie uciął jej skowyt celnym strzałem w głowę. Dziewczyna upadła z jękiem, a jej ciałem wstrząsnęły drgawki. Żyła jeszcze, kiedy przestępował przez nią, by opuścić pomieszczenie. Aby dokończyć dzieła, zdzielił ją jeszcze kolbą w tył czaszki. Znieruchomiała wreszcie.

Cofnął się, by na odchodnym zgasić światło. Było to proste i szybkie – na Ginza większość domów była już zelektryfikowana.

Przeszedł na piętro do japońskiej części mieszkalnej, nieprzeznaczonej dla obcych. Królowały tu ruchome ścianki *fusuma* oraz słomiane maty *tatami*, a pomieszczenia były sterylne, niemal puste. Zapalił podręczną naftową latarkę, którą zawsze na wszelki wypadek miał przy sobie. Nie wiedział, gdzie włącza się światło w tej części domu i czy w ogóle tu jest. Wbrew uświęconej w Japonii zasadzie, wszedł na matę w butach. Znow ogarnęła go ta przyjemna, niemal fizyczna satysfakcja. Zbliżył się do wnęki *tokonoma*. Tu – poza zwyczajową ikebaną oraz *kakemono* z japońską kaligrafią – nowym obyczajem wisiały fotografie. Zerwał je i zgniótł w dłoniach. Twarde kartoniki stawiały opór. Zawrócił do salonu, z niesmakiem czyniąc kolejny krok ponad ciałem służącej, i wrzucił zdjęcia do płonącego kominka. Zaczekał, aż szerniały i obróciły się w popiół. Koniec. Prawie koniec... W blasku ognia rzucił ostatnie spojrzenie na ciała. Dobranoc, przyjaciele! Komu w drogę,

temu czas...

Tym razem nogą odsunął na bok trupa dziewczyny. Wyszedł z domu tylnym wyjściem dla dostawców, od podwórka. Stało tam niepozorne *kura* – nieduży pawilon z gliny i gipsu, o grubych ścianach bez okien, rodzaj sejfu, w którym przezorni Japończycy przechowują cenniejsze przedmioty, by uchronić je przed pożarem. Był pewien, że przyjaciel tu właśnie ukrył to, po co on przyszedł. Pozbył się świadków – teraz należało zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Najgorsze już za nim. Odetchnął z ulgą. Dookoła panował spokój i egipskie ciemności, nawet szum ulicy ledwo tutaj dochodził. Napał na drzwi, by je sforsować, lecz... okazały się otwarte! Poświecił sobie latarką i raptem drgnął, jakby ujrzał ducha. Zaklął siarczyście...

W środku – prócz opartego o ścianę wielkiego kryształowego lustra, które odbiło jego oblicze wykrzywione grymasem paniki i upiornie podświetlone w ciemnościach nocy – nie było niczego...

Prolog 2

Gdańsk, współcześnie

Zgasił lampę nad biurkiem. Zdjął okulary do czytania, zamrugął i przetarł oczy zmęczone od wielogodzinnego wysiłku. Następnie uśmiechnął się do siebie, sięgając odruchowo po filiżankę wystygłej już kawy. Odsunął piętrzący się na biurku stos dokumentów, katalogów, książek i starych gazet. Upił łyk zimnego napoju, skrzywił się, a potem otworzył szafkę w biurku, służącą mu za podręczny barek. Wyjął stamtąd butelkę taniego bułgarskiego koniaku oraz pękaty kieliszek. Przetarł go starannie chusteczką higieniczną i napełnił do połowy. Był podekscytowany, więc ręka odrobinę mu drżała, gdy unosił kieliszek do ust. Dobra robota. Należało mu się. Za sukces!...

Uda się. Musi się udać. Nareszcie. Nareszcie będzie mógł porzucić gównianą pracę wykładowcy i zacząć podróżować, o czym marzył przez całe życie. I to podróżować bynajmniej nie samotnie...

Zerknął mimowolnie na swoją schedę. Kto by pomyślał, że te stare szpargały mogą się jeszcze na coś przydać. I że taka sensacja uchowała się przez tyle lat!

Popijając koniak małymi łyчками, raz jeszcze przemyślał całą sprawę. Wszystko jest chyba dograne, zapięte na ostatni guzik. Kopia sporządzona, oryginał dobrze zabezpieczony. Zaśmiał się pod nosem. Nie ma to jak sprawdzona metoda...

Wreszcie odstawił opróżniony kieliszek i postanowił sięgnąć po telefon. Zawahał się tylko przez ułamek sekundy, po czym zdecydowanie wystukał zapisany na kartce numer. Nerwowo kręcąc się na krześle, czekał, aż w słuchawce odezwie się znajomy głos.

– Dobry wieczór! – zaczął ożywionym głosem. – Tak... Tak, to znowu ja. Mam to dla pana. Tak. Dzisiaj? Zaraz? Za pół godzinki?... Dobrze... Pan podjedzie? Ach, nie osobiście... Oczywiście, rozumiem. Nie, nie. Ja zejdem na dół. Tak... Dogadamy się. Jasne... Z pewnością. A więc do usłyszenia!

Zatarł ręce z satysfakcją. Nie da się oszukać. Wszystko będzie dobrze. Musi być...

Nalał sobie kolejną lampkę koniaku. Dochodziła dziewiąta trzydzieści. Przez kolejne pół godziny sączył trunek, zerkając co pięć minut na zegarek. Na niczym innym nie umiał się teraz skupić. Ale trafiła mu się gratka! Nie do wiary...

Za pięć dziesiąta. No, już czas!

Zerwał się z krzesła, narzucił palto, wziął z biurka niewielki skoroszyt i schował do obszernej kieszeni płaszcz. Starannie zamknął za sobą mieszkanie. Z bijącym sercem zbiegł wąskimi schodami dwa piętra niżej, do bocznych drzwi wychodzących wprost na bramę kamienicy. Ledwo zdążył je otworzyć, gdy w mroku wąskiego przejścia ujrzał jakiś cień i ktoś stanowczym ruchem pchnął go z powrotem na próg klatki schodowej.

– Spokojnie... – z ciemności dobiegł go cichy, opanowany męski głos. – To dyskretna sprawa, a ja nie mam czasu. To przecież pan kolekcjoner, nie mylę się, prawda?

– Tak, ale...

– Ma pan to?

Wziął się w garść.

– Mam – odparł, starając się nadać głosowi pozory pewności siebie. – Chwileczkę...

Wyjął z kieszeni skoroszyt. Rozbłysło niebieskawe światło miniaturowej kieszonkowej latarki. Mężczyzna wziął teczkę z jego ręki i szybko otworzył ją, wciąż przyświecając sobie latarką. Jego twarz pozostawała w cieniu, jednak w lekkiej poświacie kolekcjoner zauważył, że facet bez wątplenia jest młody, wysoki i muskularny. Z uwagą studiował teraz zawartość teczek.

– To jest kopia! – zauważył mężczyzna ostrym tonem.

Nagle oślepił go światłem latarki. Skierowane wprost w jego oczy, wydawało się niezwykle intensywne.

– Tak – przyznał z nagłym uczuciem niepokoju. To wszystko rozgrywało się zupełnie inaczej, niż się spodziewał. – Oryginał oddam, kiedy dostanę całą kwotę do ręki...

Mężczyzna złapał go nagle za poły płaszcz, obrócił i z całej siły przyparł do drzwi. Te, przymknięte tylko, otworzyły się pod naporem jego ciała. Gdyby facet go teraz puścił – upadłby jak długi na beton!

– Gdzie go pan ma?!

– W bezpiecznym miejscu... W domu...

– W domu, mówisz...

Zauważył, że mężczyzna spogląda gdzieś ponad nim, w mrok bramy, i lekko, niemal niedostrzegalnie kiwa głową... Zaatakowany nie zauważył, jak za jego plecami pojawiły się, niczym spod ziemi, dwa kolejne cienie. Jeden z nich zatkał mu usta, zanurzając drugą dłoń w

kieszoni jego palta i wyciągając z niej klucze do mieszkania. Usłyszał ich brzęk. Drugi zarzucił mu na szyję coś zimnego i ostrego...

Ostatnie, co poczuł, to ucisk dławiący krtań i przenikliwy, rozdzierający ból. Trwał on tylko ułamki sekund – zanim na dobre ogarnęła go miłosierna ciemność...

Nie czuł już, że mężczyźni, otworzywszy znajdujące się z boku sionki niskie drewniane drzwiczki, jednym kopnięciem zrzucają jego ciało po brudnych schodkach, prowadzących do piwnicy...

Część I

Rozdział 1

Gdańsk, parę miesięcy później

Emil przeciągnął się na krześle, mrużąc oczy zmęczone długotrwałym wpatrywaniem się w ekran komputera. Od wczoraj ślęczał nad artykułem dla *Rozgwiadzy*, pisemka, dla którego pracował mniej więcej od roku i które ze skromnej, niemal amatorskiej gazetki rozrosło się w całkiem poczytny, regionalny magazyn. Zapalił papierosa i wszedł od niechcienia na jeden z portali internetowych, by zerknąć na tytuły najświeższych wiadomości...

Z kanapy zerwał się nagle podekscytowany mocno Bolero – wielkie, puchate, rude kocisko – a w chwilę później rozległo się trzaśnięcie drzwi wejściowych.

– Jestem! Cześć, kotku...

Marta stanęła w progu pokoju, strząsając ostatnie krople zimnego marcowego deszczu z grzywy kasztanowych włosów. Wniosła ze sobą podmuch świeżego powietrza i delikatny zapach perfum. Bolero w ekstazie ocierał się o jej łydki.

– Czy „cześć, kotku” było do mnie? – uśmiechnął się na jej widok Emil, odwracając od biurka.

– Cześć, kotku – podeszła i cmoknęła go lekko w policzek, rzucając okiem na ekran. – A ty ciągle przed tym komputerem? Jadłeś coś chociaż?

– Żarcie czeka w piekarniku – mrugnął z tryumfem. – Trzeba tylko podgrzać. Zjemy razem... Co słyhać w muzeum?

– Ok. – Wzruszyła ramionami, choć gdy rozmowa schodziła na temat jej pracy, Marta nigdy nie była w stanie ukryć błysku w oku. – Kończymy renowację tych szaf gdańskich, co wiesz... Idę podgrzać żarcie! Kończ już z tym Internetem!

Znikła w kuchni, zabierając przy okazji popielniczkę pełną niedopałków, a za nią jak cień podążył Bolero. Emil wyłączył laptop, porządkując jednocześnie notatki na biurku.

– Emil! – dobiegło go z kuchni.

– No? – Stał w drzwiach.

Rozkładała talerze na stole w kąciku jadalnym pod oknem.

– Słuchaj... – zawahała się. – Powiesz mi, co ty za bzdury wypisujesz ostatnio na forach internetowych?...

Zaniemówił.

– I ty też?! – wybuchnął po chwili. – Szlag mnie zaraz trafi! Padło wam wszystkim na mózg, czy co?!

– Nam?! To znaczy komu? Jeśli komuś tu padło na mózg, to na pewno nie mnie... – wzięła się pod boki. – Gadaj zaraz, co jest grane, bo mi wstyd przed ludźmi! To jakaś twoja kolejna... tajemnica?

Gapiąc się na nią z niedowierzaniem, klapnął na taboret.

– Czekaj! Zaraz... O czym ty mówisz? – jęknął. – W redakcji pytali mnie wczoraj o to samo, ale myślałem, że smarkateria robi sobie ze mnie jaja. Czy mogłabyś wyrażać się jaśniej? Bo coś mi tu śmierdzi...

Marta wyjęła z piekarnika zapiekankę serową – dzieło Emila – i rozłożyła ją na talerzach, odkrajając kawałeczek dla Bolera. Rozdzieliła go starannie widelcem w jego misce.

– Nic o tym nie wiesz? – podchwyciła. – Na różnych forach pojawiają się, podobno już od pewnego czasu, jakieś idiotyzmy podpisane twoim imieniem i nazwiskiem! Zwróciła mi na to uwagę jedna taka z pracy, która wiecznie siedzi w Internecie. Inni też widzieli te wpisy. Mają ubaw... Serio, nic na ten temat nie wiesz?

– Nie mam o tym zielonego pojęcia! W życiu nie produkowałem się na forach internetowych! Ale jeśli już, to wiem, cholera, do czego służy nick... Jesteś pewna, że są podpisane moim nazwiskiem?

– Jestem. Widziałam na własne oczy. Emil Żądło jak byk. A raczej nie jest to zbyt popularne zestawienie. – Marta nadziała kawałek zapiekanki na widelec. – Naprawdę pomyślałam, że ci odbiło...

– Sądziłaś, że robiłbym z siebie idiotę, podpisując się imieniem i nazwiskiem?!

– Ojej, przepraszam... Żartowałam tylko! Oj, nie przejmuj się tak! To pewnie po prostu jakiś głupi dowcip, zwykła dziecinada...

– Tylko czyj dowcip?

– Może ci twoi z redakcji? Młodzi są...

– Szymon i Ewka? Oni też się na to natknęli... – zamyślił się, grzebiąc nożem w zapiekance. – Nie, daj spokój. Są młodzi, ale nie aż tak głupi...

– Więc może jakiś twój czytelnik? Może akurat zapamiętał nazwisko... Jest charakterystyczne. Albo to czysty przypadek? Zbieg okoliczności. Ostatecznie mogło się i tak

zdarzyć. W końcu niejednemu psu Burek...

– Lekka niekonsekwencja – podsumował jej wysiłki Emil. Odsunął od siebie talerz i zapalił papierosa. – Co to za fora?

– Różne. – Marta wzruszyła ramionami. – Popularne. Takie o polityce, ekonomii...

– A te wpisy? Czego dotyczyły?

– Przepytyujesz mnie jak gliniarz! – spojrzała na niego z wyrzutem. – Zebra niestety miał rację. Ty nigdy nie przestaniesz nim być... Co do tych postów: to były jakies brednie. Zresztą chyba ciągle te same, w kółko Macieju, i kompletnie nie dotyczące tematu forum. Coś o drzeworytach japońskich. Zapamiętałam, bo termin mi nie obcy... Wyglądały na głupie prowokacje. Dlatego z początku nawet pomyślałam sobie, że ma to jakiś związek z... no, wiesz. Z tym, że wplątałeś się w kolejną aferę. Teraz mi głupio...

Emil machnął ręką.

– Już dobrze! Potem sam to sprawdzę. Ciekawe, swoją drogą... Nic nie wiem o japońskich drzeworytach. Nie moja bajka. Ale może masz rację, to pewnie przypadek. Ej, Bolero wsunął już wcześniej cały swój obiad! Nie dawaj mu tyle, bo będzie gruby!

Zabierali się zgodnie do zmywania talerzy, gdy zadzwoniła komórka Emila. Słuchał chwilę w milczeniu, mrużąc coś wściekle pod nosem. Po paru minutach rozłączył się i zaklął.

– Co jest? – zapytała Marta.

– Zebra – odparł. – Pytał, co ja za bzdety wypisuję na forum. Doniósł mi łaskawie, że komisariat pęka od żarcików na mój temat! Już chyba cały Gdańsk czytał te pierdoły w necie! Ale, wiesz... Mimo wszystko... Marek był jakiś dziwny. Znasz go przecież. Wiesz, jak się zachowuje, kiedy niby się śmieje, a coś mu leży na wątrobie? No więc tak jakoś wyczułem, że coś mu właśnie leżało...

– Emil!!! – Marta trzasnęła mokrymi sztućcami o blat. – Nawet się nie waż!

Ale Emil już zniknął w głębi mieszkania.

Pospieszenie włączył komputer, niecierpliwie oczekując na połączenie z Internetem. Gdy Marta weszła do pokoju, z dziwną miną wpatrywał się w ekran laptopa.

– Mam! – oznajmił, nie odrywając wzroku od monitora. – Faktycznie, jest wszędzie... Wygląda to na pogroźki szaleńca. Może to jakiś wariat?

Stuknął palcem w ekran. Widniał tam znany już Marcie tajemniczy „komentarz”, napisany w całości krzykliwymi wołami:

„DO KONIA – WIEM, CO KRYJE JAPOŃSKI DRZEWORYT!!! ZNAM TWÓJ PARSZYWY SEKRET! NIEDŁUGO POZNA GO CAŁY GDAŃSK I CAŁA POLSKA!

(D)RŻYJ!” I podpis: „EMIL ŻĄDŁO”

– Świr albo... – nie dokończył Emil.

– Albo co?

Zapalił kolejnego papierosa. Marta, coraz bardziej zdenerwowana, także sięgnęła do paczki leżącej na jego biurku.

– Albo to coś znaczy...

– Jakiś szyfr? Brzmi trochę jak... porachunki gangsterów. – Papieros zadrżał w jej dłoni.

– I ty naprawdę myślałaś, że ja to napisałem?...

– Nie wiem. Nie zastanowiłam się. Przepraszam...

Jej głos również lekko drżał. Emil objął ją pocieszająco ramieniem.

– Sprawdzę to – obiecał. – Dla świętego spokoju. To pewnie nic takiego, jakaś bzdura... Zwyczajny bełkot forumowego trolla. Pełno takich w Internecie. Nie martw się na zapas, kochanie...

Rozdział 2

Następnego dnia już od rana siedział w Internecie. Zawalił artykuł – tekst był zresztą prawie ukończony; zostało tylko przejrzanie go, sprawdzenie błędów, wygładzenie i ewentualne poprawki – bo zwyczajnie nie miał teraz do niego głowy. Palił papierosa za papierosem, odwiedzając kolejno wszystkie możliwe fora internetowe. Tajemniczy wpis widniał niemal na każdym, był wszechobecny, powtarzał się, jakby ktoś z uporem maniaka pragnął zostać zauważonym. Zdziwił się, że moderatorzy puszczają teksty, kompletnie mijające się z tematem. Szybko jednak zauważył, że istnienie na forum najróżniejszych głupich komentarzy jest akceptowaną powszechnie normą i nikt nie przywiązuje do tego wagi, o ile nie ma w nich wulgaryzmów lub treści politycznie niepoprawnych.

Zauważył kilka nowych wpisów, zupełnie świeżych, z aktualną datą. Osobnik, jak widać, nie próżnuje – pomyślał. Nalał kubek gorzkiej kawy rozpuszczalnej i zapalił kolejnego papierosa. Zapomniał o śniadaniu; na szczęście Marta pojechała do pracy, nikt więc nie będzie mu z tego powodu ciosał kołków na głowie. Zastanawiał się, czy warto prosić o pomoc przyjaciela. Marek Zebra, obecnie podkomisarz, był starym kumplem, z którym Emil dawno temu rozpoczął swoją dość problematyczną karierę w policji, zanim po kilku latach z niej nie zrezygnował, by poświęcić się dziennikarstwu, i to wyłącznie z pozycji wolnego strzelca. To znacznie bardziej pasowało do jego charakteru, nieznoszącego wszelkiej zależności i podporządkowania ścisłym regułom gry. Niemniej nie zrezygnował całkowicie z pasji dochodzeniowej i dziennikarstwo śledcze interesowało go najbardziej. W swojej pracy niejednokrotnie współpracował z gdańską policją, w której nadal znał wszystkich i wszyscy znali jego, a zawodowa przyjaźń z Zebra przynosiła wymierną korzyść obu stronom, doprowadzając do wyjaśnienia niejednej trudnej i zawikłanej sprawy. Nie chciał jednak mieszać kolegi w swoje prywatne problemy...

To zresztą żaden problem! – upomniał sam siebie. Fakt, że jakiś idiota wygłupia się na forum, podpisując się – przypadkiem czy nie – nazwiskiem ogólnie znanego w Trójmieście dziennikarza, o niczym jeszcze nie świadczy. Nie może to być bandyta, bo tacy stosują zupełnie inne pogroźki niż pajacowanie w Internecie. Najlepiej dać sobie z tym święty spokój, zaczekać, aż troll sam się znudzi i zaprzestanie swoich występów. Po prostu – przejść

nad tym do porządku dziennego.

Emil oderwał się od komputera i poszedł do kuchni, by przyszykować sobie kanapkę, zanim zabierze się za artykuł dla *Rozgwiadzy*. Ukroił chleb, ser, podał kawałek kotu – który serem wzgardził – i rozejrzał się za pomidorami. W tym momencie zadzwonił telefon. Domowy. Zanim Emil dobiegł do przedpokoju, gdzie znajdował się staroświecki aparat, sygnał umilkł. Zaklął pod nosem, wracając do kuchni. Z kanapką w ręce wędrował właśnie z powrotem do pokoju, gdy telefon odezwał się ponownie.

– Halo?! – tym razem dopadł aparatu natychmiast. – Halo!

Nikt nie odpowiadał.

– Halo?!

Zirytowany przedłużającą się ciszą w słuchawce, rzucił ją na widełki i wrócił do pracy nad porzuconym wczoraj tekstem...

Od komputera oderwał go po mniej więcej dwóch godzinach kolejny telefon, który znowu okazał się głuchy. Sytuacja niemiło skojarzyła mu się z pamiętnymi wydarzeniami sprzed zaledwie kilkunastu miesięcy. Postanowił, że na wszelki wypadek nie będzie niepokoił Marty tymi głuchymi telefonami. I tak wystarczająco się wczoraj zdenerwowała. Na pewno nie ma to zresztą żadnego związku z tymi postami.

Wytrwał w swoim postanowieniu, szybko jednak zrozumiał, że jego „tajemnica” jest na dłuższą metę nie do utrzymania. Zarówno posty na forach, jak i głuche telefony powtarzały się, z dnia na dzień jakby z coraz większym natężeniem. Prędzej czy później taki telefon odbierze Marta! I tylko niepotrzebnie się przestraszy...

Ktoś się najwyraźniej na niego wziął. Emil od dawna miał wielu zagorzałych czytelników, którzy mógł okazać się niezrównoważony. Do tego sąsiadka z naprzeciwka zauważyła, jak ktoś – jakiś młody facet – kręci się koło ich mieszkania. Zaczepiony przez czujną niewiastę, próbował wypytywać ją o Emila.

– Jak wyglądał ten facet? – dociekał Emil.

– Bo ja wiem... – zakłopotana się kobieta. – Nijaki taki. Jak oni wszyscy teraz. Młody był, krótko ostrzyżony, w okularach takich na słońce, w skórzanej kurtce...

– Nie przedstawił się?

– Nie...

Czarę goryczy przelał kolejny telefon. Tym razem nie był głuchy. Zadzwonił około południa i znów oderwał Emila od pracy.

– Trzymaj się z dala od tej sprawy, koleś – w słuchawce odezwał się zniekształcony głos, jakby ktoś mówił z zatkanym nosem.

– Słucham?

– Trzymaj się pan od tego z daleka – powtórzył głos.

– Kto mówi?

Odpowiedział mu tylko sygnał...

Wkurzony potężnie bez namysłu zatelefonował zaraz do Zebry i poprosił, by ten sprawdził dla niego adres IP komputera, z którego wysyłano posty internetowe, podpisane jego nazwiskiem.

– Nie ma sprawy – odparł szybko podkomisarz. – I tak mieliśmy to zrobić... Ale, stary, ty coś ukrywasz. Jest coś jeszcze, prawda?

– Telefony – mruknął niechętnie Emil. – Głuche. I jeden z pogróżkami. Przed chwilą.

– Znowu... – westchnął Zebra. – Ok, sprawdzimy to. I... mam prośbę. Nie działaj na własną rękę. Nigdy nie wiadomo, co to za świr.

Rozdział 3

Marta przez cały dzień chodziła jak chmura gradowa. Prawie nie odzywała się do Emila, trzaskając za to najróżniejszymi przedmiotami, jakie wpadały w jej ręce. Nawet Bolero przezornie schodził jej z drogi.

– Marta, sorry... – Emil zastąpił jej drogę. – Nie chciałem cię denerwować...

– Tak? No to ci się udało! – Zaśmiała się cynicznie.

– Marta...

– Jak mogłeś przede mną ukrywać, że ktoś tu wydzwania z pogrozkami?! Idiota. Ty chyba całkiem oszalałeś!

– Cholera, Zebra niepotrzebnie...

– Marek miał świętą rację! Mnie to także dotyczy! Już zapomniałeś? Jaki cel ci przyświecał?! Miałam nieświadoma jak niemowlę wpaść w łapy kolejnego świra?! Swoją drogą, w co ja się wpakowałam! Odkąd cię znam, nie mam chwili spokoju! To jest życie w nieustającym poczuciu zagrożenia! Oszaleć można!

Emil jakby nagle dostał obuchem w łeb.

– Mam się wynieść? – wycodził, czując falę gorąca, zalewającą mu twarz.

– Rób, co chcesz!

Zabolało. Na niczym nie zależało mu bardziej niż właśnie na spokoju i bezpieczeństwie Marty. Miał już na końcu języka ostrą odpowiedź, pohamował się jednak w ostatniej chwili i bez słowa wycofał do pokoju. W tym stanie ducha Marta nie nadawała się do rzeczowej rozmowy. Po kilku minutach usłyszał głośne trzaśnięcie drzwi wyjściowych. Ostrożnie wyjrzał przez okno, nie odsuwając firanki. Z siatką w dłoni i z zaciśniętymi wojowniczo ustami energicznie maszerowała w stronę sklepiku na rogu. Odetchnął z ulgą. Znał Martę. Dopóki wyładowuje się w codziennych błahych czynnościach – nie jest źle. Gorzej by było, gdyby zamknęła się w sypialni lub pojechała nie wiadomo dokąd. Przejdzie jej. Inna kwestia, że ma swoje racje...

Zebra poinformował go parę dni temu, że tajemnicze posty wysyłano z różnych gdańskich kawiarenek internetowych, lecz ustalenie, kim jest ich autor, trochę potrwa. Mogą to zrobić wyłącznie na podstawie nagrań z kamer video. Identyfikacja zajmie zapewne kilka

dni. Co do telefonów – dzwoniło wyłącznie z telefonów publicznych. Między innymi z budki znajdującej się na dworcu w Gdańsku.

Od tamtego czasu telefony nie powtórzyły się więcej, podejrzone posty także ustały, więc Emil być może zapomniałby o całej historii, gdyby nie kłopotliwy fakt, że Zebra puścił farbę przed Martą. Bez wątpienia chciał dobrze. Uznał za stosowne przestrzec ją lub raczej uczulić na potencjalne zagrożenie, obawiając się być może powtórki ubiegłorocznych wydarzeń. Nie wpadł na to, że Marta nic nie wie o telefonach. Emil uznał teraz z przykrością, że postąpił głupio, niechcący traktując Martę protekcyjnie. Znał jej temperament, upór i zdecydowany charakter – musiał więc upaść na głowę, zatajając przed nią takie rzeczy...

Zapalił papierosa, głęboko zaciągając się dymem, gdy zadzwoniła jego komórka leżąca na biurku. Poderwał się szybko. Czekał na wiadomość od Zebry, by raz na zawsze skończyć z tą idiotyczną sprawą i uspokoić Martę.

– Macie go? – zapytał z nadzieją, że forumowicz okaże się jakimś zwariowanym studentem lub innym nieszkodliwym dowcipnisiem, który prowadzi w Internecie prywatne i nieszkodliwe porachunki z kolegami.

– Mamy – głos podkomisarza zabrzmiał dziwnie.

– No więc?...

– Jest pewien problem – podjął Zebra. – To młody facet. To znaczy, był młody. Bo już nie żyje. Kilka dni temu został zamordowany...

Usłyszał stuknięcie drzwi: Marta wróciła do domu. Wyszedł szybko do przedpokoju i bez słowa odebrał od niej ciężkie siaty, by zanieść je do kuchni. Marta rozbrajająco udawała, że wszystko jest po staremu.

– Kupiłam mnóstwo pierogów z kapustą i grzybami! – oznajmiła tryumfalnie. – Z mięsem też. I piwo. Zrobimy sobie ucztę!

– A starczy i dla Zebry? – zapytał Emil ponuro.

– Jasne – odparła. – A co? Przyjdzie?

– Tak. Wpadnie wieczorem...

– Emilu, przepraszam... Przesadziłam. Nie gniewasz się?

Emil uśmiechnął się niewesoło.

– Czyli nie muszę się wyprowadzać?

– Zwariowałaś? A co ja bym zrobiła bez tej wiecznej adrenaliny? Przywykłam już...

Pakowała właśnie pakunki do zamrażalnika. Nastawił wodę na herbatę. Postanowił nie

czekać z nowinami.

– Marto, nomen omen... – zaczął niepewnie. – Chyba dobrze trafiłaś z tą adrenaliną. Marek przed chwilą dzwonił. Zidentyfikowali tego... żartownisia z forów. Ale jeśli to był tylko żartowniś, to marnie skończył. Został zamordowany parę dni temu...

Marta znieruchomiała przy otwartej lodówce.

– Jak to, zamordowany? – Zatrzasnęła drzwiczki i ciężko usiadła na krześle. – Boże... Myślisz, że to ma jakiś związek? Ale co ty masz z tym wspólnego?!

– Z jakiegoś powodu podpisywał się moim nazwiskiem. – Emil nalał herbatę do kubków i postawił je na kuchennym stole, razem z cukiernicą i popielniczką. – Być może także tutaj wydzwaniał...

– Znasz go?

– Jeszcze nic nie wiem – zapalił papierosa. – Wszystkiego dowiemy się, kiedy przyjdzie Zebra.

– On przychodzi tu... przesłuchać cię?

– W pewnym sensie...

Marta również zapaliła. Robiła to tylko w dramatycznych momentach. Widocznie ten za taki uznała. Teoretycznie już dawno rzuciła palenie.

– Jasna cholera! – rzuciła cicho. – Zaczyna się. Czuję to...

– Jeśli chcesz, naprawdę mogę się wyprowadzić. Przynajmniej na jakiś czas. Wynajmę coś albo pomieszkam gdzieś kątem... Nie chcę cię narażać na kolejne przykrości ani wplątywać w swoje sprawy.

Marta upiła łyk gorącej herbaty i spojrzała na niego znad kubka. W jej oczach zamigotały jakieś dziwne iskierki.

– Mowy nie ma! Skoro on już nie żyje, to dla nas pewno po kłopotcie. Nikt chyba nie sądzi na poważnie, że załatwiłeś go, bo podpisywał się twoim nazwiskiem na forum! Zobaczysz, wszystko się wyjaśni. Spokojnie. Zaczekajmy na Marka. Tymczasem zabieram się za te pierogi...

Emil zebrał brudne talerze i wyniósł do kuchni. Na stole zostało tylko piwo. Zebra poprosił o kawę. Przyjechał prywatnym samochodem, więc musiał zrezygnować z alkoholu w jakiegokolwiek postaci. Gdy Marta wróciła z kawą i wszyscy usiedli z powrotem przy stole, Emil zapalił papierosa i zagaił:

– No, to do rzeczy...

Zebra wyjął swoją fajkę, powoli i z zadumą obracając ją w palcach.

– Chłopak nazywał się Rafał Dziedzic. Miał dwadzieścia siedem lat i był doktorantem na uniwerku. Znalaziono go pobitego na skwerku w Sopocie. Kojarzysz nazwisko?

– Nazwiska nie – Emil wzruszył ramionami. – Ale znam mnóstwo ludzi z widzenia. Masz jego zdjęcie?

– Mam. – Podkomisarz pogrzebał w swojej teczce i wyjął fotografię. Spoglądał z niej młody, sympatyczny, krótko ostrzyżony blondyn.

– Pierwszy raz go widzę na oczy – Emil bacznie przyglądał się zdjęciu. – Może to być ten sam, który ponoć się tutaj kręcił. Sąsiadka go widziała.

– Sąsiadka?

– Tak, ta sama, którą już poznałeś – wtrąciła Marta. – Wielka przyjaciółka Bolera... Prawdziwy skarb. Wszystko widzi! Nic nigdy nie umknie jej uwadze. Mogę to wziąć na chwilę? Pójdę do niej i zapytam...

Gdy Marta wyszła, Zebra zapalił wreszcie swoją fajkę. Płomiennie ruda czupryna podkomisarza wydawała się jeszcze bardziej czerwona w świetle lampy wiszącej pod sufitem.

– Wciąż nie wiemy, dlaczego pisał te posty – westchnął. – Przesłuchaliśmy już ludzi z uniwerku. Nikt nie miał na ten temat zielonego pojęcia. Byli zszokowani. Facet uchodził za spokojnego młodego człowieka. Ale był samotnikiem, nie miał zbyt wielu przyjaciół. Z jednym wyjątkiem... Ale o tym później. To pewnie także on do ciebie wydzwaniał. Telefony, tak jak posty, urwały się mniej więcej wtedy, kiedy został zabity. Może miał jakąś obsesję na twoim punkcie. Najwyraźniej wpadł w kłopoty. Podejrzewamy związek z nielegalnym handlem dziełami sztuki. Jesteś dziennikarzem śledczym, więc to raczej nie przypadek, że uczeplił się właśnie ciebie. Może sądził, że zajmujesz się czymś, w czym siedział? Albo że masz jakieś informacje?

– Albo... – Emil zawahał się. – Albo potrzebował pomocy?

– Więc po co by ci groził?

– Może chciał mnie raczej przed kimś ostrzec? A może to wcale nie on dzwonił?

Zebra machnął ręką.

– Zostawmy to sobie na później. Jest coś jeszcze...

W tym momencie wróciła Marta.

– To ten! – oznajmiła z tryumfem. – Sąsiadka rozpoznała go natychmiast, mimo że wtedy nosił ciemne okulary. Mówiłam, że to nieoceniona kobieta!

– Więc już coś mamy – powiedział podkomisarz. – Jest tego pewna? To dobrze. Będzie jeszcze musiała złożyć oficjalne zeznanie, ale to przy okazji... Czyli to raczej on do

was dzwonił. Skoro wysyłał te posty i kręcił się tutaj, wypytywał...

– Możliwe – zgodził się Emil i zapalił kolejnego papierosa.

– Wróćmy do sedna – kontynuował Zebra. – Jak wspomniałem, jest coś jeszcze. Chłopak przyjaźnił się tylko z jedną osobą. Z pewnym wykładowcą. Starszym od siebie, panem po czterdziestce...

– I?... – Emil poczuł, nie wiedzieć czemu, ciarki na grzbiecie.

– Ten też nie żyje. Jakies trzy miesiące temu znaleziono go pod schodami piwnicy w kamienicy, gdzie mieszkał. Uduszonego stalową linką...

Marta zamarła nad szklanką piwa.

– To nie wszystko! – Zebra uniósł dłoń. – Jego mieszkanie splądrowano. Miał tam między innymi dużo drzeworytów japońskich. Zniszczono je...

– Zniszczono, nie ukradziono?! – zawołała Marta.

– Rodzina twierdzi, że nic nie zginęło. Drzeworyty znaleziono na podłodze. Zniszczone. Powyjmowane z ramek, rozdarte, pogniecione. Podobno nie należały do wartościowych. Wszystkie szafy, książki, szuflady, papiery także rozbebeszono. Być może bandyci poczuli się rozczarowani. Gość nie był bogaty.

Emil pokiwał głową.

– Teraz rozumiem, dlaczego od początku zaintrygowały was te posty. Drzeworyty japońskie...

– No właśnie – Zebra pyknął fajeczką. – Coś dla ciebie, Marta!

– Niezbyt – wzruszyła ramionami. – To nie moja dziedzina. Nie specjalizowałam się w sztuce Dalekiego Wschodu.

– Ale z pewnością orientujesz się w tym lepiej od nas. Czy japoński drzeworyt może być tak cenny, że warto dla niego zabijać?

– O ile w ogóle warto dla czegoś zabijać? Wiadomo jednak, że ludzie potrafią zabijać się nawzajem z byle powodu. Nie wiem. Chyba materialnie nie są to aż tak cenne rzeczy. Drzeworyt japoński to grafika wysokonakładowa. Rodzaj dawnego druku. Są wspaniałe, ale nie osiągają oszałamiających cen na rynku sztuki. Inaczej niż na przykład obraz Rembrandta...

– Albo Memlinga? – mrugnął Emil.

– Otóż to – prychnęła Marta.

– Czy ten facet był kolekcjonerem? – Emil spojrzał pytająco na Zebra.

– Nie. Nie uważał się za takiego. Jego kolekcja była skromna. Odziedziczył ją. Nie kupował ani nie zbierał dzieł sztuki. Nazywał się Alfred Zagórny. Coś wam to mówi?

Oboje pokręcili głowami.

– No, dobra – podkomisarz uniósł się z krzesła. – Będę się zbierał. Żona czeka...

Uśmiechnął się z dumą, jakby jeszcze nie do końca przywykł do nowego stanu cywilnego. Emil także nie potrafił wciąż wyjść ze zdumienia na samą myśl, że jego przyjaciel – zatwardziały stary kawaler – wreszcie się ożenił.

– Pozdrów Marię. – Marta uśmiechnęła się ciepło.

– Z przyjemnością! – Zebra zdjął z wieszaka swój płaszcz, po czym objął lekko Martę i cmoknął ją w policzek. – Dzięki za pomoc.

– Jeśli będziesz miał coś nowego w tej sprawie... – Emil zatrzymał Marka w drzwiach.
– Powiesz mi?

– Masz oczywiście zamiar mieszać się w śledztwo? – Zebra przyjrzał mu się uważnie z porozumiewawczym uśmiechem.

– Ja? – zdumiał się Emil. – Ja już jestem w nie wmieszany, prawda?

Rozdział 4

– Dobra – oświadczył Emil w sobotę po obiedzie. – Chyba zaczniemy od wykładu. Możesz opowiedzieć mi z grubsza o tych japońskich drzeworytach? Chcę mieć na ten temat choć blade pojęcie.

Marta siedziała w głębokim fotelu pod oknem, trzymając kota na kolanach. Bolero pochrapywał błogo. Podała Emilowi dość gruby album.

– Na początek przejrzyj to – zaproponowała. – Będziesz przynajmniej wiedział, o czym mowa.

– Znam tylko „Wielką falę”, tego, no...

– Hokusai – uśmiechnęła się. – To akurat wszyscy znają!

– Niech ci będzie. Opowiadaj!

– No, dobra – założyła na nos okulary do czytania i sięgnęła po inną książkę, leżącą obok na podręcznym stoliku. – Przygotowałam się. Mówiłam już, że nie jestem specjalistką od Dalekiego Wschodu!

– Ale ja nie potrzebuję żadnych specjalistycznych informacji! Przynajmniej nie na tym etapie! Powiedz po prostu to, co powinienem wiedzieć na początek. Prosty językiem. Lubię, kiedy opowiadasz o sztuce. Gdy opowiedziałaś mi o „Sądzie Ostatecznym”, to do dziś wszystko pamiętam...

Marta zaśmiała się.

– Przestań mi kadzić! Zacznijmy od tego, że klasyczne drzeworyty japońskie nazywają się *ukiyo-e*... Czyli „przemijający świat”. Sztuka przemijającego świata... Ładnie, prawda?

– Dość pesymistycznie? – Emil uniósł z powątpiewaniem krzaczaste brwi.

– Wręcz przeciwnie! Chodzi o to, by uchwycić chwilę, która właśnie przemija. Tak, jak robi to fotografia, w pewnym sensie... Termin *ukiyo-e* oznacza dosłownie „przemijający czas” lub „odchodzący świat”, czyli obraz świata, który przemija. Pojęcie wywodzi się jeszcze z filozofii buddyjskiej, z okresu japońskiego średniowiecza. Buddyjscy mnisi, owszem, rozumieli je w znaczeniu pesymistycznym: wyznawali zasadę, że świat doczesny pełen jest złudzeń, cierpień i udręki, że nie ma w nim nic stałego, wszystko przemija...

– To chyba tak jak wszyscy mnisi, nie wyłączając naszych? – Emil mrugnął ironicznie

i zapalił papierosa.

– Coś w tym jest. – Marta uśmiechnęła się. – Nie przez przypadek człowiek zostaje mnichem... Chyba trzeba być urodzonym pesymistą, żeby dobrowolnie odciąć się od świata! Ale idźmy dalej... W siedemnastym wieku pojęcie to przybrało zupełnie odmienne zabarwienie. Zostało wówczas powszechnie uznane w sensie hedonistycznym; jako świat wciąż zmiennych przyjemności codziennego życia, zmysłowych uciech i zabaw. To już coś znacznie bardziej dla ludzi, prawda?...

– Święta prawda! – Emil pokiwał ochoczo głową.

– W historii sztuki termin *ukiyo-e* odnosi się do twórczości szkoły malarskiej oraz drzeworytniczej, która powstała z początkiem okresu Edo – ciągnęła pochłonięta tematem Marta, nie zwracając na niego większej uwagi. – Okres ten trwał do połowy dziewiętnastego wieku, czyli do chwili otwarcia granic Japonii i jej europeizacji. Edo to po prostu dawna nazwa dzisiejszego Tokio, które jako ówczesna nowa stolica Japonii odegrało decydującą rolę w dziedzinie kultury, skąd promieniowała ona na cały kraj, na inne miasta. Bo okres Edo to przede wszystkim kultura miejska w okresie scentralizowanych rządów shoguna, kiedy Japonia całkowicie zamknęła się na resztę świata. Długi okres pokoju, sformalizowany układ społeczny oraz wzbogacenie się mieszczaństwa zaowocowały swoistą kulturą mieszczańską o charakterze narodowym, która pozbawiona była dominacji wpływów chińskich. Łatwa przyjemność, możliwa do osiągnięcia dzięki dobrym warunkom materialnym, stała się specyficznym bodźcem kulturowym: domy uciech, herbaciarnie, luksusowe wyroby rzemiosła artystycznego, powieści, ludowy teatr *kabuki* – oto codzienne radości mieszkańców miasta. Oni właśnie byli odbiorcami malarstwa *ukiyo-e*, zwłaszcza drzeworytu – tańszego, powielanego w licznych odbitkach, operującego czytelną formą. Odbiorcami, ale i twórcami, gdyż większość artystów *ukiyo-e* wywodziła się z tej właśnie warstwy społecznej. Drzeworyt był jednocześnie odzwierciedleniem życia i ideologii mieszczaństwa. Dziś to właśnie one stanowią dla nas najoryginalniejszy przejaw sztuki okresu Edo, gdyż oddawały wiernie klimat epoki, obyczaje, modę, rozrywki, pracę, ideały... Tematyką drzeworytów było w zasadzie życie miasta i jego mieszkańców, a więc herbaciarnie, scenki z domów rozpusty, sklepy, uliczki i zaułki Edo, szczęśliwe życie rodzinne, świat gejsz, pięknych kurtyzan i aktorów teatru *kabuki*. Znacznie rzadziej ukazywały trudy i troski życia codziennego, stanowiąc pewien rodzaj ucieczki przed nimi w sferę radości i zabawy. Przez długi czas tematykę drzeworytu *ukiyo-e* zdominowały portrety słynnych kurtyzan, gejsz i aktorów. Wynikało to z ich szczególnej pozycji i popularności w mieszczańskim środowisku. Gejszom i aktorom okazywano podziw graniczący z uwielbieniem. Zupełnie jak dzisiaj! – roześmiała się Marta. –

Ludzie nie potrafią żyć bez swoich gwiazd... Duży wpływ na drzeworyt wywarła także popularna wówczas literatura, zwłaszcza ta o charakterze miłosnym. Książki często zdobione były drzeworytami.

– Kim była gejsza? – przerwał jej Emil. – Znam pojęcie, ale jest dla mnie kompletnie niejasne. Kurtyzana? Czyli o prostu... dziwka?

– Absolutnie nie! – zaprotestowała. – To typowe nieporozumienie, wynikające z różnic kulturowych. Pospolite dziwki istniały zawsze, w Japonii oczywiście też. Nie cieszyły się szacunkiem, żyły zamknięte w dzielnicach rozpusty. Kurtyzana to, powiedzmy, droga dziwka. Wyższa półka. W dawnej Japonii szanowano słynne kurtyzany jak, powiedzmy, w starożytnym Rzymie. Były piękne, miały swoich bogatych patronów. Japończycy nie są pruderyjni, a swoboda obyczajów zawsze była u nich większa niż u nas, co szokowało europejskich moralistów. Ale gejsza to jeszcze coś zupełnie innego... Nie ma w kulturze europejskiej swego odpowiednika. Niektórzy twierdzą, że była kimś w rodzaju hostessy, ale to też nie oddaje istoty rzeczy. Gejsza to raczej, bardzo ogólnie... artystka japońska. Ucieleśniała wszystko, co ważne w japońskiej kulturze. Były to w ówczesnej Japonii jedyne wszechstronnie wykształcone, niezależne i wpływowe kobiety. Tworzyły własną społeczność. Obowiązywały je – przynajmniej teoretycznie – dość surowe zasady moralne. Nie sprzedawały swego ciała, tylko wiedzę, tradycyjną kulturę, sztukę uczonej konwersacji, taniec, muzykę... Pisały poematy, pielęgnowały ceremonię picia herbaty, potrafiły dyskutować na wszystkie tematy. Oczywiście, w praktyce doświadczona gejsza mogła swobodnie wybierać sobie mężczyzn, ale nie to jest akurat najistotniejsze. Och, długo by o tym opowiadać! Lepiej wracajmy do drzeworytu, bo mi się wszystko pomiesza. Co jeszcze jest ważne... Może sama technika?

– Może być – skinął głową Emil.

Marta ponownie zajrzała do notatek. Przejrzała je pobieżnie, po czym uniosła głowę i referowała z pamięci:

– W procesie powstawania drzeworytów uczestniczyli: malarz, rytownik oraz drukarz. Artysta wykonywał właściwy rysunek czarnym tuszem na bibułce, którą rytownik naklejał zarysowaną stroną na deskę z wiśniowego drewna, a potem wycinał nożem linie rysunku. Oryginalne dzieło malarza ulegało więc zniszczeniu. Potem drukarz robił czarną farbą odbitki próbne przeznaczone dla malarza w celu zaznaczenia odpowiednich kolorów. Oznaczone próbkami barw odbitki wracały do rytownika, który wykonywał tyle desek, ile kolorów przewidział artysta. Dla każdego koloru istniała osobna deska, czyli klocek. Liczba klocków mogła być różna. Dla druków luksusowych, zwanych *surimono*, w późnym okresie rozwoju

drzeworytu dochodziła nawet do kilkunastu. Następnie drukarz odbijał czarny kontur oraz elementy barwne na papierze zwilżonym wodą. Papier dociskał specjalnym przyrządem w kształcie dysku, zwanym chyba... czekaj... Mam: *baren!* Czynność powtarzał wielokrotnie, w zależności od zamierzonego nakładu. Papier czerpany był zawsze ręcznie – trwały, miękki i świetnie wchłaniający farby, stanowił doskonały materiał dla odbitek drzeworytniczych.

– Farby – tłumaczyła dalej Marta – były wyłącznie pochodzenia roślinnego lub mineralnego, co pozwalało uzyskać niepowtarzalną subtelność barw. Wyjątkowo piękny kolor niebieski uzyskiwano na przykład z wygotowanych liści indyga, a karmin z kwiatów ostu. Niekiedy stosowano też dodatkowe, wyrafinowane techniki, na przykład ślepe tłoczenie lub posypywanie fragmentów planszy sproszkowanym srebrem, miedzią, mikią, a nawet złotem. Zabiegi te zwykle zarezerwowano dla luksusowych *surimono*. Drzeworyty takie miały najczęściej charakter okolicznościowy i przeznaczone były dla małej grupy odbiorców lub na specjalne zamówienie. Takie ręcznie wykonane luksusowe pocztówki. Doskonałość techniki drzeworytu japońskiego, tajniki warsztatu i perfekcja wykonania to efekt wielowiekowej tradycji artystycznej. Zjawisko niepowtarzalne w dziejach sztuki światowej. Późniejsze europejskie próby naśladownictwa dały fatalne rezultaty. Istotny jest również fakt, że za autora drzeworytu uchodził zawsze artysta, czyli malarz. Koncepcja, pomysł, idea były ważniejsze od pracy odtwórczej. Chociaż jak na nasze standardy, to ci rytownicy i drukarze też byli artystami...

Marta przerwała i wzruszyła ramionami.

– To by chyba było na tyle? – kontynuowała po chwili. – O historii drzeworytu nie będę ci przecież szczegółowo opowiadać. I tak nie zapamiętasz... Kilka najważniejszych nazwisk twórców mogę ci rzucić, to sobie resztę sprawdzisz w necie. Mniej więcej chronologicznie: Moronobu. Malował świńskie scenki. Harunobu – pierwszy z wielkich sław. Osiemnasty wiek. Malował prześliczne gejsze. Wielki Utamaro, portrecista pięknych kobiet. Bardzo manieryczna linia, geniusz. Potem... Tajemniczy Sharaku, prawie karykaturzysta. Podobno jego dzieła były gorszące. Cenzura go załatwiła. W Japonii za czasów shogunatu działała wyjątkowo metodycznie. Kunisada – malował aktorów *kabuki*, tak jak Sharaku. No i sławy na całą Europę – to już dziewiętnasty wiek – Hiroshige i twój Hokusai. Obaj wprowadzili samodzielny pejzaż do drzeworytu japońskiego. Hiroshige – liryczny i nastrojowy, Hokusai – dynamiczny i monumentalny...

– Mów dalej! – ponaglił ją Emil niecierpliwie. – Wciągnęło mnie to. Znalazłem drzeworyty tych malarzy w twoim albumie. Podobają mi się... Serio. Były strasznie... jak by to powiedzieć? Nowoczesne!

– Dalej?... Dalej kończy się okres Edo oraz drzeworyty *ukiyo-e*. Japonia otwiera się na świat. Następuje tak zwana era Meiji, od ówczesnego cesarza Matsuhito, który przybrał tytuł *Meiji*, po japońsku „oświecony”, symbolicznie *zaznaczając* nadejście nowych czasów. Towarzyszyły im zmiany polityczne i różne ważne wydarzenia historyczne, ale pozwól, że je pomnę... Poczytasz sobie o tym później, jeśli cię to interesuje... W każdym razie tradycyjny drzeworyt *ukiyo-e* przeminął ze śmiercią Hiroshige. A jednak, wraz z otwarciem Japonii na świat w okresie Meiji – był to umownie rok 1868 – zastąpił go nowy nurt grafiki japońskiej, dokumentujący już zupełnie nową rzeczywistość. Nazwano go *hanga*, po japońsku dosłownie „drzeworyt”. Do niedawna jeszcze niedoceniany, ostatnio na nowo odkryty i przeżywający w Europie swój renesans. Uwielbiam go. Wyróżnia się nowatorskimi cechami formalnymi, wzbogaconymi o takie osiągnięcia sztuki zachodniej jak perspektywa, barwa, a nawet tematyka. Artyści japońscy podzielili się na dwie grupy. Jedni całkowicie poddali się wpływom europejskim i na swoich barwnych drzeworytach utrwalali nowe zjawiska oraz osiągnięcia techniki, na przykład samochody, kolej i europejskie stroje, czyniąc to w konwencji grafiki zachodniej. Inni poprzestali na ostrożnym wzbogaceniu tradycyjnej techniki drzeworytu *ukiyo-e* zdobyciami europejskiej perspektywy lub swobodniejszą techniką malarską, pozostając nadal w klasycznej japońskiej tematyce oraz dbając o zachowanie rodzimej odrębności estetycznej. Oba gatunki, ale zwłaszcza ten pierwszy, ukazują wiele aspektów rozwoju oraz życia codziennego nowej Japonii. A była to szalenie ciekawa epoka! Rewolucyjna, powiedziałabym... Wszystko się wtedy zmieniło. Japonia w ciągu paru lat, dosłownie w biegu, przeobraziła się ze średniowiecznego feudalnego kraju w nowoczesne państwo, dorównujące zachodnim mocarstwom. Wracając do historii sztuki: powstały także nowoczesne szkoły malarskie o nazwach swojsko brzmiących, jak Akademia Sztuki Japońskiej, Stowarzyszenie Sztuk Pięknych Meiji i tak dalej...

Marta wzięła głęboki oddech i kontynuowała:

– Twórczość artystów japońskiego drzeworytu okresu Meiji nie doczekała się jeszcze wnikliwego opracowania. Znam nazwiska kilku artystów, dość cenionych obecnie na rynku sztuki. Na przykład Kono Bairai, który zasłynął z przedstawień „ptaków i kwiatów”, tak to się fachowo nazywa. Albo Ogata Gekko, który był bardzo płodny, czy nieco wcześniejsi malarze Zeshin i Koson. Malowali fantastyczne wizerunki zwierząt! Któryś z nich namalował takie małpy, za które dałabym się chyba pokroić... Niestety, wiele drzeworytów uległo zniszczeniu, gdyż były niedoceniane. Szkoda. Papier nie jest zbyt trwałym materiałem, a ówcześni Japończycy traktowali swoje drzeworyty mniej więcej tak, jak dzisiaj traktujemy plakaty na rozkładówkach kolorowych czasopism. Paradoksalnie, dopiero cudzoziemcy naprawdę

docenili ich wartość, a i to, jeśli chodzi o Meiji, dopiero niedawno. Schyłek pewnego etapu kultury, narodziny nowej epoki to zawsze pasjonujący temat, a drzeworyty *hanga*, podobnie jak *ukiyo-e*, są skarbnicą wiedzy! W pewnym sensie pełniły rolę współczesnej fotografii. Nowoczesna fotografia z kolei podpatrzyła ich metody kompozycji i kadrowania obrazów rzeczywistości. To właśnie dlatego na początku porównałam drzeworyt japoński z fotografią...

Marta zamilkła. Emil jakby ocknął się z zadumy.

– To już wszystko? – zapytał zawiedziony.

– Co to znaczy: „wszystko”?! – oburzyła się. – Jasne, że to nie wszystko! Na ten temat napisano setki książek! Życia by ci nie starczyło, żeby poznać „wszystko”. To najważniejsze, co mogę ci przekazać na temat japońskiego drzeworytu. W skrócie. Jeśli za mało, to proszę bardzo, kilka opracowań znajdziesz w mojej bibliotece. O, tutaj!

– Ok, ok! Nie złość się! Rozmarzyłem się tylko. Zapachniały mi dalekie lądy i oceany. Egzotyka, rozumiesz? Urodziłem się w portowym mieście... Tkwi we mnie uśpiony duch podróżnika i obieżyświata!

Marta roześmiała się głośno.

– Bardzo uśpiony... – spuentowała złośliwie. – Dobra, duchu. Już mi gęba wyschła od tego gadania. Zrób herbaty!

– Zielonej? W Japonii chyba tylko taką piją... – zauważył niewinnie.

– Czarnej! Z cukrem! Jesteśmy tutaj! W Polsce, w Gdańsku! – Marta popukała się w czoło. – Wytrzeźwiej lepiej!

Emil posłusznie podreptał do kuchni, mamrocząc pod nosem „już się robi”, by włączyć wodę na herbatę. W głowie miał same piękne gejsze, shogunów i widoki góry Fuji. Intrygujący świat dawnej Japonii. Nadal jednak nie rozumiał, dlaczego ktoś miałby dla japońskich drzeworytów zabijać! Postanowił prześledzić ich ceny na aukcjach i w antykwariatach.

Ustawił kubki z herbatą na tacy i wrócił do pokoju. Marta przeglądała album, który odłożył na stolik.

– Wiesz? Żałuję, że nie mam choć jednego japońskiego drzeworytu na ścianie... – oznajmiła. – Są piękne. I wcale nie takie drogie. To i tak jedna z nielicznych dziedzin kolekcjonerstwa, dostępna cenowo dla przeciętnego człowieka...

– No właśnie – odparł, zapalając papierosa. – Coś jednak przeoczyłaś w życiu, kochana! Ale nie martw się, jeszcze nic straconego. Ale skoro one nie są bardzo drogie... O co, do cholery, może chodzić z tymi drzeworytami?

- Masz na myśli te morderstwa?
- Właśnie...
- Nie mam zielonego pojęcia. Też się nad tym głowię.
- Sprawa musi dotyczyć kolekcjonerów! Nie widzę na razie innej możliwości. To jedyne, czego możemy się na początek uczepić.
- Dobra – Marta podniosła się z fotela. – Wygrałeś. Spróbuję zdobyć informacje o kolekcjonerach sztuki japońskiej w Trójmieście. Kilku takich może się znaleźć?
- Wchodzisz w to? – ucieszył się Emil, lecz szybko się zreflektował; już raz naraził Martę! Teraz też zginęli ludzie...
- A co myślałeś? – prychnęła jak zirytowany Bolero. – Że sam w to będziesz włąził?! Niedoczekanie twoje, skarbie!

Rozdział 5

Emil snuł się po gdańskiej starówce, zaglądając do różnych antykwariatów i wypytyjąc o drzeworyty japońskie. Zdobyte wiadomości potwierdzały tezę Marty – drzeworyty bywały na rynku sztuki, ale ich ceny nie tłumaczyły krwawych zbrodni, przypuszczalnie dokonanych w związku z nimi. Krótko mówiąc, nie były to raczej dzieła sztuki, dla których komukolwiek opłacałoby się zabijać...

Siąpiła nieprzyjemna, zimna mżawka. Emil wstąpił do pierwszej napotkanej kawiarni, by rozgrzać się gorącą kawą i spokojnie podumać. Zamówił espresso i – ku swej satysfakcji dostrzegając na stoliku popielniczkę – zapalił papierosa. Zastanawiał się, z której strony ugryźć tę sprawę. Najwyraźniej wszystko kręciło się wokół japońskich drzeworytów. Trzeba by zainteresować się kontaktami tego... jak mu tam... Alfreda Zagórnego. Facet posiadał drzeworyty, został brutalnie zamordowany, a jego mieszkanie splądrowano. Ten chłopak, Rafał Dzedzic, był z nim zaprzyjaźniony, pracowali razem, więc mógł coś wiedzieć. Musiał być w to wszystko jakoś zamieszany, skoro także zginął... Tylko dlaczego i w jakim celu wplątał w to wszystko jego – Emila Żądło?

Dziennikarz postanowił pogadać najpierw z kolekcjonerami drzeworytów japońskich mieszkającymi w Trójmieście. Tacy zazwyczaj wiedzą, co się dzieje, co w trawie piszczy, znają różne środowiskowe plotki i sensacje. A jakkolwiek by było, Zagórny miał kolekcję. Być może kontaktował się z nimi, na przykład chcąc coś sprzedać? Marta podobno przygotowała już ich listę – nie była długa. Da się ich obskoczyć w jeden dzień.

– Gdyby chodziło o miśnieńską porcelanę, srebrne cukiernice, numizmaty albo o, na przykład, secesyjne wazony – to co innego. Kolekcjonerów sztuki dalekowschodniej znajdzie się pewnie kilku, ale takich od japońskich drzeworytów, to nie wiem... Poważnych zbieraczy będzie może ze dwóch? Nie licząc antykwariuszy, a z tego, co wiem, to w Trójmieście jest tylko jeden antykwariat specjalizujący się w sztuce Dalekiego Wschodu. To wciąż jeszcze nie jest w Polsce zbyt popularna dziedzina – tłumaczyła mu z powątpiewaniem poprzedniego wieczoru.

I najwyraźniej się nie pomyliła.

Emil dopił kawę i skinął na kelnera, by zapłacić rachunek. Wychodził już, gdy

odezwała się jego komórka. Zerknął na ekran: Zebra! Schował się pod markizę, by odebrać – na zewnątrz było równie paskudnie, jak przed godziną.

– Słuchaj, czy to nie ty łazisz po antykwariatach w Gdańsku i wypytujesz o drzeworyty japońskie?! – zaatakował Marek bez wstępów.

– Ja, a co? – zdumiał się Emil.

– Tak sądziłem. Opis się zgadzał. Cytuję: „Koło czterdziestki, ciemne włosy, przydługie, kędzierzawe, w nieładzie, kilkudniowy zarost, dżinsowa kurtka podbita sztucznym misiem, szalik w kratę”. Któż to mógł być?! Jedna kobitka z Desy dodała, że „przystojniak”! Ale ona ma podobno wadę wzroku... Ty przestań straszyć ludzi! Właśnie dziś nad ranem, do jednego z antykwariatów w Sopocie było włamanie. Bardzo zagadkowe, ponieważ nie zginęło nic wartościowego. A było tam ponoć co kraść. Złodziej – lub złodzieje – interesowali się wyłącznie... No, zgadnij! Japońskimi drzeworytami! Zginął tylko jeden mały. Nic wartościowego, żaden Utamaro albo... ten, no...

– Hokusai? – odpowiedział Emil.

– Właśnie. Na składzie mieli akurat kilka drzeworytów, sama taniocha. Jeden zniknął, a pozostałe powyrywali z ramek i zostawili na podłodze. Może ktoś ich spłoszył... I co ty na to? Ciekawe, co? Coś za dużo tej japońszczyzny ostatnio! Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby to było aż tak popularne.

– Musi być jakiś związek... Skończyliście już tam? – zapytał Emil. – Antykwariat jest otwarty? Zastanę kogoś z personelu? Podjechałbym. Może dowiem się na miejscu czegoś ciekawego.

– Tak, lokalna policja już zebrała ślady i przesłuchała właściciela. Wieczorem dostaniemy kopię raportu. W zasadzie to niby drobiazg. Małe straty, najpoważniejsza z nich to zbita szyba. Musieli to zrobić w nocy, antykwariat znajduje się w zaułku... To mały sklepik, facet jest zarazem właścicielem i sprzedawcą. Miał zrobić remanent po tym włamaniu i naprawić okno, więc pewnie będzie tam jeszcze.

– Dasz mi adres?

– Zaraz ci prześlę wizytówkę na komórkę...

Wiatr wciąż wiał nieznośnie, mżawka przerodziła się w drobno zacinający, ostry deszczyk. Emil postawił kołnierz kurtki i pomknął do swego staruszka – od lat tego samego czerwonego peugeota – którego zostawił na parkingu przed dworcem.

Miał tylko nadzieję, że w antykwariacie nie zastanie kolejnego trupa mającego związek z japońskimi drzeworytami.

Rozdział 6

Antykwariat znalazł bez trudu, choć sklepik ukryty był w bocznej uliczce, pomiędzy straganami a podwórkiem starej kamienicy. Mieścił się w niskim, wolno stojącym budynku. Już z daleka w oczy rzucało się okno prowizorycznie zabite dyktą. Na drzwiach wisiała karteczka „REMANENT”.

Emil zastukał. Po chwili drzwi lekko się uchyliły.

– Dziś zamknięte.

– Tak, wiem. – Emil wyjął swoją legitymację dziennikarską. – Chciałbym z panem zamienić kilka słów, jeśli można...

– Ach, to pan! – Drzwi zostały otwarte szerzej, aż rozdzwonił się staroświecki gong. – Pan Żądło. Proszę... Dzwonili z policji. Uprzedzali, że pan do mnie zajrzy.

Emil w duchu pobłogosławił Zebkę.

Mężczyzna okazał się schludnym i eleganckim starszym panem, siwym jak gołąbek, pachnącym dobrą wodą kolońską, ubranym staromodnie w szary prążkowany garnitur z muszką. Pasował jak ulał do swego niedużego sklepu, urządzonego – jak na pierwszy rzut oka zauważył Emil – ze smakiem. Wnętrze było dość ciemne, tylko dyskretnie oświetlone, co dodawało mu aury tajemniczości. Na antycznych meblach wzdłuż ścian ustawiono stare zegary, ozdobne lampy naftowe, wymyślne wazon, porcelanę w oszklonych gablotkach, mosiężne figurki i inne piękne przedmioty. W rogu – na stylowej serwantce – rozsiadł się wielkich rozmiarów, połyskujący złotem, polichromowany posąg Buddy z sandałowego drzewa. Po przeciwnej stronie kusila klientów naga, alabastrowa Wenus. Podłoga wyłożona została starym dywanem, ze wzorem w girlandy wyblakłych róż. Na okrągłym stoliku pod oknem znajdowały się przeróżne drobiazgi: stare karty do gry, wachlarze, papierośnice, kałamarze, flakoniki na pachnidła, zabytkowe wieczne pióra. Na białych ścianach wisiały obrazy olejne, akwarele, pastele i grafiki. W pomieszczeniu pachniało dymem kadzidełek. Z tyłu, o jeden stopień wyżej, znajdowała się wnęka z biurkiem zavalonym papierami. To do niej antykwariusz poprowadził Emila.

– Proszę usiąść. – Wskazał mu wygodny fotel naprzeciw biurka. – Reflektuje pan może na małą kawkę?

– Chętnie – Emil ostrożnie umościł się w zabytkowym foteliku. – Czy to cacko się przypadkiem pode mną nie zarwie?

– Skąd! – uśmiechnął się mężczyzna. – To solidny stary mebel. Porządna robota.

Zakrzętała się wokół mosiężnego ekspresu do kawy. Wszystko tu – z wyjątkiem laptopa na biurku – było zabytkowe. Nawet filiżanki, które wyjął właściciel antykwariatu, stanowiły istne małe arcydzieła dawnej ceramiki.

– To Miśnia – potwierdził starszy pan, zauważając pełne podziwu spojrzenie Emila.

Po chwili we wnętrzu zapachniała kawa.

– No więc, słucham pana – zachęcił antykwariusz, rozlewając aromatyczny płyn do filiżanek i podsuwając gościowi cukiernicę w tym samym stylu co filiżanki. – Chce pan zapewne dowiedzieć się czegoś o tym zagadkowym włamaniu? W istocie było dziwne. Szczęśliwie niczego wartościowego nie skradziono. A znalazłoby się tu parę rzeczy wartych zachodu złodzieja...

– Coś jednak zginęło? – zauważył Emil.

– Tylko jedna rzecz, w dodatku niezbyt cenna. Mały japoński drzeworyt, przedstawiający bodajże kwiaty orchidei. Należał do kompletu kilku podobnych, był jednym z cyklu. Pozostałe powyciągano z ramek i porzucono. Domyślam się, że złodzieja – lub też złodziei – ktoś spłoszył, dlatego może nie zdążył ukraść niczego więcej. Ale dlaczego połaścił się akurat na ten skromny drzeworyt – nie mam pojęcia...

Emil skosztował kawy. Smakowała wyśmienicie. Być może w tym otoczeniu wszystko smakowałoby inaczej.

– Trudno uwierzyć, że byli koneserami – zażartował.

– Koneserzy zazwyczaj nie kradną – odparł poważnie antykwariusz. – To naprawdę niedroga rzecz. Stosunkowo późny okres, nieznaną twórcą, nieznaną serią. Przyjąłem je, bo były bardzo ozdobne, a na ścianie porządnie urządzonego mieszkania wyglądałyby na pewno o wiele mniej banalnie niż wiejskie reprodukcje z księgarni, a były w tej samej cenie...

– Mógłbym obejrzeć te pozostałe?

– Naturalnie. – Starszy mężczyzna uniósł się zza biurka i podszedł do niedużej szafki w rogu pomieszczenia. – Odłożyłem je do ponownego oprawienia. Na szczęście nie zostały zbyt uszkodzone. Bardziej ucierpiały oryginalne ramki, bo złodzieje obeszlili się z nimi dosyć brutalnie.

Podał Emilowi szarą teczkę z niewielkimi barwnymi grafikami w starym *passe-partout* z pożółkłego kartonu. Było ich pięć. Gdy tylko Emil na nie zerknął, natychmiast poczuł ukłucie w sercu. Zupełnie jak miłość od pierwszego wejrzenia! Drzeworyty zachwyciły go,

zaczarowały. Przedstawiały rozmaite scenki z sylwetką tej samej chyba urodziwej kobiety umieszczonej w różnej scenerii, wszystkie utrzymane w delikatnej, srebrzystej tonacji. Drzeworyty odbite zostały na cienkiej, jakby lekko marszczonej bibułce. Na szczęście złodzieje nie zniszczyli ich, jedynie trzy miały lekko pocięte brzegi *passee-partout*.

– Są piękne! – westchnął Emil.

– Tak – uśmiechnął się życzliwie antykwariusz. – Rzeczywiście. Aczkolwiek nie sądzę, by złodziejem powodowały względy estetyczne.

Emil niechętnie odłożył drzeworyty na biurko. Antykwariusz odruchowo przesunął je poza zasięg ewentualnie rozlanej kawy.

– Ma pan może jakieś... konkretne podejrzenia? – Emil nie bardzo wiedział, jak zadać to pytanie. Zamierzał zasugerować antykwariuszowi odpowiedź, czyli dać okazję do wyjawienia informacji na temat dziwnych przypadków z drzeworytami japońskimi w tle, o ile oczywiście takie informacje posiadał. Antykwariusz chyba wcale nie słyszał o tych sprawach, bowiem w odpowiedzi rozłożył tylko bezradnie ręce.

– Nie sądzę – odparł. – Widocznie złodzieje słabo znali się na antykach. Albo nie zdążyli niczego ukraść, ponieważ zostali przez kogoś spłoszeni, na przykład przez przypadkowego przechodnia. Chwycili więc tylko to, co im akurat wpadło w ręce i uciekli...

– Ale po co wyjmowali drzeworyty z ramek?

– Tego nie wiem. – Starszy pan wzruszył ramionami. – Może szukali jakiegoś podpisu w zrozumiałym dla nich języku? A może uznali, że bez oprawy będą po prostu lżejsze do wyniesienia? Ramki nie były zbyt imponujące, choć stare, bo na pewno pochodziły z epoki. Dość prymitywne. Tandetne szklane szybki zabezpieczono szarą taśmą, a z tyłu obklejono tekturą. Jak to się mówi – prowizorka. Ale przetrwały ze sto lat...

– Czy ma pan alarm? – zmienił temat Emil.

– Oczywiście, jestem także ubezpieczony. Lecz mój alarm jest dość prosty. Złodziejom w mig udało się go odłączyć. Mam w planie porządne zabezpieczenia, jednak... Rozumie pan, to nie jest obecnie zbyt intratny interes. Społeczeństwo biedne, to i zainteresowanie sztuką niewielkie. Ludzie myślą o bardziej przyziemnych rzeczach... Niestety. Zawsze był tu spokój, nikt nie okrada na co dzień takich malutkich sklepików ze starociami jak mój – uśmiechnął się. – W końcu musiało się to widocznie przydarzyć...

Naraz Emilowi przyszło coś do głowy:

– A kto sprzedał panu te drzeworyty? Pamięta pan?

Antykwariusz nastroszył się lekko.

– Zapisalem to gdzieś, kiedy robilem wycenę – odparł ostrożnie. – Ale... Nie

powiniennem szafować nazwiskami. To tajemnica zawodowa.

– Rozumiem. Szkoda. Bo może to pozwoliłoby coś wyjaśnić...

– Wyjaśnić?

– Widzi pan, to nie pierwszy incydent z japońskimi drzeworytami. Dokonano ostatnio paru przestępstw i także chodziło o drzeworyty. Włamanie do pańskiego sklepu może mieć z nimi jakiś związek. Czy podawał pan te dane policji?

– Nie – zawahał się starszy człowiek. – Nie pytali. Ale pan też ma coś wspólnego z policją, prawda? Dobrze, podam panu to nazwisko. Skoro może to pomóc w śledztwie... Chwileczkę...

Włączył komputer i szybko coś sprawdził.

– Jest – oznajmił po chwili. – Drzeworyty nabyłem jakiś miesiąc temu. Należały wcześniej do zmarłego kolekcjonera, a sprzedali je spadkobiercy. Konkretnie jedna pani. Matylda Błaszczak-Zagórny... Albo Zagórna?

Emil wyprostował się nagle.

– Przepraszam, jak? Zagórny?!

– Owszem.

– Czy poprzedni właściciel nazywał się Alfred Zagórny? Znał go pan? – Emil poczuł przyspieszone bicie serca.

– Niestety nie, nic mi to nie mówi – pokręcił głową antykwariusz. – Zanotowałem sobie tylko nazwisko osoby sprzedającej oraz informację, że obiekty pochodzą z kolekcji rodzinnej.

– Ma pan może adres tej pani?

– Niestety. Ale wiem, że przyjechała z Bytowa.

– Bardzo panu dziękuję. – Emil podniósł się z fotela. – Za informacje, za miłą rozmowę i za pyszną kawę. Nie będę zajmował panu więcej czasu.

– Nic nie szkodzi, i tak czekam na szklarza. Miło mi było – odparł uprzejmie antykwariusz, również wstając. Zebrał leżące na biurku drzeworyty, z wyraźnym zamiarem schowania ich z powrotem do szafy.

– Chwileczkę! – pod wpływem nagłego impulsu powstrzymał go Emil. – Chciałbym kupić te drzeworyty...

– Od razu? Bez oprawy? – zdumiał się starszy pan. – Gdyby pofatygował się pan, powiedzmy, pojutrze, dodałbym eleganckie ramki.

– Nie trzeba – machnął ręką. – Ramki to drobiazg! Wolałbym nabyć te drzeworyty od razu. Tylko nie wiem, czy mnie na nie stać?

Pomyślał sobie rozpaczliwie, że w najgorszym przypadku ma w portfelu kartę kredytową. Musiał mieć te obrazki! Po prostu musiał...

– Na pewno! – zaśmiał się serdecznie antykwariusz. – Szanownemu panu, ze względu na specjalne okoliczności, sprzedam je po specjalnej cenie. A ramki niech pan najlepiej dobierze proste, metalowe, barwy srebra. Proszę pozwolić, zapakuję...

Rozdział 7

Bytów jest urokliwym miasteczkiem, skupionym wokół imponującego krzyżackiego zamczyska. Emil bez trudu odnalazł numer telefonu pani Matyldy Zagórnej – jak się okazało, siostry zmarłego Alfreda Zagórnego – w starej książce telefonicznej i umówił się z nią na popołudnie w jej mieszkaniu. Ponieważ przyjechał za wcześnie, obszedł najpierw zamek dookoła, zajrzał na pięknie odrestaurowany dziedziniec, zrobił kilka zdjęć, po czym wstąpił na pizzę do niewielkiego baru opodal. Pizza była tu co prawda śmiesznym małym placuszkami z górą różności obłożonych... majonezem, jednak sympatyczny właściciel wręczył mu gratis folder z planem miasta i rozgadał się na temat historii zamku. Czas do umówionego spotkania zleciał więc szybko.

Emil odnalazł na planie poszukiwaną ulicę i już po chwili dzwonił do drzwi mieszkania, znajdującego się na trzecim piętrze bloku z epoki gierkowskiej, aczkolwiek schludnie odmalowanego i utrzymanego w czystości. Pani Matylda Zagórna okazała się gadatliwą niewiastą w średnim wieku, może po pięćdziesiątce, dość otyłą, tlenioną na platynowy blond i mocno umalowaną. Poczęstowała Emila herbatą z cytryną i zaferowana sama zachęcała do zadawania pytań.

– A pan tego potrzebuje do gazety? – zapytała na wstępie z błyskiem w oku.

– Możliwe – wyjaśnił. – Prowadzę dziennikarskie śledztwo. Część materiałów na pewno wykorzystam w reportażu.

– Na temat zabójstwa mego brata?

– Też. Choć to jest chyba szersza sprawa...

– O, to bardzo dobrze! Ma pan rację z tą szerszą sprawą. Ja tam od początku to samo mówiłam. Proszę się częstować, to placek domowej roboty. Prawdziwe śliwki, węgierki! Bardzo dobrze, że ktoś się tym wreszcie poważnie zajmie. To strasznie niegodziwe. Mój brat stał się ofiarą nietolerancji tego społeczeństwa i tyle!

– Słucham? – zdziwił się Emil z ustami pełnymi placeka śliwkowego.

– No, wie pan – zerknęła ku niemu porozumiewawczo. – Brat był gejem. Dlatego nigdy się nie ożenił. Żył po swojemu. I to pewno dlatego go zamordowali. Choć przecież nikomu nie wadził, prawda?! Mało to takich przypadków?

– Czy brat miał... partnera? – podchwycił szybko.

– Miał, miał – westchnęła. – Nawet od paru lat tego samego, poznali się w pracy. Ale nikt o tym nie wiedział! Musieli się kryć przed ludźmi z tym związkiem. Bo wie pan, brat pracował na uniwersytecie, wykładał historię. A ten jego przyjaciel też. U brata doktorat miał robić, bo najpierw był jego studentem. Młody człowiek, zresztą bardzo miły i bardzo oddany bratu... Strasznie przeżył to morderstwo, biedaczek.

– Miał na imię Rafał?

– Tak, Rafał Dziedzic – przytaknęła energicznie. – Wie pan, ja tam nie mam nic przeciwko takim związkom, dopóki ktoś nie robi krzywdy innym. Żyj i daj żyć innym, jak to się mówi...

– Racja, proszę pani. Ale nie wszyscy są tacy tolerancyjni.

– Otóż to...

No, to przynajmniej jedną kwestię mamy wyjaśnioną – pomyślał Emil. Związek między obiema ofiarami. Już wcześniej się tego domyślał. Czy miało to jakiś związek ze sprawą, okaże się z czasem. Emil sądził, że jednak nie miało. Mogło jednak wpłynąć na emocje Rafała Dziedzica po morderstwie Zagórnego.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Było standardowe. Seryjne meble, żadnych antyków, a na ścianach współczesna pamiątkowa metaloplastyka, zwykła reprodukcja „Słoneczników” Van Gogha i zdjęcie papieża.

– Mówiła pani policji, że brat był gejem?

– Nie mówiłam, bo oni tylko, że włamanie na tle rabunkowym, rozumie pan... A przecież tam nic cennego nie było! Wiem, bo sama sprzedałam potem te starocie, które ocalały, do antykwariatu w Sopocie. Patrząc już na nie nie mogłam.

– Dlaczego w Sopocie? A nie tutaj?

– A bo tu nikt by takich nie kupił! To takie, wie pan, egzotyczne rzeczy były, dosyć nietypowe. W dużym mieście inna klientela. A ja przecież z Gdańska pochodzę, tu się dopiero po ślubie przeprowadziłam. Robiłam porządek w mieszkaniu brata, a ten antykwariat znalazłam przez koleżankę. Ona mieszka w Sopocie. Pomagała mi z tym wszystkim, bo mój mąż jest bardzo zapracowanym człowiekiem i nie miał czasu. Sama bym sobie chyba nie poradziła. I bardzo dobrze trafiłam z tym antykwariatem, bo ten pan zapłacił mi od razu, a nie wziął w komis, jak niektórzy.

– Czy brat przed śmiercią zachowywał się dziwnie? Rozumie pani: inaczej niż zwykle? – Emil dołożył sobie jeszcze jeden kawałek ciasta.

– A wie pan, że tak? – ożywiła się. – Myśli pan, że jednak zabili go dla tych

obrazków? Wszystko możliwe, ale jedno nie wyklucza drugiego, prawda? Faktycznie, Alfred jakiś czas temu zaczął się nagle interesować tą całą japońszczyzną. Aż się dziwiłam, bo wcześniej te obrazki wisiały sobie spokojnie i nikt o nich nie pamiętał. Tymczasem jakiś tydzień przed śmiercią brat przywiózł do mnie jeden z nich i kazał przechować. Mówił, że coś po rodzicach powinno też być u mnie, nie tylko u niego. Mnie tam na tym nie zależało, ale nie kłóciłam się, nawet powiesiłam sobie w sypialni...

Emil o mało nie zerwał się na równe nogi.

– Ma pani ten obrazek?!

– Nie mam. Sprzedałam go razem z resztą. Mówiłam już panu, że nie mogłam na nie patrzeć po śmierci brata – odparła z godnością. – Książki i meble też posprzedawałam. Tylko niektóre podarowałam Rafałowi. W końcu jemu też coś się należało po Alfredzie.

– Oczywiście. A co on przedstawiał, ten... obrazek?

– Nic nadzwyczajnego! – Wzruszyła obojętnie ramionami. – Takie tam. Pełno liści i jakieś kwiaty. Białe. Ja tam w takich rzeczach nie gustuję, a jeszcze co spojrzałam, to brat mi się przypominał. Wołałam się pozbyć i już.

– No tak. To zrozumiałe – odchrząknął. Z niejedną słodką idiotką miał już do czynienia i nauczył się im nie sprzeciwiać. – A skąd w ogóle wzięły się u państwa te japońskie drzeworyty? Zna pani może ich historię?

– No właśnie, drzeworyty! Wcześniej umknęła mi ta nazwa – ucieszyła się pani Matylda. – One były u nas w domu odkąd pamiętam. To taka rodzinna pamiątka. Ale co do ich historii, to nie, nie znam. Niespecjalnie mnie to pasjonowało. Pamiętam tylko, że mama kiedyś mówiła, że dawno temu, ze sto lat albo jeszcze dawniej, przywiózł je któryś prapradziadek z podróży do Japonii. I tak się jakoś uchowały. Po śmierci rodziców brat zamieszkał w ich mieszkaniu, a te drzeworyty tam po prostu były. Wie pan, ja miałam już własny dom, nie zależało mi na tych starociach...

– No jasne – uśmiechnął się Emil.

– Dolać panu herbatki?

– O nie, dziękuję. Już wystarczy. I tak objadłem się i opilem u pani za wszystkie czasy! Będę się zbierał...

– Ale wie pan, teraz to trochę nawet żałuję, że tak szybko sprzedałam te obrazki... – zawahała się kobieta. – Bo może ten antykwariusz mnie jednak oszukał? Może one jednak były coś warte?

– Dlaczego tak pani sądzi?

– No bo to włamanie do mieszkania brata... I głuche telefony! Zapomniałam o tym

wspomnieć. Kiedy pakowałam rzeczy po bracie, to trzy razy ktoś dzwonił i odkładał słuchawkę. Nawet się trochę wystraszyłam. Szybko pozbyłam się tego wszystkiego i wynajęłam mieszkanie po bracie. Potrzebowałam pieniędzy na pogrzeb. Szkoda, bo potem miałam lepszą ofertę. Jakiś pan do mnie zatelefonował i pytał o te drzeworyty. Mówił, że szukał mnie specjalnie, bo chciałby je odkupić. Numer ponoć z książki wziął, jak i pan. Był naprawdę bardzo rozczerowany, kiedy mu powiedziałam, że to już nieaktualne. Więcej się już nie odezwał.

– Kiedy to było? – Emil z powrotem opadł na krzesło.

– A niedawno, raptem parę dni temu.

– Powiedziała mu pani, do jakiego antykwariatu je pani sprzedała?

– No tak, a dlaczego miałam tego nie mówić? Miły człowiek. Był nimi tak szczerze zainteresowany...

– Sprawdziła pani może, z jakiego numeru dzwonił?

– Nie. Nie pytałam, bo po co. – Wzruszyła ramionami. – A mój aparat telefoniczny jest stary i nie zapamiętuje numerów. A to jest takie ważne, myśli pan? Bo nazwisko pamiętam. Ten pan się bardzo grzecznie przedstawił. Zaraz, niech pomyślę. Dominik... To zapamiętałam od razu, bo takie eleganckie imię... Dominik Jarosz albo jakoś tak. Nie, Rogosz! Dominik Rogosz! Chyba...

Emil zapisał nazwisko w swoim notesie i wstał, by się pożegnać.

– Dziękuję pani bardzo za informacje. – Skłonił się. – I za to pyszne ciasto.

– Ależ nie ma za co! – wykrzyknęła rozpromieniona. – Tylko niechże pan wyjaśni tę sprawę, za którą mój biedny brat zginął, bo do policji to ja ani trochę nie mam zaufania...

– Chyba nie tylko pani brat... – przerwał jej Emil ponuro. – Czy pani już wie, że Rafał Dziedzic także nie żyje?

– Co?! – podniosła dłoń do ust. – Rafał? A jak?

– Niestety, raczej nie był to wypadek. Na razie lepiej nie rozmawiać z nieznanymi. A jeśli ktoś będzie panią niepokoił, to proszę natychmiast do mnie dzwonić pod ten numer. – Położył przed nakryciem swoją wizytówkę. – I mam prośbę. Czy nie mogłaby pani zdobyć informacji o pochodzeniu tych drzeworytów? Może zostały jakieś dokumenty, listy?

Pani Matylda wyglądała na mocno oszołomioną.

– Może... – zastanawiała się, marszcząc brwi. – Może wujek Mietek? To młodszy brat naszego ojca. Może on będzie coś pamiętał. Zapytam go przy okazji i zadzwonię do pana, dobrze?

– Będę wdzięczny – ukłonił się ponownie. – Do usłyszenia...

Nie mógł się powstrzymać i jeszcze na klatce schodowej zapalił papierosa. U pani Zagórnej nie było popielniczek. Zanim doszedł do samochodu, zaparkowanego pod zamkiem, wypalił kolejnego. Trzeciego – gdy tylko wsiadł do auta.

Podczas jazdy próbował poukładać sobie wszystkie informacje uzyskane od pani Matyldy.

W drodze powrotnej zatrzymał się przy supermarkecie z akcesoriami domowymi i kupił eleganckie, proste oszklone ramki z chromowanego metalu w odcieniu grafitowego srebra – do oprawy zakupionych drzeworytów. Zapisał wymiary jeszcze w antykwariacie, gdy starszy pan, pakując drzeworyty, poinformował go, że mają nietypowy rozmiar. Wymiary drzeworytów japońskich, choć zróżnicowane, podlegały z zasady pewnym normom. Te natomiast od nich odbiegały. Znalazł jednak ramki, razem z *passe-partout*, pasujące do wielkości drzeworytów.

Marta ślęczała w jego starym, wielkim swetrze, patrząc przez szkło powiększające na rozłożone na biurku drzeworyty. Jasne światło lampy wydobywało marszczoną finezyjnie fakturę papieru.

– Interesująco wyglądasz, pani doktor! Jakież wnioski? – zagadnął.

– Całe mnóstwo! – Spojrzała na niego z uśmiechem. – One są przepiękne. Jestem nimi coraz bardziej zachwycona. To prawdziwe perełki!

– Widzisz, kobieto?... Chciałaś jeden japoński drzeworyt, a ja przyniosłem ci od razu pięć! Kupiłem ramki, zaraz je oprawię.

– Najpierw trzeba by zmienić *passe-partout* – odparła, odkładając lupę. – Szkoda trochę, bo stare. Pewnie równie stare jak same drzeworyty! Ale znalazłam na nim początki grzyba. Z czasem mógłby zaatakować grafiki.

– Zrobimy to, ale najpierw włożę je w ramki! – upierał się Emil. – Każdy obraz wygląda inaczej, gdy jest oprawiony. Zobaczmy chociaż, jak się prezentują na ścianie. A *passe-partout* wymienimy później, co to za problem... Te ramki są proste w obsłudze.

Marta machnęła ręką.

– Nich ci będzie. Pokaż te ramki... No! Ładne. Pasują. Sam je dobrałeś?

– Antykwariusz mi doradził – przyznał Emil, zabierając się od razu do oprawienia drzeworytów.

– Chcesz coś zjeść? – zapytała.

– Nie, dzięki. Jadłem. Tylko kawy, błagam, kawy... Królestwo za kawę!

– Rozpuszczalnej, tak?

– Oczywiście! I gorzkiej.

– Fuj! – Marta zmarszczyła nos. – Zaraz ci zrobię. Takie świństwo ma przynajmniej jedną zaletę: przyrządzenie go nie zabiera dużo czasu...

Rzeczywiście, po krótkiej chwili wróciła z kubkiem gorącej kawy – „tej mętnej cieczy”, jak zwykle określała jego ulubiony napój. Marta była zagorzałą amatorką szlachetnych gatunków herbaty.

– A jak tam spotkanie z tą kobietą? – zapytała. – Dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

– Nawet bardzo – odparł. – Choć to straszne babsko! Ciemne jak tabaka w rogu. Za to z aspiracjami... Brr!

– No to opowiadaj.

– Po pierwsze, Zagórny był gejem, a ten młody jego kochasiem.

– Można się było domyślić – skwitowała. – Ale co z tego? Myślisz, że ma to jakiś związek z tymi morderstwami? A gdzie w tym drzeworyty?! Eee... Gdyby to naprawdę miało jakieś znaczenie, Zebra by nam o tym fakcie wspomniał.

– Zebra mógł nie wiedzieć. Ta baba nie wspomniała o tym policji. Pewnie z powodu skrywanej bigoterii. Chyba sumienie ją gryzło, bo wypaliła mi z tym od razu na wstępie! Grała uosobienie tolerancji. Chociaż jestem pewny, że daleko jej do niej.

– Albo to po prostu nie ma związku.

– I raczej nie ma – odparł. – Mogłoby za to wyjaśniać zachowanie Dziedzica po morderstwie Zagórnego. Chwytasz? Chodzi mi o te idiotyczne posty na forach internetowych. Może groził komuś z czystej zemsty za śmierć swego partnera? No i się doigrał..

– To możliwe – przytaknęła Marta.

Emil streścił jej resztę rozmowy z panią Zagórną, kładąc nacisk na telefon z tajemniczą ofertą. Martę jednak najbardziej zainteresowała historia drzeworytów.

– Z tego wynika, że one były w tej rodzinie od początku? – zauważyła.

– Na to wygląda. A co?

– Jeszcze nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Ale jestem pewna, że o nie tu chodzi. Dlatego trzeba się na ich temat jak najwięcej dowiedzieć. Kiedy ta kobieta ma rozmawiać ze swoim wujkiem, czy stryjkiem?

– Obiecała, że szybko. Ma do mnie zadzwonić. A jeśli nie, to sam ją pomęcę... No, gotowe! – Z dumą zaprezentował oprawione grafiki. – Teraz daj gwoździe i kawałek młotka.

Zawiesimy je nad wersalką.

Rozdział 8

Oboje stali na wprost ściany ze świeżo zawieszonymi w rzędzie drzeworytami, przypatrując się im w niemym podziwieniu.

– Może być? – Emil zadał w końcu retoryczne pytanie, w którym zabrzmiało więcej samozadowolenia niż wątpliwości.

– Jest super! – przyznała Marta z przekonaniem. – Faktycznie, na ścianie i w oprawie wyglądają jeszcze lepiej.

Emil zastanawiał się, który drzeworyt podoba mu się najbardziej. I nie potrafił się zdecydować. Każdy z osobna był piękny, ale dopiero razem tworzyły określoną całość. Niedomkniętą – pomyślał, przypominając sobie o tym jednym, który został skradziony. Zauważył w duchu, że obrazki sprawiają wrażenie, jakby opowiadały jakąś historię. Niejasną, mglistą. Była to tylko sugestia, raczej przeczucie niż konkretna narracja, bardziej poezja niż proza...

Najprostszy w formie wydawał się drzeworyt, który z rozmysłem powiesił jako pierwszy. Przedstawiał tradycyjny japoński lampion, malowany w rybki i kwiaty wodne, na wpół ukryty za ażurowym parawanem, niczym zapowiedź tajemnicy. Obok widniało kilka łańcuszków zagadkowych znaków, spływających kapryśnymi serpentynami, a wykaligrafowanych pięknym, dekoracyjnym pismem japońskim. Już same w sobie stanowiły wysublimowaną, abstrakcyjną grafikę.

Drugi z rzędu drzeworyt ukazywał pełną naturalnego wdzięku dziewczynę z parasolką i wystrojoną w barwne, haftowane kimono. Przystanęła na moment, kryjąc twarz za wachlarzem, by podziwiać kwiaty wiśni rozkwitające bujnie dookoła, puszyste jak śnieg, zwiewne jak bladuróżowa mgła. Symbol Japonii – krainy kwitnącej wiśni...

Choć zza błękitnego parasola i marszczonego wachlarza widać było tylko jej czarne włosy luźno upięte nad karkiem, zamysłone oczy oraz fragment delikatnego owalu twarzy, to dla widza – nawet tak niewyrobionego jak Emil – od razu stawało się jasne, że dziewczyna to skończona piękność. Cała jej sylwetka i zatrzymany w półbrocie, pełen gracji ruch smukłego ciała, a także każdy detal stroju oddane zostały z podziwem i czułością.

Kolejny drzeworyt pokazywał rozległy, mglisty pejzaż z sennym, szarobłękitnym

jeziorem ukrytym w górskiej kotlinie. Na pierwszym planie widoczny był fragment japońskiej werandy, oplecionej zielonymi pędami bambusa. Wychylała się z niej ta sama dziewczyna, tym razem w granatowym kimonie, przepasanym czerwonym pasem – pasem zwanym *obi*, jak wyjaśniła Emilowi Marta – i z czerwoną wstążką wplecioną we włosy; być może wyczekiwała na kogoś niewidocznego na obrazie lub po prostu zapatrzyła się w wodę. Oglądający ją czuli wręcz zapach jeziora, ciepło letniego poranka i radość, emanującą z postaci dziewczyny...

Na czwartym drzeworycie panował nastrojowy srebrzysty zmierzch. Na tle bladej tarczy księżyca w pełni przelatywał właśnie klucz ptaków. Młoda kobieta z rozpuszczonymi włosami, które opadały na proste seledynowe kimono, ozdobione subtelnym białym ornamentem w motywy roślinne, przysiadła na ogrodowej ławce pod nagim konarem drzewa. Ze smutkiem lub może z zadumą wpatrywała się w dal, bezwiednie opuściwszy wachlarz na kolana. Obok niej stała szkatułka z laki, leżały czyste kartki papieru oraz piórko. Tak jakby miała zamiar napisać list – lub wiersz – lecz tymczasem zapadł zmrok, a ona zamyśliła się nad czymś tak bardzo, że zapomniała nawet o upływie czasu...

Ostatni drzeworyt przedstawiał piękną Japonkę. Siedząc przy oknie, trzymała instrument muzyczny podobny do gitary lub banjo.

– To *samisen* – wyjaśniła Marta. – Tradycyjny japoński instrument.

Po zewnętrznej ścianie domu, pod oknem, pięły się ośnieżone gałęzie jałowca, wokół unosiły się misterne płatki śniegu. Kobieta ubrana była w niebieskie kimono i wierzchnie ciepłe, białe okrycie, ozdobione drobnym, czarnym wzorem w jodełkę. W dość wysoko upiętych włosach tkwił grzebyk. Sprawiała wrażenie nieobecnej duchem, zasluchanej w wygrywaną melodię, nie zważała na chłód zimowego poranka...

– Są naprawdę wyjątkowo piękne... – zauważyła Marta.

– Mówiłaś, zdaje się, że masz całe mnóstwo wniosków?

– No, mam... Dobra. Po pierwsze, one przedstawiają chyba pory roku. Tematyka dość charakterystyczna dla Japończyków; pory roku, miesiące...

– Moim zdaniem one przedstawiają konkretną osobę! – przerwał jej. – I to taką, którą malarz znał osobiście.

– Możliwe – zgodziła się bez oporów.

– Czy to gejsza? Jak myślisz? – przypomniał sobie jej opowieść.

– Raczej na pewno gejsza! – Marta uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Widzę, mój skarbie, że temat gejsz wciąż nie daje ci spokoju. Zwykle kobiety rzadko wyobrażano w sztuce japońskiej. Przyjrzyj się jej. Nie niańczy dziecka, nie pierze, nie dźwiga tobołów. Jest młoda,

urodziwa, samodzielna, potrafi pisać, gra na *samisenie*, nosi eleganckie stroje i wymyślne fryzury. Z pewnością nie wygląda na żonę, służącą, chłopkę ani postać z mitologii. Jest z krwi i kości. Arystokratek nie portretowano w mieszczańskiej sztuce, jaką jest drzeworyt. Kim innym, jeśli nie gejszą, miałyby być taka kobieta w tamtych czasach?

– No dobrze, niech ci będzie, że gejszą. Ale ty tu mówisz o porach roku! – odparł z niemal osobistą urazą, ponieważ postać dziewczyny z drzeworytów stała mu się dziwnie bliska, prawie jak żyjąca, znajoma osoba.

– Spokojnie! Jedno drugiego nie wyklucza. – Machnęła niecierpliwie ręką, by raczył się wreszcie zamknąć. – Lepiej słuchaj dalej. Po drugie, tematyka jest zdecydowanie tradycyjna, ale warsztat, kompozycja, kolorystyka, technika – już na pewno z epoki Meiji. Pamiętasz, co ci opowiadałam? Meiji, czyli z okresu „otwarcia Japonii na świat”. Zastosowano tutaj, na przykład, zasady perspektywy linearnej i powietrznej. Nie będę ci tego dokładnie tłumaczyć, uwierz mi po prostu na słowo. I powiem ci jeszcze, że są to naprawdę wyjątkowo mistrzowskie grafiki. Istne arcydzieła! Dlatego tym bardziej dziwi mnie... – urwała, jakby szukając w myśli odpowiednich słów.

– No?! – ponaglił ją.

– Ten znaczek tu. Widzisz? – Zbliżyła się do ściany i postukała paznokciem w szklaną oprawę jednego z drzeworytów. – To sygnatura. Podpis twórcy. A to czerwone to pieczęć. Twój antykwariusz miał rację. Artysta jest kompletnie nieznany. Rano przeglądałam sobie różne sygnatury japońskich malarzy i drzeworytników z różnych epok. Takiej samej nie znalazłam. Dziwne, bo facet naprawdę był genialny! Jak to możliwe, że nigdzie nie figuruje?

– Nie docenili go – powiedział Emil, zapalając papierosa.

– Ale to dziwne! Z takim talentem powinien być sławny! Gdyby nawet sami go nie docenili, to zrobiliby to Europejczycy. Japoński drzeworyt był wtedy krzykiem mody w Europie i Ameryce. Ale mało tego. Porównałam styl i warsztat z dziełami innych japońskich twórców. Ten jest niepowtarzalny. Nie znalazłam nic podobnego do tych drzeworytów. Z żadnym nie dają się porównać. Drzeworyty japońskie charakteryzują się zwykle grubą, wyrazistą kreską i mocną, płaską plamą barwną. A i tak kolory często wychodzą poza linię, bo wykonywano masowo tysiące odbitek. Mają większe wymiary i są odbite na grubym, gładkim papierze. A tu wszystko jest nietypowe! I rozmiar, i papier. Przecież to jest w zasadzie cieniutka, marszczona bibułka. I ta technika. Spójrz, jaka delikatna, misterna kreska, jaka finezja, precyzja, co za koloryt! Tu wszystko jest idealnie wykończone, wręcz wypieszczone do granic możliwości. Ta srebrzystość, przejrzystość. Zobacz choćby ten jej parasol! Od razu widać, że jest z wykonany z cienkiego papieru, który prześwituje pod

światło... Technika miejscami przypomina akwarelę lub tusz lawowany. Popatrz na to drzewo. Albo góry... Aha, i one są ręcznie podmalowane. Jak *surimono*, druk luksusowy. Ale to nie jest typowe *surimono*. Nie ma tu żadnego złotego pudru, tłoczeń i innych bajerów, w dodatku tematyka tego cyklu jest zbyt złożona jak na tradycyjne *surimono*, które zwykle operowały nieskomplikowaną, czytelną formą i treścią, dopasowaną bezpośrednio do okoliczności, z okazji których były wykonane... – urwała zdyszana.

– Więc? – Emil poczuł się zagubiony. Rozumiał, że Marta wysnuwa z tego wszystkiego jakieś konkretne wnioski i zapewne oczekuje ich także od niego, miał jednak w głowie zbyt duży zamęt.

– Nie wiem – powiedziała i pokręciła bezradnie głową. – Nie pojmuję tego. Będę dalej szukać. Może w końcu na coś trafię. Wiesz, w dawnej Japonii malarze czasem zmieniali imiona, nazwiska, pseudonimy i sygnatury. Malarz znany pod jednym nazwiskiem mógł we wczesnym okresie lub pod koniec życia tworzyć pod innym, mniej znanym. Ale nie tak prosto rozszyfrować czy zidentyfikować sygnaturę. W Polsce jest niewielu specjalistów, znających się na znakach archaicznej japońszczyzny. A już na pewno ja do nich nie należę! – zakończyła sarkastycznie.

– Ale nie daje ci to spokoju...

– To chyba mój zawodowy instynkt nie daje mi spokoju! – Wzruszyła ramionami i także zapaliła. – Czuję, że coś się za tym kryje. Szlag mnie trafi, jeśli się nie dowiem, co!

Emil pociągnął łyk zimnej kawy.

– Podejrzewasz, że te drzeworyty mogą mimo wszystko mieć jakąś... wartość finansową? – zapytał.

– Nie o to chodzi! – oburzyła się. – Rozumiem, ciebie oczywiście bardziej obchodzą te morderstwa... No więc, w tej chwili nie podejrzewam, że mogą być cenne w sensie materialnym. Drzeworyty z ery Meiji nie są zbyt drogie. Jeszcze. Bo kiedyś będą. To tylko kwestia czasu. I mody.

– Mylisz się, jeśli sądzisz, że one mnie nie obchodzą – obruszył się. – W końcu to ja je przyniosłem. Ale dobrze, w tym momencie miałem na myśli związek z tymi morderstwami. Słuchaj, bo coś mi przyszło do głowy... A może nie wykonał ich Japończyk? To znaczy, może jakiś znany europejski malarz albo grafik wzorował się na Japończykach? Skoro one były takie modne, to rozumiesz...

– Wykluczone! – zawołała, patrząc na niego jak na debila – Kompletna bzdura. Żaden Europejczyk by tego nie dokonał! Nigdy w życiu! Tego jednego możesz być całkowicie pewien, to wykonała ręka Japończyka i to mistrza w swojej sztuce!

– Ok, ty się na tym znasz, nie ja! – załagodził, całując ją w szyję.

Przypominała mu w tym momencie wkurzoną rudą czarownicę. Na jej dekolcie, widocznym w wycięciu luźnego czarnego swetra, kusząco i tajemniczo połyskiwał stary naszyjnik w kształcie węża o główce z zielonkawego zamorskiego kamienia. Z tymi wypiekami wzburzenia na policzkach i błyszczącymi z emocji oczami podobała mu się zawsze najbardziej.

Dlatego już po chwili zniknęli oboje za drzwiami sypialni, zamykając je tuż przed nosem zniesmaczonego Bolera, który wciąż uważał, że to tylko i wyłącznie z nim Marta powinna kłaść się do łóżka...

Rozdział 9

Emil zaparkował w bocznej uliczce, tuż przy Świętojańskiej, i udał się na poszukiwanie ostatniego kolekcjonera z krótkiej listy Marty. Umówił się z nim telefonicznie w jednej z licznych kawiarni. Na szczęście miał jeszcze dość czasu, by zlokalizować knajpkę. Nie znał Gdyni tak dobrze jak Gdańska, czy Sopotu, bo rzadziej tu bywał – a sama Gdynia wciąż się zmieniała, ewoluowała, kwitła. Lubił to specyficzne, prężne, nowoczesne miasto, choć los związał go z Gdańskiem, dokąd tuż po wojnie sprowadzili się jego dziadkowie – przybysze z Kujaw – i gdzie przyszedł na świat.

Tego dnia spotkał się już z dwoma kolekcjonerami, jednak była to w zasadzie strata czasu. Rozmowy z nimi nie wniosły do sprawy niczego nowego ani ciekawego. Nie znali Alfreda Zagórnego, nigdy o takim nie słyszeli, a zaprezentowany im drzeworyt – Emil zabrał na te spotkania ten z parasolką – zlekceważyli. Nie był to przecież ani wielki Utamaro, ani Hokusai, ani nawet żaden Toyokuni. Emil odniósł wrażenie, że walory artystyczne nic dla tych ludzi nie znaczą. Podobnie jak naturalna – wydawałoby się – badawcza ciekawość. Trudno przecież wyłącznie coś „zbierać” i nie interesować się zupełnie szerszym kontekstem. Nie był w stanie pojąć, jak można pasjonować się jakąś dziedziną sztuki, a jednocześnie być na nią ślepy. Widocznie można. Ci faceci mieli w głowie wyłącznie ceny i notowania osiągnięte na aukcjach. Jeden z nich specjalizował się zresztą tylko w wizerunkach aktorów *kabuki* z okresu Edo, a drugi głównie w scenkach mitologicznych oraz samurajskich.

Emil jechał na spotkanie z ostatnim kolekcjonerem z listy jak po ostatnią deskę ratunku. Według Marty był to poważny specjalista. Raz czy dwa zdarzyło się nawet, że muzeum zasięgało jego opinii jako eksperta od rzemiosła Dalekiego Wschodu. Gość nie ograniczał się wyłącznie do drzeworytów, posiadał w swoich zbiorach także malarstwo chińskie i japońskie, ceramikę, wyroby rzemiosła artystycznego oraz kolekcję militariów.

Emil przeszedł teraz niemal całą Świętojańską, lawirując w tłumie, zanim trafił do właściwej kafejki. Rozejrzał się dookoła, ale nie znalazł nikogo odpowiadającego opisowi, więc zamówił cappuccino.

– Pan Żądło? – usłyszał już po chwili.

Przy stoliku stanął wysoki, dość ekscentrycznie wyglądający brunet około

pięćdziesiątki, ubrany w gustowną, lecz nieco diaboliczną czerń.

– To ja – odparł szybko. – Zapraszam...

Ku jego zdumieniu facet zamówił piwo.

– Dla pana nie? – zapytał.

– Niestety, przyjechałem samochodem – odparł Emil z żalem.

– A więc, w czym mogę panu pomóc? – Zerknął na zegarek. – Pisze pan może artykuł o sztuce Dalekiego Wschodu? Mam pół godziny, nie zwlekajmy zatem.

– Nabyłem drzeworyt japoński. – Emil sięgnął do torby. – Oto on. Chciałbym, by rzucił pan na to okiem, ponieważ jestem kompletnie zielony w tej dziedzinie. Czy to dobry zakup?

Mężczyzna wziął drzeworyt do ręki i przyjrzał mu się uważnie.

– Bez wątpienia – odparł. – To piękna rzecz. Bardzo oryginalny. Dość późny, ale ciekawy. Choć... jeśli nabył go pan jako lokatę kapitału, to chyba będę musiał pana rozczarować. Przynajmniej na razie drzeworyty z epoki Meiji nie osiągają zbyt wysokich cen na rynku sztuki.

– Nie kupiłem go jako lokaty kapitału. Po prostu spodobał mi się, a przy okazji zainteresowałem się tematem.

– No i bardzo słusznie – podsumował mężczyzna w czerni. – Dobre podejście. Ale pani doktor Zabłocka chyba orientuje się w temacie? A przy okazji, jak samopoczucie małżonki?

Emil zakłopotał się.

– Dziękuję – bąknął. – Marta nie jest jeszcze... to znaczy, oczywiście, formalnie nie jest... moją żoną. Choć planujemy się pobrać wkrótce. A co do jej orientacji w temacie, owszem. Na pewno zna się na tym lepiej ode mnie. Jest zachwycona drzeworytem, ale podkreśla wciąż, że nie specjalizuje się w sztuce Dalekiego Wschodu. Dlatego skierowała mnie do pana. Chciałbym jak najwięcej dowiedzieć się na jego temat. Szczególnie pragnąłbym poznać nazwisko autora, a może jeszcze jakieś szczegóły...

– Rozumiem. – Mężczyzna ponownie przyjrzał się drzeworytowi. – Niestety, nie rozpoznaję artysty. Dość oryginalny warsztat...

– Widzi pan, tam podobno są ręczne podmalówki – zwrócił jego uwagę Emil.

– Rzeczywiście. Może to wskazywać na to, że są to autorskie projekty lub próbki. Prawdopodobnie sam malarz był jednocześnie rytownikiem. W tamtej epoce – jak wspominałem, dość późnej, bo z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku – zdarzało się to coraz częściej. Wskazywałyby na to również nietypowy rozmiar i papier. Nie jest to w

każdym razie masówka. – Odłożył drzeworyt na stolik obok nakrycia Emila i ponownie zerknął na zegarek. – Przepraszam, ale za chwilę mam kolejne umówione spotkanie, z moim antykwariuszem... Zapewne niewiele panu pomogłem. Coś jednak zauważyłem. Wprawdzie ta sygnatura jest mi obca, lecz przypomina nieco sygnaturę pewnego znanego malarza z epoki Meiji. Zdaje się, że zgadza się pierwszy znak. Pozwoli pan, że naszkicuję to sobie i postaram się sprawdzić. Zadzwońię do pana, jeśli tylko na coś wpadnę.

Przerysował znaczki na serwetce i zanotował numer telefonu Emila.

– Będę wdzięczny – ożywił się Emil. – Nie chcę pana zatrzymywać, ale mam jeszcze jedno pytanie. Czy mówi coś panu nazwisko Alfred Zagórny?

Mężczyzna drgnął.

– Na co to panu? – zapytał po chwili milczenia. – Od niego kupił pan ten drzeworyt?

– Nie, kupiłem go w antykwariacie. Ale poinformowano mnie, że należał on wcześniej właśnie do Zagórnego...

– Wiem, że Zagórnego niedawno zamordowano. A pan jest, o ile się nie mylę, dziennikarzem śledczym, prawda? – Wbił w Emila spojrzenie swoich bystrych ciemnych oczu. – Mniejsza o to. Nie znałem Zagórnego osobiście, ale słyszałem, że posiada drzeworyty. Z kolekcji rodzinnej, tak mi się zdaje. Jednak nigdy niczego nie sprzedawał ani nie kupował. Nie był kolekcjonerem z prawdziwego zdarzenia. Czy jego zabójstwo wiąże się w jakiś sposób z tą kolekcją?

– Trudno stwierdzić na pewno, ale na to wygląda – odparł Emil szczerze. To nie był facet, którego dałoby się zrobić w konia. – Część jego kolekcji zniszczono. Jeden drzeworyt, z tej samej serii co mój, został skradziony...

Mężczyzna w czerni zamyślił się.

– Dziwne – szepnął bardziej do siebie niż do Emila. – Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Ale będę to miał na uwadze. Rozejrzę się – obiecał. – I wkrótce zgłoszę się do pana z tą sygnaturą. A teraz, proszę wybaczyć, muszę lecieć.

– Oczywiście. Dziękuję panu. – Emil uniósł się z krzesła.

– Nie ma za co. Ja lubię to, co robię. I proszę pozdrowić ode mnie panią doktor Zabłocką... – odparł kolekcjoner, zbierając się do wyjścia.

Emil dopił zimne cappuccino i zapalił papierosa, wpatrzony w czarującą Japonkę z parasolką. Ty coś wiesz... – odezwał się do niej w myślach. Doznał sugestywnego wrażenia, że kobieta uśmiecha się do niego zza wachlarza znacząco, tajemniczo i ze smutkiem. Czy to możliwe – myślał – że to Marta ma rację i zagadka tkwi w przeszłości tych drzeworytów? Czy ma jakiś związek z piękną gejszą, a raczej jej cieniem utrwalonym na tym starym

papierze?

Rozdział 10

Dźwięk dzwonka u drzwi oderwał go od pracy.

– Emil! – zawołała Marta z głębi korytarza. – Masz gościa!

Zanim zdążył wstać od komputera, rozległ się donośny stukot obcasów.

– Pani Matylda Zagórna... – dodała Marta znacząco, wprowadzając niespodziewanego gościa, ubranego w rozpiętą szykowną futrzaną kurteczkę, mimo że siarczyste mrozy dawno przeminęły.

– Bardzo przepraszam, panie Emilu, że ja tak bez uprzedzenia, ale przyjechałam do Gdańska odwiedzić przyjaciółkę i przy okazji postanowiłam osobiście przekazać panu wiadomości od mego wuja! A adres był na wizytówce, którą mi pan dał. Chyba nie przeszkadzam? – zaćwierkała pani Matylda w progu.

– Ależ skąd – bąknął Emil. – Bardzo proszę... Niepotrzebne się pani fatygowała, telefon by przecież wystarczył. Ale to miłe, że zadała sobie pani tyle trudu. Proszę siadać, o, może tutaj... – Zgarnął w pośpiechu sterty papierów, leżących na fotelu.

– To żadna fatyga, przy okazji wstąpiłam do katedry pomodlić się za mojego świętej pamięci brata, a to przecież zaraz obok. Jaki ładny kotek! – zawołała na widok Bolera, przyglądającego się jej okrągłymi jak spodki zielonymi oczami, pełnymi protekcjonalnego zdumienia. Jednak, gdy tylko wyciągnęła w jego kierunku wyperfumowaną dłoń, kocur na wszelki wypadek ewakuował się z kanapy.

– Zrobię kawy – oznajmiła Marta, mrugając w kierunku Emila i wyszła, zabierając ze sobą zde gustowanego kota.

Pani Matylda zdjęła wreszcie swoje wdzianko, przewiesiła je przez poręcz fotela, rozsiadła się wygodnie i nagle jej spojrzenie padło na ścianę nad kanapą.

– Och! Czy to są...

– Tak – chrząknął zmieszany Emil. – Kupiłem je w antykwariacie. Moja... żona jest historykiem sztuki i konserwatorem zabytków, od dawna już marzyła o drzeworytach japońskich, więc gdy nadarzyła się okazja...

– A pewnie! – machnęła ręką. – Kobiecie trzeba dogadzać! Ale jednego wam tu brakuje. Tego, o którym panu opowiadałam. Brat przed śmiercią przywiózł go do nas. Z

kwiatami i motylem.

– No właśnie... Został skradziony podczas włamania do antykwariatu – wyjaśnił.

– Dziwne. Nawet nie był najładniejszy! Ale może komuś podobają się kwiaty? – wzruszyła ramionami. – I nie odnalazł się?

– Nie.

– Dobrze, że nie oddałam ich w komis – pokiwała głową. – A ja tymczasem, drogi panie Emilu, dowiedziałam się od wujka, jak to z nimi było, z tymi drzeworytami!

– No właśnie...

Do pokoju wróciła Marta z kawą. Postawiła tacę z dzbankiem na małym stoliku obok fotela i naląła napój do filiżanek.

– A tu cukier i śmietanka, proszę się częstować – zamierzała ulotnić się jak Bolero, jednak pani Matylda nie dała jej takiej sposobności.

– Pani siada z nami, kochana! – zawołała serdecznie. – Pani się ponoć też interesuje tymi obrazkami? Bo właśnie opowiadam małżonkowi, jak to z nimi było. Dawno temu, ze sto lat, a może więcej, przywiózł je z Japonii jeden nasz przodek. Knoblock on się nazywał, nie Zagórny, ale imienia to nawet wujek nie pamięta. Jego siostra chyba, albo siostrzenica, wyszła później za Zagórnego i tak już zostało. A raczej nie tyle on przywiózł tu te obrazki, ile zostały dostarczone statkiem, bo ten przodek zginął. Zdaje się, że na wojnie. Wtedy trwała tam, jak mi wuj mówił, wojna z Rosją, a nasz przodek był oficerem gdańskiej marynarki. Kriegsmarine się wtedy nazywała. Bo nasza rodzina to sami rodowici gdańszczanie, z dziada pradziada...

– Wojna rosyjsko-japońska, zgadza się – potwierdziła Marta. – A oficerowie pruskiej marynarki – bo Gdańsk należał wtedy do Prus – rzeczywiście zajmowali się szkoleniem japońskiej armii. Ale Prusy nie brały przecież udziału w tej wojnie. Jak to się stało, że państwa przodek tam zginął?

– A tego to ja już nie wiem, co on miał wspólnego z tą wojną. Wuj mówił tylko, że stacjonował tam i zginął. Może jakoś przypadkiem? A może umarł. Co do tego nie ma już pewności. To było dawno temu!

Emil spojrzał bezradnie na Martę.

– I nic więcej na ten temat nie wiadomo? – zapytał rozczarowany. Liczył na więcej informacji, a wyglądało na to, że pani Matylda skończyła już swoją opowieść.

– W zasadzie nic – zawahała się. – Ale wuj wspominał jeszcze, że podobno jakieś dziwne rzeczy działy się wokół tych drzeworytów. Choć ja tam nie widzę związku. Tyle, że może z Japonią. Wujek sam dobrze nie rozumie, o co tam tak naprawdę chodziło, bo i skąd...

Wtedy jeszcze nie było go na świecie! Osiemdziesiątkę dopiero niedawno przekroczył. Tyle wie, ile z przekazów, co to wiadomo, że dzwonią, ale nie wiadomo, w którym kościele. Jacyś ludzie z marynarki podobno nachodzili potem naszą rodzinę i wypytywali.

– O drzeworyty? – podchwycił Emil.

– Nie. O jakąś japońską szkatułkę. Nie rozumiem, co by w niej takiego miało być, skarby jakies?! Ale żadnej szkatułki nigdy u nas nie było, ani skarbów tym bardziej, więc nie wiem, o co w tym wszystkim szło. Bajki jakies i tyle...

Emil podrapał się w głowę i zapalił papierosa. Pani Matylda lekko skrzywiła upudrowany nos, lecz nie odezwała się słowem. Dopiła tylko pospiesznie swoją kawę i narzuciła na siebie futerko.

– Będę uciekać, bo mam autobus – oznajmiła. – Komu w drogę, temu czas. A choć pomogłam panu, panie Emilku?

– Naturalnie, bardzo pani dziękuję! Te informacje mogą mieć naprawdę duże znaczenie. Dziwna sprawa z tą tajemniczą szkatułką... I naprawdę nie domyślcie się państwo, co takiego miało w niej być? – Emil pospiesznie zgasił papierosa.

– A po co się domyślać, skoro jej nie ma?

– Może jakies dokumenty? – zauważyła Marta. – Skoro szukało jej wojsko?

– E, to już wołałabym diamenty! – Zaśmiała się pani Matylda. – Choć ja tam w ogóle nie wierzę w tę historyjkę o szkatułce. Szkoda sobie nią głowę zawracać. Ale gdyby, panie Emilu, chciał pan jeszcze pogadać z wujem osobiście, to staruszek jest chętny. Uwielbia różne bajdy o przeszłości! Potrafi nimi po prostu zamęczyć. Nic dziwnego w tym wieku. Sentymenty. W każdej chwili mogę pana z nim umówić! A mieszka całkiem niedaleko, bo w Kościerzynie...

Emil ponownie podziękował i odprowadził gościa do drzwi. Zapytał jeszcze, czy przypadkiem nie odwieźć pani Matyldy do autobusu, lecz podziękowała – do dworca miała ją odprowadzić przyjaciółka, były już umówione przed wejściem do parku oliwskiego.

Gdy wrócił do pokoju, Marta w zadumie przyglądała się drzeworytom. U jej stóp zmaterializował się Bolero.

– Zainteresowała cię ta historia? – zapytał, obejmując ją lekko.

– Szkatułka – odparła krótko.

– Co? Gdzie?

– Tutaj. – Podeszła do ściany i puknęła palcem w drzeworyt z dziewczyną siedzącą na ławce pod drzewem. – Japońska szkatułka na przybory do pisania.

– Daj spokój, skarbie, nie doszukuj się, to czysty przypadek! – Emil wyjął kolejnego

papierosa i zapalił go z ulgą, uchylając lufcik, by pozbyć się mdlącego zapachu słodkich perfum, wciąż ciężko wiszącego w powietrzu.

– Możliwe – westchnęła Marta. – Pewnie masz rację. Ale jakoś od razu stanęła mi ona przed oczami...

Traf chciał, że późnym wieczorem zadzwonił telefon.

Marta czytała książkę – raczej nieprzypadkowo było to grube opracowanie na temat życia codziennego w Japonii epoki Meiji – więc to Emil podniósł słuchawkę. Dzwonił kolekcjoner z Gdyni, przepraszając za późną porę. Niestety, nie udało mu się zidentyfikować sygnatury, stwierdził jednak, że pierwszy jej znak na pewno oznacza sylabę „bai” i jest identyczny z tym, który figuruje w podpisie pewnego znanego artysty nazwiskiem Barei. Kono Barei. Działał pod koniec dziewiętnastego wieku w Kioto, zajmował się malarstwem oraz drzeworytem, a zasłynął przede wszystkim z licznych przedstawień ptaków i kwiatów.

Emilowi zabiło serce. Zanotował informację i zapytał z nadzieją:

– Czy może to być ten sam malarz?

– Nie sędzę – usłyszał. – Ale mógł to być ktoś z jego szkoły. Odcyfrowałem natomiast coś innego. To też może być ważne. Otóż pod sygnaturą zanotowano nazwę miasta Jokohama. Być może artysta tam właśnie tworzył. Musielibyście państwo znaleźć dobrego specjalistę od pisma japońskiego. Pani doktor z pewnością ma większe możliwości ode mnie. To są dość archaiczne znaki, a ja, niestety, nie potrafię więcej panu pomóc...

Natychmiast zmobilizował Martę.

– Barei? – pokręciła głową. – Kojarzę. To na pewno nie on.

– Dlaczego?

– Zupełnie inny styl. Barei jest... jakby to powiedzieć, bardziej malarski, zresztą on był przede wszystkim malarzem, a nie grafikiem. I rzadko malował postaci ludzkie. Specjalizował się w ptakach i kwiatkach. Poszukaj sobie w Internecie jego prac. Sędzę, że będzie tego sporo. Sam zobaczysz.

– Ten twój znajomy to samo powiedział – zauważył zdumiony Emil. – O tych ptakach i kwiatkach. Czy to znaczy, do licha, że facet przez całe życie malował tylko kwiatki i ptaszki?!

Marta parsknęła śmiechem.

– Japońscy artyści *ukiyo-e* specjalizowali się w pewnych tematach, które teoretycy i historycy sztuki nazwali potem umownie – dla uproszczenia – „Piękne kobiety”, „Aktorzy

kabuki”, „Krajobrazy”, „Ptaki i kwiaty” i tak dalej. Oznacza to tylko tyle, że Barei upodobał sobie przedstawienia o tematyce przyrodniczej. I był w tym rzeczywiście mistrzem!

– Ten skradziony drzeworyt przedstawiał podobno kwiaty i motyle...

– Nic nie szkodzi. To częsty temat.

– Ale jakiś Bai...

– To nie on, mówię ci! Popytam, może znajdę kogoś od tych japońskich znaków. Ale wiesz, coś innego mnie zaciekało...

– Co?

– Jokohama – odparła. – To portowe miasto. Tobie pewnie kojarzy się ze słynnym trzęsieniem ziemi? Ale już wcześniej stacjonowały tam okręty marynarki amerykańskiej. I pruskiej. W tym z pewnością i gdańskiej Kriegsmarine.

Rozdział 11

Emil zastanawiał się, czy nie skorzystać jednak z propozycji pani Matyldy i nie spotkać się osobiście z jej wujem. Starszy pan zapamiętał być może znacznie więcej z przekazów rodzinnych niż to, co mu powtórzyła kobieta. Tymczasem nawet najbardziej dziwaczne i nieprawdopodobne plotki z przeszłości ich rodziny mogły okazać się istotne...

Nie zdążył jednak. Mniej więcej tydzień po swojej wizycie pani Matylda przekazała mu telefonicznie smutną wiadomość: jej wuj zmarł na serce.

– Nagle umarł! – szlochała w słuchawkę. – Nigdy w życiu nie chorował na serce! Aż tu nagle zawał. No cóż, wiek... Miał osiemdziesiąt trzy lata. Biedny staruszek. Już mi nikt z mojej rodziny na świecie nie został... A tak się stale dopytywał o pana. Tak bardzo chciał z panem porozmawiać...

– Strasznie mi przykro, pani Matyldo.

– To takie straszne, straszne...

– Także chciałem porozmawiać z pani wujem. Mieszkał sam? Czy przypadkiem nikt go ostatnio nie odwiedzał? Ktoś obcy?

– Mieszkał sam – odparła słabym głosem. – Nie mam pojęcia, kto go odwiedzał... Pewnie nikt, bo kto? Tylko ja tam od czasu do czasu jeździłam...

– Pani Matyldo, wiem, że to dla pani trudne chwile, ale gdyby pani mogła przypomnieć sobie... nie zaraz, oczywiście, ale za jakiś czas... Czy może wuj czegoś więcej nie opowiadał? Nawet, jeśli zdawałoby się to pani nieważne albo nawet śmieszne... Zadzwoń pani do mnie, gdyby tylko coś się pani przypomniało, cokolwiek?

– Dobrze – pociągnęła nosem. – Choć na razie zupełnie nie mam do tego głowy...

– To zrozumiałe. Serdeczne kondolencje. Dziękuję, że mnie pani zawiadomiła. Proszę się mocno trzymać. I uważać na siebie...

Bardzo chciał wierzyć, że starszy pan Zagórny odszedł śmiercią naturalną. Lecz – niestety – nie miał takiej pewności. Za dużo zbiegów okoliczności, dotyczących tej rodziny.

– Też mi się to nie podoba – przyznała Marta, gdy wróciła z pracy i Emil powiedział jej o telefonie Matyldy. – W tym wieku ludzie rzadko umierają niespodziewanie na serce, zwykle przytrafia się to młodszym. Naturalnie, są wyjątki...

- Za dużo tych przypadków.
 - Może ktoś go wystraszył?
 - Też mi to przyszło do głowy. Ale cóż, teraz się już pewnie tego nie da stwierdzić.
 - Zamierzasz wspomnieć o tym Zebrze?
 - Nie wiem – odparł. – Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Chyba tak... Wiesz, żałuję, że nie pojechałem do tego człowieka. Może dowiedziałbym się jeszcze czegoś od niego?
 - I może by teraz żył. – Skinęła głową, wypakowując torbę.
- Położyła na biurku opasłe tomisko, oprawione w lśniącą, czerwoną imitację skóry. Na jej grzbiecie widniał złoty, tłoczony japoński znaczek.
- Co to? – zainteresował się Emil. – Wygląda imponująco.
 - Sygnatury japońskich artystów – wyjaśniła. – Podobno najlepsze opracowanie. Chcę sama poszukać naszego malarza. Przynajmniej spróbuję. Będę też miała podręcznik do nauki podstawowych znaków japońskiego pisma *kanji*. Ale dopiero jutro. Pożyczy mi znajoma znajomej, która mieszka w Krakowie i musi mi go przesłać kurierem.
 - To bardzo skomplikowane?
 - Co? Przesyłka kurierska?
 - Miałem na myśli pismo japońskie. – Emil kartkował księgę z sygnaturami. Wszystkie wydawały mu się niemal jednakowe. – Jest bardzo trudne?
 - Bardzo.

Kolejna tragiczna wiadomość nadeszła po paru dniach. Tym razem bezpośrednio od Zebry, który zaskoczył Emila niezapowiedzianą wizytą w godzinach pracy. Podkomisarz był wyjątkowo wzburzony. I nic dziwnego. Wiadomość wstrząsnęła także Emilem. Tego samego dnia przed południem pani Matylda Błaszczak-Zagórna zginęła wraz z mężem w wypadku samochodowym, w drodze na pogrzeb swego wuja. Oboje ponieśli śmierć na miejscu. Ponieważ przyczyny wypadku nie były znane, a nawet budziły podejrzenia, natychmiast podjęto intensywne śledztwo i sprawa została skierowana na biurko Zebry.

– Wstrzymaliśmy też pogrzeb tego wuja – powiedział podkomisarz. – Zrobimy sekcję. *Sorry*, że nie potraktowałem poważnie twoich wcześniejszych podejrzeń, ale nie widzieliśmy podstaw. Za to teraz sytuacja wygląda inaczej. Niestety. Faktycznie trudno uznać to wszystko za przypadek...

– Może gdybym się jej nie czepiał... – zaczął Emil.

– Daj spokój – Zebra przerwał mu od razu. – Prędzej mogło kogoś zaniepokoić policyjne śledztwo. Ostrzegalesz ją zresztą.

– No i nic to nie dało.

– Nie twoja wina. Mamy już pięć powiązanych ze sobą ofiar. Nieźle! O co tu może chodzić, do kurwy nędzy?!

Emil zapalił papierosa.

– Marta twierdzi, że o coś związanego z tymi japońskimi drzeworytami – stwierdził, zachłannie zaciągając się wonnym dymem.

– To nie ma sensu! – zaoponował Marek. – Przecież sama mówiła, że te obrazki nie mają specjalnej materialnej wartości! A nasze dochodzenie to potwierdza. Nie wchodzi tu w grę ani włamanie i morderstwo dla zysku, ani przemyt dzieł sztuki, ani fałszerstwo. Nic z tych rzeczy! Czyli motyw ekonomiczny jest wykluczony. O co jeszcze może chodzić?

– Marta uważa, że o coś, co ma związek z historią tych drzeworytów. Że zagadka tkwi w ich przeszłości. Wierzę w jej intuicję. A ponieważ i tak nie ma się czego ucześcić, więc chyba rzeczywiście ucześcić się na razie tego wątku. A wy róbcie swoje.

Zebra zamilkł, przetrawiając to, co usłyszał od przyjaciela.

– No dobra – westchnął ciężko. – Czyli mamy kryminalną aferę, za którą kryje się niebezpieczna tajemnica z drzeworytami japońskimi w tle? Brzmi atrakcyjnie. Tylko trochę jak bajka. Bo niby co, do cholery, może mieć z nami wspólnego jakaś stara japońska historia?!

– Może – skwitował to Emil. – Może mieć, choć sam jeszcze kompletnie tego nie ogarniam. Próbujemy do czegoś dojść. Daj nam trochę czasu.

– Oby bez kolejnych ofiar – stwierdził podkomisarz, zbierając się do wyjścia. – I lepiej, żeby to nie był jakiś kolejny wariat...

– Jak tam Maria? Wiesz, że mam do niej słabość – Emil zmienił temat, by choć trochę rozładować przykry nastój.

– Maria? Bardzo dobrze i obejdzcie się bez twoich słabości! – nastroszył się Marek. – A kiedy wy zamierzacie zalegalizować wasz związek, co?

Emil wrzucił ramionami, z niesmakiem popijając zimną, gorzką kawę i odruchowo zapalając kolejnego papierosa.

– Znasz Martę – odparł. – To wolny ptak. Nie przepada za klatkami, jak określa wszelkie formalne związki między ludźmi. I jest uparta jak wszyscy diabli. Powtarza, że najpierw oboje musimy mieć całkowitą pewność, czy rzeczywiście chcemy być razem do grobowej deski. Ja taką pewność mam, ale ona w to chyba nie wierzy. Traktuje to strasznie

serio. Z początku myślałem, że chodzi jej o Emilę i Bartka. Ale wiesz, że Emila wyszła ponownie za mąż i razem z dzieciakiem wyemigrowali do Szwecji. Mają teraz swoje życie. Więc nie to jest problemem. Postawiłem na cierpliwość. Marta jest, jaka jest, a ja póki co nie chcę jej czegokolwiek narzucać...

– Ale pracujesz nad nią, jak rozumiem? – zapytał Zebra współczująco.

– Bez przerwy...

Rozdział 12

Wkrótce potem, nastąpił w sprawie pierwszy przełom i to z najmniej spodziewanej strony. Otóż na policję dobrowolnie zgłosił się złodziej z antykwariatu. Okazał się nim młody człowiek – zaledwie dziewiętnastoletni – nazwiskiem Andrzej Zyga. Przyznał się do winy. Relacjonujący zdarzenia Zebra stwierdził, że chłopak był przerażony. Sam dopraszał się o areszt. Zeznał niejasno, że włamania dopuścił się dla zysku, ale przestraszył się w ostatniej chwili i uciekł, zabierając tylko to, co miał pod ręką, czyli jeden japoński drzeworyt.

– Posługiwał się pojęciem „japoński drzeworyt”? – zdziwił się Emil.

– No właśnie. Też nas to trochę zdziwiło, bo gówniarz raczej nie sprawia wrażenia... wykształciucha – odparł Zebra. – Nie potrafił wyjaśnić, skąd zna taką terminologię. Zmieszał się, gdy przesłuchujący go sierżant zapytał o to. Wykręcił się od tematu. Fakt, że nie odróżnia zwykłego obrazu olejnego od, na przykład, akwareli, ani porcelany od kamionki, wskazywałyby na to, że w dziedzinie sztuki jest bardziej niż zielony...

– Ktoś mu zlecił włamanie?

– Tak przypuszczamy. Ale zaprzecza. Upiera się przy tym, że dokonał go na własną rękę. Dziwne tylko, że przy okazji sprawia wrażenie naprawdę spanikowanego. Choć może boi się tylko glin...

– Ma już na koncie jakieś przestępstwa?

– Nic specjalnego; drobne kradzieże w supermarketach, handel nielegalnym oprogramowaniem i odnotowane posiadanie narkotyków. Raz znaleziono przy nim trawkę, ale twierdził, że jej nie rozprowadza, tylko miał na własny użytek.

– Mógłbym z nim pogadać?

– Właśnie chciałem ci to zaproponować. Może tobie będzie się chętniej zwierzał, bo przy nas prawie sika w gacie. Wpadnij na komisariat, byle szybko. – Zebra, zadowolony, odwiesił słuchawkę.

Chłopak rzeczywiście sprawiał wrażenie ciężko przestraszonego. Pocił się, dłonie mu drżały, a wzrok biegał w popłochu po całym pomieszczeniu, z trudem skupiając uwagę na

rozmówcy.

– Ktoś ci groził? – zapytał Emil zniecacka.

Zyga natychmiast umknął spojrzeniem w bok i pokręcił głową.

– To czego się boisz?

– Nie lubię policji...

– Ja nie jestem policjantem – uśmiechnął się życzliwie Emil – tylko reporterem. Nie musisz się mnie obawiać. Chcę ci pomóc. Rozumiem, że nie lubisz gliniarzy. Oni nie są do lubienia. Ale przecież ty sam się do nich zgłosiłeś?

– No...

– Nie kapuję. Nie lubisz glin, boisz się ich jak ognia, a jednak dobrowolnie tu przyszedłeś? Przecież może by cię wcale nie znaleźli? Tylko mi tu nie wciskaj, że prześladowały cię wyrzuty sumienia!

Chłopak wzruszył ramionami.

– Bałem się, że jak mnie złapią, to dopiero będę miał... Wolałem sam się zgłosić...

Emil zapalił papierosa i wyciągnął do niego paczkę. Zawczasu uzyskał na to zgodę.

– Zapalisz?

Chłopcu zabłysnęły oczy.

– Jasne... Dzięki.

– To teraz szczerze. Ktoś ci zlecił to włamanie do antykwariatu, prawda?

Andrzej Zyga drgnął i spłoszył się jeszcze bardziej. Na jego okrągłej twarzy pojawił się popłoch.

– Już im mówiłem, że nie! – krzyknął załamującym się głosem. – To nieprawda! Sam z siebie to zrobiłem...

– Dobra! – Emil uniósł uspokajająco dłoń. – W porządku... Tak tylko pytam, na wszelki wypadek. A co zrobiłeś z tym drzeworytem, który ukradłeś?

– Sprzedałem. Na rynku.

– Komu?

– Jednemu gościowi...

– Znasz go? Wiesz, jak się nazywa?

– Nie...

– A skąd wiedziałeś, że to japoński drzeworyt?

– Nie wiedziałem! – zawołał histerycznie. – Ten gość mi dopiero powiedział, to se zapamiętałem...

– Aha. Jasne, teraz rozumiem – Emil pokiwał zgodnie głową. – Chyba cię stąd zaraz

wypuszczą. Bo w zasadzie nic takiego złego nie zrobiłeś... Co tam jeden mały drzeworyt! Właściciel antykwariatu nie zgłasza pretensji, więc w zasadzie nie ma żadnych powodów, żeby cię tu trzymali. W najgorszym razie będziesz odpowiadał z wolnej stopy...

Na te słowa chłopak zerwał się z miejsca.

– Niech pan... Niech pan im powie, że ja chcę odpowiadać za to, co zrobiłem! – poprosił roztrzęsionym głosem. – Ja... jestem winny! Nie wolno kraść! Niczego! I... I poszukajcie w składziku...

– Jakim składziku?

– Moim! Nie wie pan, co to składzik?

– Ale czego mamy tam szukać?

Teraz już Zyga trząsał się cały. Jego zęby szczękały, jakby w pomieszczeniu panował co najmniej dwudziestostopniowy mróz.

– Nic więcej nie powiem! – oświadczył. – Niech pan nie pyta! Jak pan znajdzie, to pan sam będzie wiedział... Dobrze poszukajcie... składzik... Z gołą babą... Tylko się lepiej pospieszcie! I Dobosza poszukajcie...

– Kim jest dobosz?

– Nieważne...

– No chyba jednak ważne, skoro każeś mi go szukać! – zdenerwował się Emil.

– Nic więcej nie powiem, mówię! Znam swoje prawa!

Emil wstał, przystanął jednak, przyglądając się chłopakowi ze współczuciem. Zyga siedział skulony na taborecie, obgryzając paznokcie – jak dziecko.

– Czegoś się boisz – jeszcze raz spróbował perswazji. – Powiedz to, człowieku! Dla własnego dobra powiedz, czego lub kogo się boisz... Znajdziemy jakieś rozwiązanie. Chcę ci pomóc. Ale najpierw musimy wiedzieć, o co tu chodzi.

Chłopak pokręcił tylko głową. Jednak, gdy spojrzał w przelocie na Emila, ten zauważył w jego oczach łzy.

– Nie da rady – powiedział do Zebry. – Chłopak jest tak ciężko wystraszony, że więcej nie powie, choćbyś nawet go kroił. Moim zdaniem, jest półprzytomny ze strachu. Na sto procent ktoś mu zlecił to włamanie. I ten ktoś ma drzeworyt.

– Ten jakiś... dobosz?

– Możliwe.

– Ale sprawdziliśmy, nie mamy żadnego notowanego o takim nazwisku lub

pseudonimie! Gdzie tu szukać jakiegoś dobosza?!

Emil wzruszył ramionami.

– Szukajcie dobosza. Ja zajmę się tym składzikiem.

– Przydzielę ci funkcjonariusza, żeby formalnie wszystko było w porządku – odparł Zebra. – Oficjalnie to on będzie szukał.

– Dzięki. Wypuście go? – zapytał Emil, wskazując brodą pokój przesłuchań.

– Chyba będziemy musieli – powiedział Zebra ponuro. – Z formalnego punktu widzenia, smarkacz wybił szybę i zwinął obrazek warty mniej więcej sto złotych. Zgłosił się dobrowolnie. Poszkodowany zrezygnował z oskarżenia. Nie mamy podstaw, by trzymać złodzieja w areszcie.

– Może namówię antykwariusza, żeby wniósł oskarżenie? – zaproponował Emil.

– To niczego nie zmieni. Możemy ewentualnie przetrzymać go do jutra, ale to wszystko. Chyba, że tymczasem coś jeszcze na niego znajdziemy...

Zebra urwał i podrapał się w głowę. Był to zwykły odruch podkomisarza, gdy odczuwał zakłopotanie. Jego wciąż płomiennie ruda czupryna jeszcze bardziej się od tego nastroszyła, a prostoduszna, piegowata twarz wyrażała autentyczną troskę.

– Nic nie mów – dodał. – Wiem. Zdaję sobie sprawę, że dzieciak może być w niebezpieczeństwie. Spróbuję zapewnić mu jakąś ochronę. Ale nic więcej nie mogę zrobić i ty dobrze o tym wiesz!

– W porządku – odparł spokojnie Emil. – Może znajdzie się coś w tym składziku. Zaraz jadę go szukać, musi być gdzieś w pobliżu miejsca zamieszkania chłopaka. Ciekawe, co miało znaczyć to „składzik z gołą babą”. Mam nadzieję, że nie kolejne zwłoki... A kiedy wyniki sekcji Zagórnej, jej stryja i męża?

– Powinny być nawet dziś wieczorem. Dam ci znać. Słuchaj... Zanim zaczniesz szukać tego składziku... Opowiedz mi wszystko, coście do tej pory ustalili z Martą w sprawie tych drzeworytów. I ich przeszłości... Rozumiesz?

Emil uniósł brwi:

– A mogę zapalić? – zapytał.

Zebra wyjął z szuflady ciężką nadtluczoną popielniczkę.

– I tak byś to zrobił – mrugnął. – Zawsze to robisz i nawet tego nie zauważasz...

Rozdział 13

Andrzej Zyga mieszkał wraz z matką i młodszym bratem w Nowym Porcie, peryferyjnej dzielnicy Gdańska, cieszącej się niegdyś złą sławą, obecnie jednak niewiele odbiegającej pod tym względem od innych. Nadal była dość biedna i zaniedbana. Stare rudery i ciasne uliczki graniczą tu z komunistycznymi blokami, a jej główne punkty orientacyjne to okazały budynek banku – przerobiony z dawnego socjalistycznego domu kultury – oraz falowiec z lat siedemdziesiątych.

Emil zostawił samochód pod komisariatem, gdzie dołączył do niego umówiony sierżant, i brnąc w błocie zmieszonym obficie z psimi odchodami, pieszo udali się na poszukiwanie tajemniczego składziku. Podwórko mieszczące się przy kamienicy, w której mieszkał Zyga, połączone było ciągiem przejść, cuchnących śmietnikami, z innymi dość obskurnymi podwórkami. Drewniane, rozwalające się szopy, na wpół zrujnowane stare garaże i ciasno do siebie przylegające baraki stały tutaj wszędzie.

Na widok policjanta z obcym mężczyzną z bram wychynęły grupy zaciekawionych, chichoczących ukradkiem dzieci. Sierżant zapytał je o składzik Zygi, dzieciaki jednak albo naprawdę nie miały pojęcia, gdzie go szukać, albo solidarnie udawały, by nie ułatwiać władzy zadania. Leżący na klatce schodowej stary pijak w ogóle udawał głuchoniemego.

– Zajrzyjmy do matki tego chłopaka – zaproponował sierżant.

Krętymi i śmierdzącymi moczem schodami udali się na górę. Ściany były tu brudne, pokryte łuszczącą się farbą olejną i zabazgrane tysiącami wulgarnych rysunków i napisów. Kobieta, która otworzyła im drzwi – w niechlujnym szlafroku i z wygasłym niedopałkiem w ustach – była pijana.

– Pani jest matką Andrzeja Zygi? – zapytał Emil.

– Niby jestem, na swoje nieszczęście – wybełkotała nieprzyjaźnie, zionąc oparami alkoholu. – A co?

– Czy pani wie, że syn został zatrzymany w związku z włamaniem? – włączył się do rozmowy sierżant.

– A zatrzymajcie go sobie na wieki! – zachichotała szyderczo, strzykając dookoła śliną. – Mnie to ani grza, ani ziębi...

– Gdzie jest pani młodszy syn? – zapytał sierżant, nadając swemu głosowi jeszcze bardziej urzędowy ton.

– A co? Ten też co nabroił?

– Ja pytam, czy pani wie, gdzie on w tej chwili przebywa?

Kobieta znów uśmiechnęła się cynicznie, ukazując zepsute zęby.

– A bawi się dzieciak na podwórku! Co to, już im się teraz nawet zabawić nie wolno? Pan to się nigdy nie bawił, panie władzo? Pan przecie tutejszy, to pan wie... Pamiętam pana, jak pan jeszcze w krótkich gaciach biegał... Tu zaraz obok jest szkoła. Boisko mają. Pewnie kopie z chłopakami piłkę jak zwykle, zamiast lekcje odrabiać! Ale ja go zaraz do tych lekcji zagonię!

– W takim stanie pani go będzie do lekcji zaganiać?

– W jakim stanie?! – oburzyła się. – Ja w porządku jestem, panie władzo! Kieliszeczek tylko zażyłam, na rozgrzewkę, bo tu zimno jak diabli, a węgiel drogi...

– Czy pani wie, gdzie Andrzej ma swój składzik? – wtrącił Emil, by przerwać tę jałową dyskusję.

– Jaki składzik? – wybałuszyła oczy.

– Składzik. Szopę taką, w której trzyma swoje rzeczy – uzupełnił sierżant.

– A ja tam nic nie wiem! – odparła opryskliwie. – Żeby on miał gdzie jaki składzik? Pierwsze słyszę! Chłopaków, jego koleś, niech pan się pyta. Co mnie do tego?

– Gdzie ci koleś?

– Bo ja tam wiem... Pan popatrz w jakiej bramie, pewnie tam chleją – zatoczyła się z lekka na framugę.

– Chodźmy – mruknął Emil. – Dziękujemy pani na razie...

Nie zdążył dokończyć zdania, gdy z hukiem zatrzęsęła za nimi drzwi. Schodząc, zauważyli, że zewsząd obserwowały ich jakieś oczy, a zza balustrady schodów wyglądały dzieci.

– Coś zrobicie z tą pijaczką? – Emil półgłosem zapytał policjanta.

– Co tu można zrobić...

– Przecież ona ma pod opieką małolata! W jakim wieku jest ten drugi chłopiec?

– Ze dwanaście lat. Ale co z tym zrobić? – westchnął sierżant. – To nie takie proste! Oni tu prawie wszyscy tacy sami. Gdyby karać każdego pijanego i odbierać mu dzieci, to wkrótce izby dziecka pękałyby w szwach, bo trzeba by było ze dwie trzecie dzielnicy ogołocić! Absurd. Co one mają za alternatywę, te dzieciaki? Dom dziecka? Przytułek?

– Fakt. – Zniechęcony Emil pokiwał głową. – To prosto brzmi tylko w mediach.

Teoria teorią, a życie życiem...

– Niestety. To problem społeczny, który istniał zawsze i będzie istnieć, póki ludzkość żyje na świecie. A im więcej biedy w kraju, tym więcej problemów.

– I biedy, i ciemnoty – dodał Emil. – Bo na alkohol oni jakoś zawsze mają. Nawet jeśli nie pracują. Ciekawe, co?

– Taaa... – pokiwał głową sierżant. – To prawda. I pomyśleć, że ja sobie czasem na jedno piwko żałuję, bo akurat dzieciakowi trzeba zeszyty czy farbki kupić do szkoły, a im jakoś zbywa...

Tymczasem znaleźli się z powrotem na brzydkim, zaśmieconym i ciemnym już podwórku.

– I co teraz?

– Stamtąd słyhać jakieś wrzaski. – Sierżant wskazał sąsiednią bramę. – Może imprezują tam kolesie naszego chłoptasia. Zobaczmy...

Rzeczywiście, w bramie, popijając piwo, stała grupka podchmielonych wyrostków. Na widok policjanta schowali butelki za plecami.

– Chłopaki, znacie Andrzeja Zyge?

Popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

– No... – odezwał się jeden. – Tak jakby. A co?

– Szukamy jego składzika. Podobno ma tu taki. Sam nam to powiedział, tylko nie potrafił wyjaśnić, gdzie on dokładnie jest.

– Składzik Zygi? – Parsknął śmiechem chudy, pryszczaty blondyn z sińcem pod okiem, rozciętą wargą i w naddartej wiatrówce. – Ja tam nie wiem. Tu jest od cholery składzików! Wiecie coś o tym, chłopaki? – zwrócił się ironicznie do kolegów.

Pokręcili głowami z tępyimi uśmieszkami na twarzach.

– A na co wam on? – zapytał blondyn.

– Wasz koleś siedzi – odparł sierżant. – Ma kłopoty. Jeśli chcecie mu pomóc, dajcie namiar na ten składzik.

– Chcemy mu pomóc? – wyzywająco zapytał blondyn pozostałych chłopaków. – Bo ja mam to w dupie. Tfu! O, *sorry*, panie władzo!...

Reszta zaśmiała się głośno. Nikt się nie odezwał.

– Jak wolicie – zirytował się policjant. – Skoro tak, to może wolicie być przesłuchani na komisariacie, każdy z osobna?

– Spokojnie, panie władzo! – obruszył się blondynek. – My nic nie wiemy! Serio! Jaki składzik? Pan patrzy, ile tu tych bud! Musicie każdą przeszukać...

– Więc przeszukamy, jeśli będzie trzeba – odezwał się Emil.

– A nakaz macie? Pan to niby kto?

– Nie pyskuj, gnojku! – zareagował sierżant. – I nie pić alkoholu po bramach! Uważaj, Zięba, bo ty wiesz, co i my wiemy...

Gdy odchodzili, chłopcy ostentacyjnie stanęli na baczność, po czym wydali z siebie głośny rechot.

– Tutaj chyba wszystkie dzieciaki skazane są na ten sam los – zauważył Emil z niesmakiem.

– Niekoniecznie! Nie jest tak źle – uśmiechnął się policjant gorzko. – Nie wszystkie. Tamta kobieta nie skłamała. Ja też stąd pochodzę...

W tym momencie ktoś nieśmiało pociągnął Emila za połę kurtki. Był to drobny, ciemnowłosy chłopaczek o bladej, lecz bystrej twarzy. Wyglądał na jakieś dziesięć lat.

– Szukacie szopy Andrzeja? – zapytał cicho.

– No – zachęcił go sierżant. – Wiesz, gdzie ona jest?

– Jestem jego bratem! – pochwalił się dzieciak. – Ona jest nie tutaj. Tylko na ogródkach działkowych. Nikt o niej nie wie, tylko Andrju i ja...

– Aha. Opisziesz nam, jak do niej trafić?

– Może... A gdzie jest mój brat? Kiedy wróci do domu?

– Od tego, czy znajdziemy tę szopę może zależeć, czy i kiedy wróci – powiedział poważnie Emil. – Więc jeśli chcesz pomóc swojemu bratu, to pomóż nam, ok?

Chłopiec potarł czubek nosa, rozglądając się nieufnie dookoła.

– Dobra – zgodził się w końcu. – Pan wie, gdzie te ogródki, nie? Narysuję panu plan...

Wyjął z kieszeni zmiętą kartkę papieru.

– Kurrna! – zasyczał. – Nie mam czym pisać. Ma pan długopis?

Emil wyjął z kieszeni cienkopis i wręczył go małemu.

– O kurcze, jaki wypas! – pochwalił chłopiec. – Dobra, to idzie tak...

Z wysuniętym czubkiem języka, w skupieniu szybko naszkicował coś na kartce, mamrocząc do siebie pod nosem.

– Taka zielona buda z wysprejowaną gołą babą – dodał porozumiewawczo.

– Dzięki! Zdolniacha z ciebie! – pochwalił go Emil, zerkając na rysunek. – A długopis możesz sobie zatrzymać.

Malec i tak już chował go ukradkiem do kieszeni.

– Serio? Super. Dzięki! – chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu. – I niech pan tylko puści mojego brata! – zawołał już w biegu.

– No to teraz trafimy! – powiedział sierżant z zadowoleniem. – Już egipskie ciemności, a na tych działkach pełno meneli. A my nie mamy ludzi. Wezmę tę kartkę i poszukamy z samego rana. Zadzwoń do pana, jeśli chce pan przy tym być.

Emil zerknął na zegarek i zastanowił się. Dochodziła dziewiąta.

– Może i racja – wręczył kartkę policjantowi. – Ale niech pan zadzwoni. Jednak wolę przy tym być.

– Jasne – zgodził się sierżant. – Niech pan będzie spokojny. Zadzwoń, kiedy tylko zacznie się rozwidniać. Chodźmy!

Rozdział 14

Emil wracał do domu z mocnym zamiarem wczesnego położenia się do łóżka, skoro jutro musiał wstać skoro świt. Jednak nie było mu dane wypaść się tej nocy. Gdy tylko podjechał pod dom, ujrzał tam prywatny samochód Zebry.

– A co wy tu wyprawiacie tak *tête-à-tête*?! – napadł na Martę i kolegę, zawzięcie dyskutujących przy kawie. Prawie nie zauważyli jego wejścia.

– Siadaj, przyjacielu, i napij się z nami kawy! – zaprosił go uprzejmie Zebra.

– Jutro wstaję o świcie – odparł. – Co jest?

– Musimy pogadać.

– Specjalnie po to do ciebie dzwoniłem, żeby przekazać, że dziś nic nie wyszło z przeszukania tej szopy. Słowem nie wspominałeś, że się do nas wybierasz! – powiedział Emil z wyrzutem. Stojąc, nalał sobie trochę kawy do filiżanki.

– Naszło mnie nagle – wyjaśnił podkomisarz. – Siadaj na tyłku i słuchaj! Mam nowe informacje.

Emil usiadł wreszcie zrezygnowany i zapalił papierosa.

– Nie pal od razu, tylko zjedz choć kawałek ciasta – napadła na niego Marta. – Marek przyniósł. Założę się, że nic dzisiaj nie jadłeś! Znam cię jak zły szeląg.

– Marek przyniósł?! – Emil wytrzeszczył oczy. – Niemożliwe... Może jeszcze sam upiekł?

– Nasza koleżanka upiekła. Dostała awans. Sporo zostało, więc zabrałem. Też nie jadłem kolacji. Nie chcesz, to nie jedz, będzie więcej dla nas – odgryzł się Zebra.

– Zrobię wam kilka kanapek. – Marta wstała od stolika.

– Nie, siedź! Szkoda czasu – przyhamował ją podkomisarz. – Drożdżówka wystarczy!

– Może przejdziemy wreszcie do rzeczy? – zasugerował Emil z ironią, nakładając sobie największy kawałek babki. – Podobno masz jakieś nowe info?

Zebra rozsiadł się wygodnie, a na jego kolana wgramolił się Bolero.

– Mam wyniki sekcji tamtych trojga – zakomunikował. – Tej Zagórnej i jej męża. Oraz stryjka. I wyniki ekspertyzy przyczyn wypadku. No więc, jeśli chodzi o staruszkę, to rzeczywiście zszedł na zawał. Nie wykryto śladów żadnej podejrzonej substancji. Ale za to

stwierdziliśmy coś innego. Tuż przed śmiercią odebrał dwa zagadkowe telefony. Oba z budki telefonicznej na dworcu... Mówi wam to coś, prawda? Połączenie za każdym razem trwało góra minutę. A zaraz potem szlag trafił dziadka... Niby nie chorował na serce, ale w tym wieku niewiele trzeba. Przypadek? Nie sądzę. To tyle na temat stryja. Co do tamtych dwojga, sprawa jest jasna. Ktoś ewidentnie pomógł im zejść z tego świata. Uszkodzono hamulce. Bardzo zmyślnie. Konkretnie, przecięto przewód hamulcowy za przednim kołem. Taki gumowy wężyk. – Zebra zerknął na Martę. – Nie będę się wdawał w szczegóły, zaznaczam jednak, że został on przecięty, a nie przetarty! Proste jak drut, ale skuteczne. To z pewnością nie przypadek. Po pewnym czasie wyciekł cały płyn hamulcowy. Wypadek murowany. Drogi są śliskie, kręte, wpadli w poślizg. Koniec...

Marek zawiesił głos i urwał, głaszcząc pod brodą mruczącego Bolera, który sprawiał wrażenie, jakby spijał słowa z jego ust. Marta uważała, że koty znają wszystkie tajemnice wszechświata. Jeśli chodzi o Bolera – było to nawet bardzo prawdopodobne.

Emil zapalił drugiego papierosa, a Marta zapatrzyła się w drzeworyty, wiszące na ścianie.

– Jakaś japońska klątwa, czy co?! – powiedziała do siebie.

– To one? – Zebra powędrował za jej wzrokiem. – Wiszą na honorowym miejscu, jak widzę! Ładne, nie powiem. Ale ta piękna Japonka nie wygląda na demona zemsty...

– Bez żartów na ich temat, dobrze? – upomniała go Marta.

– To wszystko w ogóle jest mało zabawne – stwierdził Emil z niesmakiem. – A ten cały... dobosz? Albo Dobosz z dużej, o ile to nazwisko... Macie już coś?

– Nic – pokręcił głową Zebra. – Nasi ludzie sprawdzili dokładnie. Nie mamy takiego w naszym rejestrze. W środowisku przestępczym nie istnieje delikwent o takim pseudo. Jest w Trójmieście kilka osób o nazwisku Dobosz, ale raczej nie mają nic wspólnego z tą sprawą. Przynajmniej nie znaleźliśmy nic, co by na to wskazywało.

Emil wyglądał, jakby go nie słuchał. Raptem zerwał się z krzesła, chwycił swój notes i natychmiast usiadł z powrotem.

– Kurde! – zawołał jakby w olśnieniu, kartkując gorączkowo zeszyt. – Coś mi się przypomniało... Pamiętacie? Mówiłem wam obojgu, że podczas pierwszej rozmowy Zagórna wspomniała coś o jakimś gościu, który zwrócił się do niej z ofertą kupna drzeworytów. Za wygórowaną cenę, jak zrozumiałem. Tyle że ona już wtedy sprzedała je do antykwiariatu. Jakieś bardzo podobne nazwisko wymieniała. Nie była pewna, czy je dobrze pamięta. Zaraz... Poczekajcie... Mam: Jarosz albo Rogosz. Brzmi podobnie jak Dobosz...

– Pamiętam! – ożywił się Zebra. – Opowiadałeś o tym. Fakt. Ale wtedy jeszcze nie

wydawało mi się to znaczące. Po śmierci właściciela ludzie często wykupują kolekcję od spadkobierców, nic w tym nadzwyczajnego. Prawda, brzmi podobnie... Czekaście, muszę zadzwonić! Każe to szybko sprawdzić. – Zebra wstał, ostrożnie posadził kota na kanapie i wyjął komórkę.

Bolero natychmiast przeniósł się z powrotem na kolana Marty.

– Może jednak nie załatwili jej przeze mnie... – mruknął Emil.

– Zginęła, bo pochodziła z tej rodziny! – Marta spojrzała na niego z przyganą. – Przestań bredzić. Poza tym mogła ją zgubić własna naiwność i gadulstwo.

– R-o-g-o-sz! Tak... Rogosz. Albo Jarosz. Sprawdźcie to zaraz i oddzwonicie do mnie!

– Zebra zakończył rozmowę i wyłączył komórkę. Wrócił na kanapę. – Załatwione. Zaraz poszukają.

– A co z chłopakiem? – zapytał Emil.

– Przez tę noc posiedzi. Ale jutro musimy go wypuścić. Co najwyżej mogę przetrzymać go do południa, to wszystko.

– Może do tego czasu znajdzie się w tym składziku coś, co pozwoli zatrzymać go na dłużej – wyraził nadzieję Emil. – Wygląda na to, że chłopak ma się czego bać.

– A jak u niego w domu?

– Szkoda gadać... – Emil z rezygnacją machnął ręką. – Dno. Pijana mamusia, kumple dresiarze i rezolutny braciszek, idący w jego ślady...

– Nic nie wiedzieli?

– Raczej nie – odparł. – Matki najwyraźniej nie interesuje nic prócz butelki. Braciszek wskazał nam, gdzie znajduje się składzik. To jeszcze dziecko, podobno ma dwanaście lat, ale wygląda na mniej. Wątpię, żeby Zyga mu się zwierzał. Kolesie... Typowe prymitywne szumowiny, okupujące klatki schodowe. Raczej niewtajemniczeni, bo mały pochwalił się nam, że o tym składziku wie tylko on i jego brat.

Marta dołała wszystkim kawy. Po chwili zaterkotała komórka Zebry.

– Tak? – Mina podkomisarza zrzędła. – Rozumiem. Dzięki. Ok. To na razie...

– Ta sama sytuacja – oznajmił, gdy się rozłączył. – Czyli nic. Żaden Rogosz, Jarosz ani Dobosz nie figurują nigdzie. Nie byli karani, zatrzymani ani notowani. Nie ma żadnego delikwenta o takiej ksywce. Nazwiska są popularne, nic nam po nich.

– Pewnie zmyślone – dopowiedziała Marta.

– Pewnie tak. No to jesteśmy w punkcie wyjścia...

– Przyciśnijcie jeszcze tego Zyge, może powie, o co chodziło z tym doboszem? – zaproponował Emil.

– Spróbujemy – zgodził się Zebra. – Problem tylko w tym, że chłopak nam już całkiem zaniemówił. Zamknął się w sobie jak ślimak w skorupie i w ogóle odmawia odpowiedzi na wszelkie pytania. No, lecę. Żona czeka. Prześpij się choć parę godzin, staruszk. A jeśli znajdziecie coś ciekawego w tym cholernym składziku, to daj mi zaraz cynk na komórkę. Powodzenia!

Rozdział 15

Telefon sierżanta obudził Emila kwadrans po piątej rano. O tej porze częściej się kładł, niż wstawał. Marta zamruczała przez sen i odwróciła się na drugi bok. Nawet Bolero z niedowierzaniem uniósł głowę, po czym rozłożył się wygodniej, korzystając z cudem zwolnionej przestrzeni. Pierwszy raz od wielu miesięcy to Emil najwcześniej zaczynał dzień. Na palcach opuścił sypialnię, wziął szybki prysznic, zjadł jogurt, wypił kubek gorzkiej kawy rozpuszczalnej, by już po dwudziestu minutach znaleźć się w samochodzie. Zanim ruszył, wypalił pierwszego tego dnia papierosa.

O tej porze jechało się na swobodnie, nie było jeszcze korków, więc w Nowym Porcie pojawił się już pół godziny później. Sierżant czekał na niego w radiowozie – tak jak się umówili, w pobliżu bocznego wejścia na teren ogródków działkowych. Wsiadł uzbrojony w łyżkę do opon. W przeciwieństwie do Emila – ziewającego co pięć minut – policjant był rzeński i emanował energią.

Teren ogródków znajdował się na obrzeżach Nowego Portu. Sprawiał przygnębiające wrażenie, szczególnie o tej porze roku, gdy zieleń nie przesłaniała jeszcze widoku błota, śmieci i starych, odrapanych bud. Panował tu nastrój opuszczenia. Nie natknęli się nawet na żadnego bezdomnego, tradycyjnie korzystającego w tym miejscu z dachu nad głową, oprócz jednego – bezpańskiego kundelka, który podbiegł do nich, merdając przyjaźnie wyliniałym ogonem. Sierżant wyjął z kieszeni kanapkę i nakarmił nią psa.

Emil spojrzał uważnie na plan narysowany przez małego Zyge.

– Od długiej alejki w lewo, trzy altany, pompa, potem pusta działka i następny w głębi ma być ten składzik – policzył. – Tędy..

– Uwaga na gówna! – zaalarmował sierżant. – Wszędzie ich tutaj pełno.

Rudera była zapuszczona, krzywa i zabita deskami. Jej front ozdobiony został karykaturalnym wizerunkiem „gołej baby” ogromnych rozmiarów. Na sękatych drzwiach wisiała wielka kłódka.

– I co teraz?

– Jak to co? Do dzieła! – odparł sierżant, demonstrując Emilowi łyżkę do opon.

Już po chwili wejście do szopy stało otworem. Wnętrze stanowiło istną graciarnię.

Wszystko tu było! Stare opony, zardzewiałe narzędzia, spleśniałe dywany, skrzynki na jabłka, mnóstwo połamanych mebli, muszla klozetowa, a nawet wybebeszony telewizor lampowy.

- Rany boskie... – westchnął Emil.
- Czego właściwie szukamy?
- Nie mam pojęcia. Czegoś nietypowego...

Po mniej więcej pół godzinie przeszukiwania rupieciarni, sierżant otarł pajęczyny z twarzy i dłoni, a potem mruknął zniechęcony:

- Cholera, niczego ciekawego tu nie ma... Same graty! Wszystkie cholernie typowe!
- Coś musi być – odparł Emil, zapalając papierosa i częstując policjanta. – Zróbmy sobie przerwę na fajkę i szukajmy dalej, do skutku.
- A jeśli chłopak bajerował?
- Nie sądzę... Po co miałby to robić?

Jednak gdy minęło kolejne pół godziny bezowocnego miotania się w stercie rupieci, Emil też poczuł się zrezygnowany. Przerzucili już wszystko do góry nogami i nie znaleźli niczego godnego uwagi. Bezmyślnie wziął do ręki pęknięty gliniany wazonik z cienką szyjką, stojący na krzywej półce przy ścianie, zbitej z surowych desek. W środku coś tkwiło. Zwinięty papier. Pomyślał, że naczynie wypełnione jest starą gazetą, ale mimo to wydłubał zawartość i rozwinął pożółkły rulonik. Nie była to gazeta...

- Chyba coś mam! – zasygnalizował podekscytowany.

Sierżant porzucił zardzewiałą blaszaną konew, którą akurat dzierżył w dłoni, z trudem pokonał potężną stertę połamanych mebli i, podszedłszy do Emila, zerknął mu z ciekawością przez ramię:

- Co to jest?

Wystrzępiona kartka grubego papieru, w wielu miejscach dość poważnie uszkodzona przez wilgoć, mocno poplamiona i naderwana, pokryta była częściowo rozmytymi tajemniczymi znakami i opatrzona nieczytelną dla oka, wyblakłą pieczęcią.

- Dokument – odparł Emil.
- A po jakiemu to jest? To hieroglify? – bąknął zdezorientowany policjant.
- Coś w tym stylu. – Uśmiechnął się ze zrozumieniem dziennikarz. – To chyba pismo japońskie.
- Japońskie? – jeszcze bardziej zdumiał się sierżant.

Emil wyjął komórkę i zgodnie z obietnicą zadzwonił do Zebry.

– Znaleźliśmy coś – oznajmił. – Jakiś stary dokument. Z pieczęcią. Japońskie znaki. Pewnie do odcyfrowania, ale nie przeze mnie...

– Stary dokument? Czyli nic konkretnego! – odparł rozczarowany podkomisarz. – Może to tylko instrukcja do jakiegoś japońskiego sprzętu?

– Oszalałeś? – oburzył się Emil. – A czego ty się spodziewałeś? Składu broni, worka heroiny?! Lepiej szykuj rzeczoznawców. To musi być to!

– No dobra, ale to za mało, żeby zatrzymać chłopaka. Będziemy musieli zaraz go wypuścić, a najwyżej później wezwać na przesłuchanie – zapowiedział Zebra.

– Pouczcie go przynajmniej, żeby póki co siedział w domu, z nikim się nie spotykał i był w stałym kontakcie z policją.

– To „oczywista oczywistość” – uspokoił go Marek. – Nie martw się. Odstawimy smarkacza prosto na miejsce. A w razie czego sierżant będzie miał na niego oko, to gość z głową na karku.

– Fakt – przyznał Emil. – Chyba wieczorem podjadę do chłopaka i spróbuję z niego wyciągnąć wszystko, co wie o tym dokumencie i skąd go wziął. Może u siebie w domu będzie bardziej skłonny do rozmowy?

– Dobry pomysł. A teraz przyjeżdżaj prosto do nas – dodał podkomisarz. – Ja też mam coś dla ciebie...

Zebra uroczystym gestem, bez jednego zbędnego słowa, położył na biurku japoński drzeworyt. Emil wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. Widniały na nim rozłożyste białe kwiaty rosnące nad wodą – lilie albo orchidee; słabo znał się na kwiatkach – oraz wielki kolorowy motyl, który z rozłożonymi skrzydełkami przycupnął na jednym z nich. Drzeworyt oprawiony był w pękniętą ramkę, bardzo prymitywną, wykonaną ze zmatowiałego szkła i kartonu zabezpieczonego taśmą, wyraźnie w kilku miejscach porozrywaną. Sam obrazek także został mocno zniszczony; pognieciony, jakby ktoś mścił się na nim w bezmyślnej furii.

– Ładny, co? To ten? – zapytał Zebra z zadowoleniem.

– Na to wygląda... – odparł oszołomiony Emil. – Wszystko się zgadza. Pasuje do cyklu. Ale skąd?

Podkomisarz zatarł ręce:

– Szczęśliwy traf. Ktoś przypadkowo znalazł go na śmietniku i usiłował sprzedać w jednym z gdańskich antykwariatów. Właściciel skojarzył fakty i zawiadomił policję.

– Ciekawe, czy to zbieg okoliczności, że akurat teraz... – zastanowił się Emil. –

Sprawdziliście tego kogoś?

– Tak. Emerytowany nauczyciel. Niczego nieświadomy. Raczej jest tak, jak mówi. Wysypywał kubek, zauważył ładny obrazek, rozpoznał, że stary, zabrał, oczyścił i zaniósł do pierwszego z brzegu antykwariatu, licząc, że wpadnie mu dodatkowych parę groszy. Sąsiadów też sprawdziliśmy. Nikt się nie przyznaje do tego obrazka. Mówią, że nigdy wcześniej nie widzieli go na oczy. Zresztą to prawie sami starsi ludzie, emeryci, na gangsterów nie wyglądają. Ale śmietnik znajduje się w centrum Gdańska, dwa kroki od ulicy. Każdy mógł tam wrzucić ten drzeworyt, jeśli chciał się go pozbyć. Choćby ja sam, mieszkam przecież na Długiej, czyli całkiem niedaleko od tego cholernego śmietnika. Albo ty, bo często tam chodzisz. Tysiące ludzi bywają na starówce! Zdjęliśmy już odciski palców, możesz go sobie obejrzyć z bliska...

Emil pokiwał głową, ochoczo biorąc drzeworyt do ręki. Odwrócił go, by dokładniej przyjrzeć się oprawie. Ramka trzymała się luźno i niemal rozpadła się pod jego dotykiem. Ostrożnie wyjął grafikę wraz z *passe-partout* i odłożył na biurko, demonstrując Markowi zabezpieczający ją z tyłu karton.

– Tutaj coś było – zauważył. – Spójrz, kieszonka. Jakby koperta, doklejona pod spodem do kartonu. Pusta...

– Myślisz, że...

– Myślę, że idealnie zmieściłby się w niej ten dokument z szopy. Chłopak oddał zleceniodawcy drzeworyt, ale buchnął dokument. Dlatego teraz ma takiego pietra. Ten ktoś – być może „dobosz” – pozbył się drzeworytu, kiedy Zyga zgłosił się na policję. Trzeba jak najszybciej rozszyfrować ten dokument! Zrób mi ksero, a może Marta też się nad nim potrudzi. À propos, Zyga już w domu?

– Tak. I ma z niego nie wychodzić. Zresztą jest tak ciężko wystraszony, że dobrowolnie na pewno nie wychyli nosa. Sierżant zajrzy do niego po służbie.

– Ok. Trzeba go koniecznie ochraniać. Chyba rzeczywiście wie coś, co jest dla kogoś bardzo niebezpieczne. Dla niego zresztą też... Podjadę wieczorem, żeby z nim porozmawiać. A może wpadniemy tam razem?

– Sądzę, że lepiej będzie, jeśli pogadasz z nim sam. Do ciebie miał jakby większe zaufanie niż do policji – odparł Zebra z udanym niesmakiem.

– Dobra – uśmiechnął się Emil. – A co z tym drzeworytem? Zostaje u was?

– Na razie jeszcze tak, jako dowód rzeczowy. Ale później to już sam nie wiem. – Marek mrugnął. – Zasadniczo należy do tego antykwariusza, któremu Zyga go buchnął...

– No to odkupię go od niego! Powinien być razem z pozostałymi, stanowią całość –

odparł Emil stanowczo.

– Popieram – dorzucił Zebra.

Marta – poruszona odkryciem dokumentu – ślęczała nad japońskimi znakami.

– Będę musiała kogoś poprosić – wymruczała, zdejmując na chwilę okulary. – Mam znajomą na warszawskim uniwerku, ona mogłaby nam pomóc. Zajmuje się poezją japońską, czasem tłumaczy haiku... takie krótkie wiersze. Z tym, że te znaki to chyba straszne archaizmy, więc nie wiem, czy ona sobie z nimi poradzi. Ale na pewno łatwiej jej będzie znaleźć jakiegoś specjalistę. A jaki jest ten drzeworyt? – zapytała.

– Niedługo go zobaczysz. Jest piękny, ale bardzo zniszczony.

– To żaden problem! Sama zrobię renowację. Zapominasz, że to moja specjalność?

– Nie zapominam. – Pocałował ją w kark. – Zbieram się, bo muszę jeszcze pogadać z tym chłopakiem...

– Tylko, proszę cię, bądź ostrożny!

– Będę. Zresztą pójdę do niego razem z tym młodym sierżantem. Oni się znają. Już się z nim umówiłem. – Pospieszenie sznurował buty, gdy zadzwoniła komórka. – To Zebra – powiedział do Marty, rzuciwszy okiem na wyświetlacz. – Może jednak zdecydował się jechać ze mną? Tak, słucham? – Wiążąc szalik, przytknął telefon do ucha.

– Już wyjechałeś? – głos Marka był ponury.

– Właśnie wychodzę...

– Nie spiesz się. Nie ma po co. Właśnie dostałem informację. Kolejna porażka, kurwa mać, niech to jasny szlag trafi! Chłopak się powiesił...

Część II

Rozdział 16

Jakiś czas później

Śledztwo utknęło w martwym punkcie. Jedyne, co posiadali, to tajemniczy dokument ze składowiku, jednak odcyfrowanie go okazało się trudniejsze, niż zakładano.

Wiedzieli już wprawdzie, że rzecz dotyczy jakiejś dawnej transakcji na wysokim szczeblu, lecz należało jeszcze doprecyzować szczegóły oraz naukową interpretację tła historycznego i prawnego dokumentu. No i stwierdzić, co wspólnego mogą mieć stare japońskie interesy ze współczesnymi morderstwami na terenie Gdańska. Zakrawało to po prostu na absurd.

Mimo trudności śledztwo toczyło się kilkoma torami. Policja badała wątki współczesne, środowiska i powiązania ofiar. Emil zajął się historią związaną z tropem japońskim i drzeworytami. Marta tymczasem skupiła się na badaniu samych drzeworytów, a rozszyfrowanie dokumentu zlecono rzeczoznawcom, wskazanym przez nią. Wciąż jednak błędzili w ciemnościach. Brakowało punktów stycznych, jakiegoś drogowskazu, który poprowadziłby ich we właściwym kierunku. Bez niego natrafiali na kolejne ślepe zaułki.

Marta wzięła urlop w muzeum i niemal nie odchodziła od komputera, obłożona wciąż rosnącymi stosami notatek i książek. Biurko Emila wyglądało nie lepiej. We wszystkich bibliotekach poznano jego kolejne maniactwo i podsuwano nowe opracowania na temat historii Japonii, napisane w różnych językach, więc przy okazji rosła istna wieża Babel zbudowana ze słowników leżących na podłodze.

– Niedługo będę znał lepiej historię Japonii niż historię własnego kraju! – zauważył pewnego dnia z ironią. – A i tak niewiele z tego wynika...

– Przecież nie musisz wkuwać całej historii Japonii! – zachichotała Marta. – Ona liczy tysiące lat! Chyba wystarczy, o ile wiem, historia najnowsza, czyli od – powiedzmy – otwarcia Japonii na świat, to znaczy mniej więcej od połowy dziewiętnastego wieku?

– Próbowałem, ale tak się nie da. – Emil dołączył kolejne tomy do stosu pozostałych, już przeczytanych. – To nie takie proste. Człowiek zaczyna od końca, ale żeby to wszystko

ogarnąć i zrozumieć, trzeba cofać się coraz dalej i dalej w przeszłość. Skaranie boskie z tymi Japończykami...

– Pamiętaj, że ta historia musi się gdzieś łączyć z naszą historią – powiedziała Marta poważnie. – I mniej więcej wiemy, gdzie. Na tym powinieneś się skupić, bo tu jest pies pogrzebany.

Emil poszedł do kuchni zaparzyć kawę. Wrócił po chwili z dzbankiem i dwoma kubkami.

– Nalać ci? – zapytał.

Marta pociągnęła nosem.

– Kawa? No dobrze, wyjątkowo... Siedzę od rana, łeb mi już pęka!

– A co z tym japońskim dokumentem? – przypomniał jej Emil. – Masz kontakt z ludźmi, którzy nad nim pracują?

Marta oderwała się od komputera, z ulgą prostując plecy i ramiona.

– Pewnie, że mam, ale na razie nic nowego...

– Dlaczego to tak ciężko idzie? – niecierpliwił się. – Co w tym takiego skomplikowanego? Przecież to tylko jeden dokument!

– Dlatego, że pismo japońskie to nie to samo co europejskie. Nie ma porównania. Nie wystarczy proste tłumaczenie. Szczególnie, że w tym przypadku chodzi o znaki sprzed ponad stu lat.

– Nie kapuję. – Emil wzruszył ramionami i zapalił papierosa.

– Wyjaśnię ci to z grubsza – odparła uprzejmie. – Otóż pismo japońskie to chyba najtrudniejszy system znaków na świecie. Złożone jest z dwóch sylabariuszy zwanych *kana* oraz znaków *kanji*, pochodzenia chińskiego. Największa grupa – *kanji* – to znaki importowane z Chin, a oparte na piśmie obrazkowym, gdzie jeden znak symbolizuje jedną ideę. Skomplikowane, co? Pierwotnie było ich pięćdziesiąt tysięcy. Obecnie liczba znaków zmniejszyła się do dziesięciu tysięcy, z czego prawie dwa tysiące znajduje się w powszechnym użyciu. *Kana* to z kolei wspólna nazwa sylabicznych pism japońskich, na które składają się z dwa sylabariusze: *hiragana* i *katakana*. Istnieje również starszy, nieużywany już system *manyogana*... Nie rób takich przerażonych oczu! Sylabariusze są tworem japońskim i używa się ich do zapisu fonetycznego. Obydwa składają się z blisko pięćdziesięciu znaków, ale obok nich występują także ich kombinacje.

– Po co im aż trzy grupy znaków? – zapytał Emil.

– Spowodowane jest to dużą liczbą słów, które brzmią identycznie lub prawie identycznie, więc byłoby trudno zrozumieć, co ktoś chciał napisać. Dlatego Japończycy

stosują wszystkie trzy systemy jednocześnie, a czasami uzupełniają je literami łacińskimi oraz cyframi arabskimi. Mieszany jest także system zapisywania znaków. Tradycyjnie pisze się je pionowo, od prawego górnego rogu. Równie dobrze znaki można pisać po europejsku, czyli od lewego górnego rogu. Jeszcze inny sposób to stosowanie tych dwóch form obok siebie.

– Dobra, bo już się pogubiłem! – przerwał jej Emil. – Lepiej powiedz, czym się różni ta kata coś tam od hira coś tam...

– *Hiragana* została przekształcona z *kanji*, a obecnie używa się jej do pisania znaków pochodzenia japońskiego, które nie mają własnego *kanji* oraz do zapisu końcówek gramatycznych. Z kolei znaki *katakana* są znacznie prostsze, bardziej kanciaste i szybsze w zapisie. Powstały przez uproszczenie znaków *kanji*. Japończycy stosują *katakana* do zapisu nazw geograficznych, zagranicznych nazwisk, a także słów japońskich zapożyczonych z innych języków, do wyrazów dźwiękonaśladowczych oraz nazw naukowych.

– Rany boskie! – wyszeptał Emil, łapiąc się za głowę. – Biedne japońskie dzieciaki, które muszą uczyć się tego wszystkiego w pierwszej klasie!

Marta uśmiechnęła się tryumfalnie.

– No, widzisz... To nie to samo co abecadło! – potwierdziła z satysfakcją. – Jest jeszcze *rooma-ji*. To wspólna nazwa wielu systemów znaków stworzonych pod Europejczyków. Jednym z najbardziej popularnych jest *hebon-shiki*, opracowany w dziewiętnastym wieku przez uczonych obydwu kontynentów, a rozpowszechniony przez misjonarzy.

– Dobra już! – Emil machnął ręką. – Dosyć! W ogóle nie jestem w stanie zrozumieć, jak ktoś może to opanować...

– Dlatego niewielu jest Europejczyków, którym się to udało. A zwróć jeszcze uwagę, że od stu lat, czyli od czasu powstania naszego dokumentu, znaki też się pozmieniały. Część już dawno wyszła z użycia i została zapomniana, a część zastąpiły nowe znaki. Nawet przeciętnie wykształcony Japończyk nie odczyta wszystkiego. Z tego powodu tak długo to trwa, wracając do twojego pierwotnego pytania – podsumowała Marta. – Ale ty nawet nie zauważyłeś, jaki mam dziś dobry humor! Coś odkryłam...

– No?

– Na jednej japońskiej stronie internetowej znalazłam sygnaturę identyczną z tą na naszych drzeworytach! Jeśli uda mi się ją odczytać, będziemy mieli twórcę!

– Super – odparł Emil bez entuzjazmu. – Tylko co nam to da, poza satysfakcją?

– Nie wiem. – Marta nadała się lekko. – Ale możliwe, że akurat coś da. Jeśli znajdziemy nazwisko, to będzie można te drzeworyty ulokować w konkretnym czasie i

miejscu, rozumiesz? A z tego może wiele wynikać...

Rozdział 17

Gdy wstał, dochodziła jedenasta. Wcześniej, zważywszy, że poprzedniej nocy pracowali do trzeciej nad ranem. Tymczasem Marta w szlafroku siedziała już przy komputerze. Obok niej, rozciągnięty na biurku, wylegiwał się rozanielony Bolero.

– A ty już od świtu? – wymamrotał niewyraźnie Emil w drodze do łazienki.

– Cicho! – mruknęła zamiast odpowiedzieć, nawet na moment nie odrywając wzroku od ekranu.

Emil wziął prysznic i zrobił sobie mocną kawę, którą przegryzł sucharkiem, ponieważ nic innego nie znalazł, a Marta skutecznie wbiła mu do głowy, że w żadnym razie nie wolno palić na czczo. Wrócił do pokoju, by zapytać Martę, czy jadła już śniadanie.

Nie zdążył tego zrobić.

– Mam! – zawołała, gdy tylko przestąpił próg. Jej oczy, zielone jak u Bolera, błyszczały dzikim podnieceniem. – Mam! Znalazłam go!

– Kogo? – zapytał oszołomiony.

– Jak to kogo?! Jeszcze się nie obudziłeś? Znalazłam naszego artystę, sklerotyku, od siódmej rano tu ślęczę! Siadaj, zaraz ci wszystko opowiem!

– No to dawaj... – Emil usiadł i zapalił papierosa.

– Odczytałam wreszcie tę sygnaturę! Sama, samiuteńka! Mozolnie, godzinami porównując przekłete japońskie krzaczki! Facet nazywał się Baison, jestem tego pewna prawie na sto procent!

– To by się nawet zgadzało, bo twój znajomy, ten kolekcjoner, jak mu tam... też odczytał pierwszą sylabę: bai. Pamiętam!

– Właśnie. Jak Barei. Może to jego uczeń... Problem w tym, że żaden Baison nigdzie nie figurował, w żadnych źródłach. Ani śladu po Baisonie! Tak, jakby nigdy nie istniał... Szlag mnie trafiał, bo byłam prawie pewna, że dobrze go odczytałam. Aż w końcu, wyobraź sobie, buszując rozpaczliwie po zagranicznych stronach internetowych, natknęłam się nareszcie na to nazwisko.

– Coś o nim wiadomo?

– No właśnie, niewiele. Baison figuruje w powiązaniu z takim słynnym wydawcą,

legendarnym już dziś w Japonii, który działał w Tokio od lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku do tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego. Nazywał się Hasegawa. Wydawnictwo Hasegawa. Wydawał luksusowe książki, często na krepowym papierze, zdobione oryginalnymi drzeworytami. Baison był jednym z jego ilustratorów.

– I to wszystko?

– W zasadzie tak. – Marta rozłożyła ręce. – Ale to już i tak dużo! Przynajmniej wiadomo, że w ogóle istniał. I daty się mniej więcej zgadzają. Z informacji wynika, że Baison tworzył na przełomie wieków. Dziwne tylko, że wymieniony jest jeden jedyny raz, około tysiąc dziewięćsetnego roku. Później jego nazwisko już się nie powtarza...

– Może umarł?

– Może... – Marta wzruszyła ramionami. – Wszystko jest możliwe. Chociaż brak wcześniejszych informacji o jego działalności artystycznej wskazywałby, moim zdaniem, raczej na fakt, że był młody. I jeszcze jedno mnie w tym wszystkim intryguje... Baison najwyraźniej tworzył w Tokio, bo tam, w stolicy, mieściło się wydawnictwo. Co wobec tego na jego drzeworycie oznacza napis: Jokohama?

Emil zapalił kolejnego papierosa.

– Może się tam później przeniósł? To mogłaby też być odpowiedź na twoje wcześniejsze pytanie...

– Jednak w źródłach z Jokohamy nie ma wzmianki o takim malarzu. Sprawdziłam. A skoro związany był z Hasegawą, to musieliby go gdzieś odnotować! To wydawnictwo nie zatrudniało byle kogo. Wygląda na to, że nagle przestał tworzyć. Z drugiej strony, dziwne, bo... Jokohama, jak już mówiłam, to był port. Około tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku otwarto go dla handlu z zagranicą i zaraz potem ogłoszono portem otwartym dla obcych jednostek. Wkrótce oddano do użytku pierwszą w Japonii linię kolejową łączącą Jokohamę z Tokio. Miasto szybko się rozbudowało, z małej rybackiej wioski w ciągu kilku, kilkunastu lat przeobraziło się w nowoczesną metropolię. A to mi się ładnie łączy z tym oficerem gdańskiej marynarki, tym od Zagórnych...

Emil ziewnął.

– Nudzę cię? – zirytowała się Marta.

– Przepraszam – wytłumaczył się zaraz. – Absolutnie mnie to nie nudzi, wręcz przeciwnie, tylko po prostu się nie wyspałem! Chyba potrzebuję drugiej kawy. Podziwiam cię, że dajesz tak radę od rana, skoro położyliśmy się po trzeciej... Myślę, że nie ma co spekulować; może wkrótce znajdziemy coś więcej i sprawa pana Baisona sama się wyjaśni. Gorzej, że nadal nie widać żadnego związku z tymi morderstwami...

Marta zastanowiła się.

– Ten dokument dotyczy jakiejś poważnej transakcji – powiedziała po chwili namysłu.
– Z tysiąc dziewięćset piątego roku, o ile dobrze odczytano datę. A to epoka rozwoju technicznego i gospodarczego, przemysłu i handlu na wielką skalę. Zbrojeń! Trwała wtedy wojna rosyjsko-japońska...

– Wiem – wtrącił Emil. – Właśnie nad nią teraz siedzę. Też mi przyszło do głowy, że to może mieć coś wspólnego z tą wojną. Ta rodzinna legenda Zagórnych – o szkatułce i powiązanych z Krigsmarine osobach, które dopytywały się o nią – nie daje mi spokoju. Wiesz, skoro wojna, to i handel bronią, lewe interesy, szpiegostwo...

– I ciężka forsa – dodała Marta znacząco. – A jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to zwykle chodzi o pieniądze.

– Tyle, że już chyba nieco przeterminowane? – zauważył sceptycznie.

– Nie przejmuj się tym na zapas. – Marta wstała od komputera, przeciągając się z westchnieniem ulgi. – Dobra, zróbmy sobie teraz porządne śniadanie, a potem ty siadaj do tej wojny, a ja dalej spróbuję tropić Baisona... Aha, i wypytaj Zembrę, czy nie mają czegoś nowego!

– Czyżbyś miała na myśli nowego trupa? – wyrwało mu się.

Jednak Marta znikła już w przedpokoju, więc na jego szczęście nie dosłyszała tego błyskotliwego dowcipu.

Wojna rosyjsko-japońska rozpoczęła się w 1904 roku z przyczyn ekonomicznych, a dokładniej z powodu apetytów Rosji na ulokowanie swoich interesów w Korei oraz Mandżurii. Niestety, poważnie kolidowały one z interesami Japonii, która od czasu zwycięskiej dla siebie wojny z Chinami w latach 1894-95 zapewniła tam sobie wpływy. Tymczasem już w 1896 roku Rosja otrzymała od Chin koncesję na budowę kolei transsyberyjskiej, przebiegającej przez tereny Mandżurii. W 1898 roku wydzierżawiła Półwysep Liaotuiński z twierdzą Port Artur i uzyskała koncesję na eksploatację zasobów leśnych Korei, wprowadzając tam następnie swoje wojska.

Japonia zaproponowała wówczas podział stref wpływów na Dalekim Wschodzie, zgodnie z którym Korea pozostawałaby pod kontrolą japońską, a Mandżuria – rosyjską. Rosja jednak – ufna w swoją potęgę – propozycję odrzuciła. Doprowadziło to do zerwania stosunków dyplomatycznych przez Japonię i ataku na bazę rosyjską w Port Artur. Zaledwie dwa dni później, 11 lutego 1904 roku, w dniu tradycyjnej rocznicy założenia Cesarstwa

Japonii, władca tego kraju oficjalnie wypowiedział Rosji wojnę.

Początkowo krok ten wydawał się szaleństwem. W zwycięstwo Japonii wierzyła jedynie sprzymierzona z nią Wielka Brytania. Francja zachowała neutralność, a z kolei Niemcom bardzo odpowiadało zaangażowanie się Rosji na wschodnim froncie. Sama Rosja natomiast wyraźnie przeceniła swoje siły. Car Mikołaj obawiał się wycofać wojska z zachodniej granicy, od strony Niemiec, gdyż mogłoby to zagrażać bezpieczeństwu Rosji. Konflikt w Mandżurii potraktował tymczasem lekceważąco, wyobrażając sobie ewentualną wojnę z Japonią jako zwykłą potyczkę, której wynik był z góry przesądzony. W rezultacie nowoczesna flota wojenna Japonii miała znaczną przewagę nad flotą rosyjską. Rosjanie dysponowali też w Azji skromnymi siłami lądowymi – a transport posiłków możliwy był jedynie powolną, liczącą tysiące kilometrów i do tego nieukończoną koleją transsyberyjską – podczas gdy Japończycy zdolni byli przetrześć błyskawicznie do miliona doskonale uzbrojonych żołnierzy piechoty.

Wypadki potoczyły się szybko, a działania zbrojne objęły przede wszystkim obszary Półwyspu Koreańskiego, Morze Żółte oraz Mandżurię. Beztroska Rosjan przesądziła o losach wojny. Wydarzeniami decydującymi o zwycięstwie Japonii stał się ciąg klęsk rosyjskich, jakie nastąpiły pomiędzy styczniem a majem 1905 roku; poddanie się garnizonu rosyjskiego w Port Artur, przegrana bitwa pod Mukdenem oraz spektakularna klęska carskiej floty bałtyckiej koło wyspy Cuszima.

Wojna mogłaby ciągnąć się jeszcze długo, gdyby nie kłopoty wewnętrzne obu państw: kiepski stan japońskiej gospodarki zrujnowanej wydatkami wojennymi oraz narastające ruchy rewolucyjne w Rosji. Swoje pośrednictwo zaoferowały wówczas Stany Zjednoczone. Dzięki ich mediacji we wrześniu 1905 roku zawarto pokój w Portsmouth, na mocy którego Japonia przejęła Półwysep Liaotuiński z Port Artur, połowę wyspy Sachalin, prawa do kolei mandżurskiej, protektorat nad Koreą oraz prawo do połowu ryb na dalekowschodnich wodach terytorialnych Rosji.

W wyniku wojny Japonia zyskała rangę światowego mocarstwa, w Rosji natomiast klęska stała się bezpośrednią przyczyną wybuchu rewolucji 1905-1907.

Mimo to Japonia wyszła z wojny osłabiona gospodarczo. Trzeba było zapobiec recesji, zahamować groźbę inflacji i podjąć walkę ze spekulantami. Jak zwykle w podobnej sytuacji doszło do zawirowań politycznych w kraju. Dość szybko jednak doprowadzono do opanowania sytuacji, a w konsekwencji do odrodzenia japońskiej gospodarki. Sprzyjał temu narodowy entuzjazm. Japończycy mieli zresztą słuszne powody do euforii: pozycja ich państwa jako pierwszego mocarstwa Azji została ugruntowana, a jej przyszła droga najbardziej rozwiniętego narodu azjatyckiego – przesądzona.

Emil oderwał się od lektury, by zapalić papierosa i w myślach uporządkować przeczytane informacje. Poczł się dziwnie, przenosząc się prosto ze wzburzonych wojną azjatyckich mórz do cichego mieszkanka na obrzeżach Oliwy. Zamyślił się...

Po chwili zapisał na kartce papieru hasła:

wojna rosyjsko-japońska

biznes

recesja

dyplomacja

marynarki obcych państw

oficer Kriegsmarine

gejsza

szkatulka

dokument

transakcja

drzeworyty

Jokohama.

Ujrzał jakby nikły przebłysk światła w ciemnościach. Było to bardziej przeczucie niż namacalna rzeczywistość, ale zawsze... To tam, w Jokohamie, łączyły się oba wątki historyczne – wątek polityczny i tajemnica drzeworytów, które trafiły do Gdańska za sprawą oficera marynarki. Tam też stacjonowały cudzoziemskie okręty, a nazwę Jokohama z jakichś powodów nieznanego artysta umieścił na swoich grafikach. Mimo że według wszelkiego prawdopodobieństwa tworzył w Tokio...

Rozdział 18

Tymczasem seria zagadkowych, złowróżbnych i dość niepokojących wydarzeń zakłóciła codzienność Emila i Marty.

Pewnego wieczoru Marta wracała do domu kolejką. Jej urlop już się niestety skończył. Zwykle Emil odbierał ją z muzeum, tego dnia jednak Marta nie wiedziała, kiedy skończy pracę, więc odwiodła go od tego pomysłu. Zwłaszcza, że musiał jeszcze pokazać się w redakcji *Rozgwiadzy*, z którą współpracował od ponad roku, a ostatnio mocno ją zaniedbał. By załatać dziurę, napisał dla nich szybko artykuł o wojnie rosyjsko-japońskiej oraz o udziale i roli gdańskiej Kriegsmarine w transformacji Japonii u progu dwudziestego wieku. Tekst spotkał się z dużym zainteresowaniem czytelników i teraz redaktor naczelny pisma, Szymon Mader, domagał się od Emila kontynuacji tematu. Emil pojechał więc uzgodnić szczegóły i obiecał napisanie przystępnego artykułu na temat drzeworytów japońskich.

Mniej więcej w tym samym czasie Marta długo czekała na peronie w tłumie zniecierpliwionych pasażerów. Pogoda była fatalna; wiał silny wiatr i zaciął deszcz ze śniegiem. Wreszcie na horyzoncie ukazała się nadjeżdżająca kolejka. Podniecony tłum zafalował i poniósł Martę ku torom. Gdy maszyna zbliżała się, Marta wyraźnie poczuła, jak czyjaś ręka schwyciła ją mocno za kołnierz płaszcza i gwałtownie pchnęła z całej siły do przodu... Kobieta straciła równowagę, ślizgając się na zabłoconym peronie, i tylko cudem uniknęła tragedii. W ostatniej chwili podtrzymał ją jakiś starszy mężczyzna.

– Oszalała pani?! – huknął, patrząc na nią z niesmakiem.

– Przepraszam, ale... – wyjąkała w oszołomieniu i urwała, rozglądając się z przerażeniem wśród ludzkiej ciżby napierającej dziko na wagony. Obojętne, drapieżne, zdeterminowane twarze wpatrzone były wyłącznie w rozsuwające się właśnie drzwi kolejki, niczym w zaczarowane wrota Sezamu. Nikt, kompletnie nikt, nie zwracał na nią uwagi...

– Dziękuję – zwróciła się do swego wybawcy, ten jednak odwrócił się już do niej plecami, forsując sobie ramionami przejście do ciepłego przedziału.

Stała dalej jak sparaliżowana na peronie, gdy kolejka ruszyła z wysiłkiem i po chwili zniknęła w deszczowo-śnieżnej zadymce. Peron opustoszał. Szok mijał powoli, jednak dopiero powracający strach pomógł jej otrząsnąć się. W narastającej panice opuściła pusty

peron i biegiem pomknęła prosto na postój taksówek.

– Nie, nie, nie! Na pewno mi się nie wydawało! – zapewniała gorąco Emila, który starał się ją uspokoić przy pomocy kubka gorącej herbaty z rumem. – Nie jestem idiotką, wiem, co mówię! Złapał mnie za kołnierz i popchnął prosto na tory!

– Mówiłaś, że był tam tłum – perswadował bez przekonania. – Kiedy kolejka wreszcie przyjechała, ludzi ogarnął amok. Ktoś mógł cię popchnąć przypadkiem...

Marta małymi łykami piła parujący napój. Jej dłonie nadal drżały.

– To nie był przypadek! – Odstawiła kubek. – Wcześniej i później ludzie pchali mnie na wszystkie strony, ale to nie było to samo. Jestem tego pewna! Dlaczego mi, do cholery, nie wierzysz?!

Emil nerwowo zapalił papierosa.

– Przepraszam – odparł pokornie. – Chyba po prostu wolałbym w to nie wierzyć.

– Ale musisz. Niech to szlag trafi! Teraz będę się bała własnego cienia! Nawet kiedy jechałam tą taksówką, to siedziałam tam jak na szpilkach, z pilnikiem do paznokci w kieszeni, na wypadek, gdyby taksówkarz chciał mnie zaatakować! Jakby co, przysięgam, wbiłabym mu ten pilnik w oko!

– W takim razie sama już nigdzie nie będziesz jeździła. – Emil sięgnął po komórkę. – Dzwonię do Zebry. Trzeba mu to zgłosić...

– Zostaw! – zaoponowała. – To bez sensu. Pomyśli tak jak ty, że zwariowałam. Niczego i tak nie udowodnię. I co on na to poradzi, da mi obstawę? Bzdura. Po prostu będę uważać, nie ma innej rady.

– Ja będę twoją obstawą – Emil próbował rozładować sytuację przynajmniej szczyptą humoru. – I wcale nie uważam, że zwariowałaś. A poza tym, czy nie mogłabyś jeszcze postarać się choć o kilka dni wolnego?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Spróbuję. Ale kto to mógł być, na litość boską?! Dlaczego?! Ktoś chciał mnie zabić, czy tylko nastraszyć? Myślisz, że to może mieć jakiś związek z...

– Oby nie – odparł, ale w duchu dopowiedział sobie ciąg dalszy: oby nie, bo wtedy ten ktoś raczej nie zrezygnuje i będzie próbował dalej. Do skutku.

Wolał nie wspominać o tym Marcie.

Dwa dni później Emil wybierał się do Gdyni, by jeszcze raz spotkać się z tym samym kolekcjonerem, znajomym Marty. Chciał wypytać go dokładniej o napis Jokohama” umieszczony na drzeworycie. Marcie udało się wziąć parę dni wolnego, nie musiała zatem nigdzie wychodzić i nadal siedziała przy komputerze, z Bolerem w charakterze asystenta.

Emil jak zwykle wybrał obwodnicę trójmiejską, dojechał więc do Gdyni stosunkowo szybko i bezboleśnie, unikając korków i świateł, normalnych o tej porze w mieście. Kolekcjoner – pan Stanisław – wyjaśnił mu, że napis Jokohama”, owszem, mógłby teoretycznie wskazywać na miejsce powstania drzeworytów, ale artyści japońscy niezbyt często zamieszczali tego typu dane na swoich pracach. Nie była to powszechna praktyka. Tym bardziej, że napis wygląda, jakby został dodany później, jest mniej staranny, mniej kaligraficzny – jak gdyby ktoś umieścił go tam w pośpiechu, na marginesie, nie w tym miejscu, gdzie zazwyczaj umieszczano tego typu informacje. Pan Stanisław słyszał oczywiście o wydawnictwie Hasegawa. Był zdania, że artyści, pracujący dla tak ważnego wydawcy, raczej działali w Tokio.

– Wie pan, w tamtych czasach nie było Internetu – uśmiechnął się kolekcjoner. – A nawet zwykle podróże z miasta do miasta, poczta, i wszystko inne było jeszcze dość powolne. Mimo że Jokohama znajduje się stosunkowo niedaleko Tokio i oba miasta łączyła już wówczas linia kolejowa, to taka podróż i tak stanowiła całodzienną wyprawę. Hasegawa miał na miejscu doskonałych twórców. Mógł przebierać. Po co, na zdrowy rozum, miałby liczyć na malarzy z prowincji i utrudniać sobie życie?

Brzmiało to sensownie. Emil podziękował i pożegnał się.

Korzystając z okazji, zrobił na Świętojańskiej jeszcze trochę zakupów, o które prosiła go Marta. Postanowił wracać, po drodze odwiedzając redakcję. Z tego powodu zdecydował się na trasę przez miasto. Za Gdynią – korzystając ochoczo ze stosunkowo pustej drogi – przyspieszył, gdyż zdał sobie sprawę, że pora zrobiła się późna i w redakcji już niebawem może nikogo nie zastać, a zależało mu, by jeszcze dzisiaj podrzucić Szymonowi obiecane materiały.

Jakby na złość zaczął padać paskudny, marznący deszcz. Emil był już mniej więcej na wysokości Sopotu, gdy nagle zarzuciło go na zakręcie i wpadł w poślizg. I wtedy poczuł, że coś jest nie tak. Nie mógł zahamować! Kompletnie nie wyczuwał hamulca!

– Chryste! – syknął pod nosem, oczami wyobraźni widząc już swój koniec oraz wszystkie jego tragiczne następstwa.

Rozpaczliwie, ale bezskutecznie starając się manewrować na mokrym asfalcie, wypadł w końcu z drogi i z impetem wyrznął w przydrożną latarnię.

Chyba cudem nic się nie stało ani jemu, ani nikomu innemu na drodze.

– *Sorry*, ale muszę cię zmartwić – oznajmił Zebra, częstując go słodką kawą z termosu, przygotowaną zapewne przez troskliwą małżonkę. – Sprawa jest jasna jak słońce. Pomijając oczywiście fakt, że jechałeś o wiele za szybko...

– Zapłacę mandat – przerwał mu Emil. – Wiesz, że nie będę się migał!

– Czekaj... To nie takie proste! Mandat, proszę ja ciebie, to pewnie i tak zapłacisz, to już sprawa drogówki. Ale jest coś jeszcze. Moi ludzie znaleźli w twoim wozie dokładnie to samo co w aucie Zagórnej i jej męża. Ktoś przeciął gumowy przewód za przednim kołem i uszkodził ci układ hamulcowy...

– Co?! – Emil uniósł się z krzesła. – Co ty pieprzysz, stary?!

– To, co słyszysz. Ktoś uszkodził hamulce w tym twoim rzęchu. Najwyraźniej zrobił to celowo. Gdybyś wracał obwodnicą, jak wcześniej zamierzałeś, to pewnie byłbyś już trupem. Znam cię, potrafisz jeździć jak wariat. Dobra, zamknij się! – Uniósł rękę, gdy Emil znowu zamierzał coś wtrącić. – Zabezpieczamy twój wóz. Nawet lepiej by było, gdybyś się teraz za bardzo nie rozjeżdżał. Bierz taksówkę, wracaj do domu, najlepiej z niego nie wychodź i, do jasnej cholery, uważaj na siebie!

Emil, nie pytając o pozwolenie, zapalił papierosa.

– Muszę ci coś powiedzieć – stwierdził ponuro. – Martę ktoś usiłował niedawno wepchnąć pod pociąg...

Tym razem z krzesła poderwał się Zebra, a jego ogniście ruda strzecha zrobiła się jakby jeszcze bardziej czerwona.

– Co?! Kiedy?!

– Przedwczoraj.

– I dopiero teraz mi o tym gadasz, kretynie?!

Emil nie patrząc mu w oczy, puścił w sufit parę kółek dymu.

– Marta nie chciała tego zgłaszać – bąknął wreszcie. – No i nie byliśmy pewni... To znaczy, ja nie byłem pewny, czy tylko jej się nie wydawało.

– Ty palancie... – wysyczał podkomisarz. – I to mówi były glina? Żadnych tajemnic miało nie być, prawda?! Gdybym ja naraził moją Majeczkę na niebezpieczeństwo, to naplułbym sobie w mordę! No, ale wy oboje jesteście szurnięci. Dobrali się jak w korcu maku... Zasuwasz do niej natychmiast i nie spuszczaście się nawzajem z oka! Jasne? Wpadnę do was jutro po pracy. Na kolację. Pogadamy sobie jeszcze...

Rozdział 19

Widział ją wyraźnie...

Miała na sobie turkusowe kimono, a w dłoni lekką papierową parasolkę i stała odwrócona tyłem do niego na szczycie jakiejś skały, pod którą rozciągała się tafla wody częściowo skrytej we mgle. Mgła podchodziła coraz wyżej i wyżej. Emil bardzo chciał zobaczyć jej twarz, ale bał się odezwać, gdyż skała była wąska, a ona balansowała na samym jej skraju. Dlatego tkwił jak skamieniały kilka kroków za jej plecami i starał się uspokoić bicie serca. W pewnym momencie gejsza odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego. Rozpoznał ją od razu. Tak jak się domyślał, była to dziewczyna z drzeworytów. Jednak nagle coś się zmieniło. Mgła otuliła ich oboje i poprzez jej opary ujrzał, że nie jest to już ta sama twarz urodziwej Japonki, lecz Marta, jej uśmiech, oczy, jej czoło i kasztanowe włosy, zebrane w węzeł na karku. Zanim zdążył zareagować, zrobiła krok do przodu, w mgłę nad przepaścią...

– Marta! Nie! – zawołał z przerażeniem, lecz z jego gardła wydobył się tylko piskliwy charkot.

Tymczasem ona sunęła w powietrzu, spowita mgłą, z parasolką rozpostartą tuż nad głową. Nie potrafiłby tego racjonalnie wytłumaczyć, ale wydawało mu się to jeszcze straszniejsze, niż gdyby runęła do wody. Oddalała się od niego, coraz mniej widoczna, aż wreszcie dostrzegał już tylko nikły zarys sylwetki, tylko cień...

– Marta! Marta! Maaarta! – usiłował wydobyć z siebie głos, by zawrócić ją z powrotem ku litej skale, dopóki całkiem nie zniknie mu z oczu gdzieś po drugiej stronie mgły...

– Marta!!!

... aż poczuł, że sam spada jak kamień prosto w przepaść, wciąż wykrzykując zachrypniętym głosem jej imię.

– Jezus Maria! Co się stało?! – usłyszał raptem jak z tunelu. Nagle oślepiło go światło i poczuł szarpnięcie za ramię. Marta pochylała się nad nim przerażona. Zapaliła lampkę przy łóżku i potrząsała nim z całej siły.

– Obudź się! – powtarzała. – Wszystko w porządku, to tylko sen...

Powoli otrząsnął się z koszmaru.

– Nie jestem taki pewien... – mruknął, szukając papierosów.

– Czekaj – powstrzymała go. – Nie w łóżku. Wstańmy na chwilę, zaparzę herbatę, zapalimy i wszystko mi opowiesz, dobrze? Bo teraz i tak raczej nie zaśniemy.

– Dobra...

– Więc co ci się śniło? – zapytała, gdy siedzieli nad kubkami z herbatą, przy kuchennym blacie, na którym ułożył się także Bolero.

– Już nie pamiętam – skłamał.

– Nic?

– Śniło mi się, że byłaś gejszą – próbował obrócić wszystko w żart.

– I tylko dlatego tak wrzeszczałeś? – Pokręciła głową, uśmiechając się kącikami warg.

– Tłumaczyłam ci już, że to nic strasznego! Gdybym żyła w tamtych czasach w Japonii, to na pewno byłabym gejszą.

Strzepnął popiół do popielniczki.

– Chyba te ostatnie wypadki trochę mnie rozstroiły – odezwał się po chwili milczenia, usiłując przegonić dziwaczne obrazy ze swojej głowy.

Marta spoważniała.

– Nie damy się – oznajmiła stanowczym tonem. – A swoją drogą te... wypadki świadczą moim zdaniem o jednym...

– O czym?

– O tym, że jesteśmy na właściwej drodze. Nie sądzisz?

Zgasił papierosa.

– I o tym, że ktoś nas przez cały czas obserwuje – odparł ponuro. – Może niekoniecznie dosłownie, ale...

– Teraz też? – Objęła go mocno w pasie i pocałowała w usta.

– Kto wie?

– No to wracajmy do łóżka – szepnęła z uśmiechem. – Niech ma przynajmniej na co popatrzeć...

Kolacja nie była wystawna. Marta nie miała teraz głowy do przygotowywania cudów, a Emil nigdy nie błyszczał talentem kulinarnym. Zebra musiał się więc zadowolić kanapkami i prostą sałatką jarzynową. Na szczęście nie narzekał.

– Cały czas się zastanawiam – stwierdził między jednym kęsem a drugim – dlaczego

akurat teraz ktoś wam chce zaszkodzić. Najwyraźniej uparli się, żeby was przynajmniej zastraszyć.

– Co tylko dowodzi tego, że nasza hipoteza historyczna jest słuszna – wtrąciła Marta stanowczo.

– Możliwe – odparł, dokładając sobie sałatki. – Ale skąd wiedzą, że się nią w ogóle zajmujecie?

Emil wzruszył ramionami.

– Wiele osób wiedziało, że szperamy w historii drzeworytów. Począwszy od Zagórnej, a skończywszy na kolekcjonerach, którzy mogli się tego domyślić, o ile byliby w jakiś sposób zorientowani w sytuacji.

– Będziemy penetrować to środowisko – orzekł podkomisarz. – Wy tymczasem z nikim, przynajmniej na razie, na ten temat nie gadajcie i uważajcie na każdy swój krok. Nawet gdyby miało to oznaczać zawieszenie waszego śledztwa. Nie chcę mieć was na sumieniu. Ochrony wam nie zapewnię, nie posiadam takich możliwości. Miejmy nadzieję, że podobne incydenty już się nie powtórzą...

– O Boże, jestem padnięta! – westchnęła Marta, z ulgą otulając się kołdrą. – Wiesz co, zostaw okno uchylone, strasznie tu śmierdzi papierosami...

Rzeczywiście, do sypialni wchodziło się wprost z salonu, gdzie tego wieczoru paliły jednocześnie trzy osoby, a drzwi przez cały czas pozostawały uchylone.

– Nie zamarnujemy? – zawahał się Emil.

– Bez przesady, nie jest tak zimno, a niektórzy nawet w ciężkie mrozy sypiają przy otwartym oknie!

– A Bolero nie ucieknie?

– Coś ty! – parsknęła. – Tego piecucha nawet siłą nie wygoniłbyś na dwór, on przecież w ogóle nie wychodzi! Co najwyżej posiedzi sobie na parapecie i pooddycha świeżym powietrzem, dobrze mu to zrobi...

Z kamiennego snu wyrwały go jakieś dzikie wrzaski. Pomyślał półprzytomnie, że tylko śni, i odwrócił się na drugi bok, lecz wówczas wrzaski przybrały jeszcze na sile. Zanim zdążył się ocknąć, poczuł pacnięcie w policzek, jedno, potem drugie.

– Co jest? – wymruczał, z trudem usiłując otworzyć zaciśnięte powieki.

Rozległ się głośny łomot i kolejny wrzask. I jeszcze jakieś inne dziwne dźwięki, jakby huk, trzaski, skwierczenie... Gdy spróbował się unieść, poczuł pulsujący ból w skroniach.

Głowa ciążyła mu niczym kula armatnia. Wreszcie otworzył oczy – i zdębiał...

To nie był sen! Zobaczył ogień. Płomienie opanowały część dywanu, lizały meble, dochodziły już w pobliże łóżka. W pokoiku było pełno dymu. Nad dziennikarzem siedział Bolero i rozpaczliwie zawodził wysokim tonem, wpatrując się z napięciem w jego twarz. Gdy zobaczył, że Emil nie śpi, wskoczył na Martę, która nie ruszała się, i swoim ruchliwym szorstkim języczkiem począł lizać jej zaciśnięte mocno powieki. Obok, na podłodze, leżał przewrócony wieszak oraz dwa krzesła – widocznie oszalały ze strachu kocur czynił wszystko, co w jego mocy, byle tylko zbudzić swoich państwa.

Emil nie wiedział, czego się najpierw chwycić. Szarpnął Martę za ramię. Bez skutku. Zerwał z łóżka koc, którym się dodatkowo nakryli, i rzucił go na płomienie, by je zdusić, jednak paliło się już zbyt mocno.

– Marto! – krzyknął, dławiąc się dymem. – Marto, obudź się!

Przypomniał sobie, że w kuchni jest gaśnica. Pobiegł po nią, kopnięciem otwierając drzwi sypialni, podczas gdy Bolero nadal usiłował dobudzić nieruchomą Martę.

Wracając, modlił się w duchu, by gaśnica zadziałała. Była stara, Marta miała ją od niepamiętnych czasów. Gdy wpadł z powrotem do sypialni, zobaczył kota z nastroszoną sierścią i stojącego na dwóch tylnych łapach, a przednią, rozcapierzoną jak wachlarz, walącego wściekle w języki ognia, które sunęły już po skraju łóżka. Parskał przy tym, syczał i warczał, jakby pragnął wystraszyć wroga lub dodać sobie odwagi.

Marta cicho zajęczała przez sen. Emil rzucił gaśnicę i, przeskakując płomienie, dopadł łóżka, porwał ją na ręce i wyniósł do salonu. Bolero pobiegł za nimi, lawirując między płonącymi płaszczyznami. Mężczyzna ponownie chwycił gaśnicę...

Zadziałała. Gdy strumienie piany obfitym białym kożuchem pokrywały pokój, dusząc rozszalałe języki ognia, poczuł, że jego nagle zwiotczałe mięśnie zaczynają drżeć niby galareta. Z oczu, podrażnionych dymem, ciurkiem płynęły łzy. Dopadł okien i szarpnięciem otworzył je na oścież. Na zewnątrz panował już spokojny brzask, nikt niczego nie zauważył. Cisza sennie otulała opustoszałe uliczki, siąpiła drobna mżawka... Marta poruszyła się i mruknęła coś zachrypniętym głosem.

– Kochanie, ocknij się – poprosił, przyklękając przy niej.

Otworzyła oczy, błędząc wzrokiem w zdumieniu po jego twarzy. Bolero mruczał na jej piersi głośno, uspokajająco.

– Co się stało? – zapytała słabo.

– Już wszystko w porządku – odparł. – Mieliśmy mały pożar...

Gdy policjanci i strażacy uwijali się w ich sypialni, Marta siedziała skulona i wczepiwszy się w ramię Emila, przytulała do siebie Bolera. Płakała.

– Mógł uciec przez okno... – powtarzała, łkając. – Mógł się ratować. Nie zrobił tego, mój biedny, kochany!

– Uspokój się, przecież nic mu nie jest – uspokajał ją Emil. – Na szczęście nikomu nie się nie stało...

– Ale ja nic nie słyszałam! Wzięłam tabletkę nasenną... Boże! Gdyby nie ty...

– Gdyby nie Bolero – przyznał sprawiedliwie. – Uratował nam obojgu tyłki...

– Ale co się właściwie stało?!...

Podszedł do nich Zebra.

– Nic wam nie jest? – zapytał w pośpiechu. – Zaraz obejrzy was lekarz. Mogliście się zaczadzić. W zasadzie powinienem wysłać was do szpitala...

– Daj spokój, czujemy się już dobrze – przerwał mu Emil. – Lepiej powiedz, co to było! Wiecie już? Przecież nie my zaproszyliśmy ogień!

Zebra potarł dłonią czubek nosa.

– Wygląda na to, że ktoś wrzucił wam przez okno płonący lont – powiedział ponuro. – Nasączony naftą. I, zważywszy na okoliczności, raczej nie był to przypadkowy piroman... Macie tu niski parter, łatwo podejść, bo nie ma ogrodzenia, a od strony ulicy dom skutecznie osłaniają gęsto zasadzone tuje. Być może wcześniej was obserwował. No i skorzystał z tego, że zostawiliście otwarte okno.

– Ktoś się na nas uwziął – powiedziała Marta.

– Najwyraźniej – przytaknął niechętnie podkomisarz. – Komuś chyba zależało za skórę. Teraz powinien odpuścić, przynajmniej na jakiś czas, bo wie, że wkroczyła w to policja... Słyszałem, że to Bolero wszczął alarm? Należy się chłopakowi medal. Nie pierwszy raz udowodnił, że prawdziwy z niego bohater! My z Majką też chyba zdecydujemy się na adopcję jakiegoś kota. A propos, czy jesteście już gotowi złożyć zeznania?

Niestety, nie był to jeszcze koniec pasma dziwnych zdarzeń...

Minęło kilka dni, podczas których Marta z Emilem liczyli straty i doprowadzali do ładu mieszkanie. Wszystko niby wracało powoli do normy, postanowili więc przestać rozpamiętywać niedoszłe nieszczęścia i na powrót zająć się pracą. Jednak, gdy tylko Emil

włączył swój komputer, okazało się, że coś jest nie tak. Program antywirusowy jakby oszalał, wyrzucał informacje o coraz to nowych typach wirusów, pliki nie chciały się otwierać, aż w końcu cały system zwyczajnie się „zawiesił”. Emil poprosił zaprzyjaźnionego informatyka policyjnego, by sprawdził, co się dzieje. Diagnoza nie była pocieszająca – do komputera prawdopodobnie włamał się hacker lub hackerzy. O mały włos nie zniszczyli mu twardego dysku. Szczęśliwym trafem udało się w końcu odzyskać większość danych i skopiować na płytki zawartość najważniejszych plików. Trzeba też było całkowicie przeinstalować komputer, co zajęło mnóstwo czasu i nerwów. Po ponownym zabezpieczeniu sprzętu i zmianie wszystkich haseł, urządzenie zaczęło pracować normalnie. Pozostała jednak nieufność oraz kolejne pytanie bez odpowiedzi. Trudno było stwierdzić na sto procent, że zainfekowanie systemu nastąpiło przypadkiem.

Rozdział 20

– Słuchaj! A wiesz, kto dzwonił dziś rano?! – przypomniała sobie Marta, gdy kolejny raz stanęli na światłach. Emil jak zwykle odebrał ją z pracy. Po ostatnich przeżyciach starali się przestrzegać wszelkich zasad bezpieczeństwa.

– No?

– Kleczko! Zapomniałam ci wcześniej powiedzieć...

– Kleczko? – skrzywił się, ruszając powoli na zielonym. – A ten czego chciał?!

Kleczko był redaktorem naczelnym *Życia Wybrzeża*, jego poprzednim szefem i osobista płachtą na byka. Nie odzywali się do siebie, odkąd Emil zrezygnował z burzliwej współpracy, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

– Nie mam pojęcia – wzruszyła ramionami Marta. – Pytałam, ale zbył mnie jakimiś bajeczkami. Mówił, że chciałby się spotkać, pogadać o dawnych czasach, odnowić znajomość i takie tam... Kazał cię serdecznie pozdrowić w nadziei, że może kiedyś zechcesz coś jeszcze dla niego napisać.

Emil machnął ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy.

– Niech się ode mnie odpieprzy. Nie mam ochoty ani odnawiać z nim znajomości, ani czegokolwiek dla niego pisać – odparł.

Wlekli się w długim sznurze aut.

– A co w pracy? – zapytał, zerkając na Martę spod oka. Sprawiała wrażenie bardzo ożywionej.

– Spokój. Ale wiesz, załapałam chyba bardzo fajny kontakt! Z pewnym japońskim naukowcem z Kioto. Nazywa się uroczo: profesor Akira Yamamoto. Po japońsku *sensei* Yamamoto... *Sensei* to tytuł grzecznościowy, coś jak „mistrz”. Brzmi super, nie? Jest historykiem sztuki. Dostałam na niego namiar od tej koleżanki z Warszawy i napisałam maila.

– Chyba nie po japońsku?! – przerwał jej z komicznym przerażeniem.

Spojrzała na niego z politowaniem.

– No, wyobraź sobie, że nie. – Uśmiechnęła się. – To wykształcony facet! Umie po angielsku. Opisałam mu nasze drzeworyty i wszystko, co o nich wiemy, dołączyłam zdjęcia i

poprosiłam o pomoc. Rozumiesz, taki *sensei* ma dostęp do wszelkich źródeł, archiwów, bibliotek, tam, na miejscu. Jest u siebie i to jego branża. Poza tym doskonale zna język. Pomyślałam sobie, że może poszukiwania od strony japońskiej wniosą coś nowego.

– Nie, no słusznie... – przytaknął ochoczo Emil. – Doskonały pomysł! O ile coś z tego wyjdzie.

– Wyjdzie! Od razu mi odpisał. Bardzo grzecznie i sympatycznie. Sprawa go zainteresowała. Obiecał, że poszpera i wkrótce ma się do mnie odezwać.

– Ale on nie jest młody i przystojny, ten samuraj?

– *Sensei*, nie samuraj! – zachichotała. – Nie wiem. Raczej jest w średnim wieku, tak zresztą jak ty, luby, choć domyślam się, że ci to nie w smak. I naprawdę nie mam bladego pojęcia, jak wygląda. Nie to mi w głowie! Najważniejsze, żeby był kompetentny. I że jest naprawdę chętny do pomocy!

– No to fajnie...

– Prawda? – Marta uśmiechnęła się z dumą. – Czemu tu skręcasz?

Emil, zamiast jechać Grunwaldzką prosto do Oliwy, skręcił na wiadukt w kierunku Zaspy.

– Muszę wpaść na chwilę do Szymona i Ewy – wyjaśnił. – To tylko moment, chcę im oddać umowę do ręki i jedziemy prosto do domu.

– To oni teraz mieszkają razem?

– A nie mówiłem ci o tym? Już od kilku miesięcy. Są parą!

– To miłe. Ale czy nie możesz tej umowy dać przy okazji sekretarce? Musisz osobiście? – marudziła Marta. – Bolero czeka głodny!

– To zajmie najwyżej parę minut – obiecał. – Nawet nie będę tam wchodził, tylko podam im przy drzwiach. W redakcji jest nowa sekretarka, trochę mało rozgarnięta. Wolę nie ryzykować, że gdzieś mi to zapodzieje.

– Ok, trudno. Zaczekam w samochodzie.

– A zaraz potem... – rozmarzył się. – Święty spokój. Żadnej pracy. Kolacyjka, muzyczka, jakieś dobre winko... I tak dalej... Co ty na to? Zrobimy sobie jeden normalny, ludzki wieczór? Ostrzegam, że jest to propozycja nie do odrzucenia!

– Jestem za! – Roześmiała się. – Intryguje mnie szczególnie to wielce obiecujące „i tak dalej”.

Rozdział 21

Następnego dnia – choć była sobota – oboje zabrali się ostro do roboty. Marta teoretycznie miała wolne i nie jechała do muzeum, musiała jednak skończyć jakieś pilne ekspertyzy, po czym zamierzała odkurzyć mieszkanie, a następnie już w spokoju kontynuować naukę japońskich znaków *kanji*. Emil z kolei dość niechętnie zasiadł do zredagowania tekstu Ewy, koleżanki z redakcji *Rozgwiadzy*. Poprzedniego dnia dziewczyna wręczyła mu swój najnowszy artykuł z prośbą o przejrzenie go i poprawienie stylu. Ewa nie była zawodową dziennikarką, na tym polu stawiała dopiero pierwsze kroki i wciąż jeszcze nie miała pewności, czy się do tego nadaje. Do tej pory, dopóki nie zatrudnili sekretarki, zajmowała się sprawami finansowymi i organizacyjnymi redakcji.

– Błagam cię, Emil, rzuć na to okiem! – przekonywała go, gdy dostrzegła jego mało entuzjastyczny wyraz twarzy. – Nie musisz nawet poprawiać, zerknij tylko i napisz mi potem, co o tym myślisz. Brakuje mi dystansu do tego, co piszę, i nie mam pojęcia, czy ten tekst ma w ogóle ręce i nogi!

– Szymon nie może ci tego sprawdzić? – zawahał się Emil.

– Szymon jest zarobiony, nie ma na nic czasu! No, proszę cię, Emilku... A temat powinien cię nawet zainteresować. Sam zobaczysz. To o tym Gniadym, wiesz...

– Tym słynnym prominencie?

– No. – Kiwnęła głową. – Wiesz, że facet pochodzi z Gdańska?

– Jasne, że wiem. Chłuba miasta! – Uśmiechnął się z powątpiewaniem, słysząc, że zdaniem Ewy temat mógłby go zainteresować. W obecnej sytuacji?! – Przeprowadziłaś z nim wywiad?

– Nie. – Ewa skrzywiła się lekko. – Miałam taki zamiar, ale oczywiście był dla mnie niedostępny. Podobno jest tak zajęty, że na nic nie ma czasu. Pewnie w szczególności dla takiej skromnej lokalnej gazetki jak nasza... A szkoda, bo ma zamiar kandydować w najbliższych wyborach prezydenckich, więc każda reklama powinna go w tej sytuacji interesować, tym bardziej w rodzinnym mieście. Ale może innym razem się uda? Na razie miałam tylko okazję porozmawiać z jego osobistym sekretarzem.

– No dobra – westchnął Emil. – Prześlij mi ten tekst mailem. Zajrzę do niego jutro, bo

dziś już nie będę miał czasu. Lecę, Marta czeka w samochodzie!

– Ojej, to nie mogliście wpaść na kawę?!

– Może kiedy indziej. Pa!

– To pozdrów ją przynajmniej ode mnie! – dorzuciła Ewa, wychylając się przez poręcz, kiedy Emil zbiegał pospiesznie po schodach. Pomachał jej tylko w odpowiedzi. Czas płynął, rozmowa przeciągnęła się, a Marta była niecierpliwa i z całego serca nie znosiła zbyt długiego wyczekiwania w wozie. Emil z kolei nie lubił zostawiać jej – szczególnie ostatnio – zbyt długo samej.

Tymczasem – wbrew oczekiwaniom – tekst Ewy rzeczywiście zainteresował Emila. Wymagał wprowadzić wielu poprawek, ale on skupiał się nie na formie a na treści.

– Marto, słuchaj! – Oderwał ją od komputera. – Przypadkiem znalazłem ciekawego człowieka. Facet może nam się przydać...

– No? – mruknęła Marta z roztargnieniem. – Kto taki?

– Jan Gniady...

– Ten ważniak?

– No właśnie. Ten sam. Znany biznesmen i polityk. Niezależny, wpływowy, o zdecydowanych, twardych i bardzo konserwatywnych poglądach oraz żelaznych zasadach moralnych. Niezlomny. Formalnie niezwiązany z żadnym ugrupowaniem, ale walczący o prawicowy elektorat. Mocno prawicowy, dodajmy, żeby nie było niedomówień. Gniady sam w sobie stanowi partię. Zgromadził wokół siebie coś w rodzaju „kółka modlitewnego”, które skupia jego najwierniejszych wyznawców. Pozakładał zresztą mnóstwo stowarzyszeń i fundacji, w tym także na rzecz Gdańska. To gwiazda obecnej sceny politycznej, jest szalenie modny w pewnych kręgach. Okres PRL-u spędził w Stanach, gdzie posiada spory majątek. Tam się zresztą urodził. Do kraju wrócił, a raczej przyjechał, w latach dziewięćdziesiątych. Podobno zamierza ubiegać się o prezydenta w zbliżających się wyborach. Fachowcy twierdzą, że ma duże szanse. Jego rodzina ze strony ojca to słynni gdańszczanie, i to, jak twierdzi sam Gniady, od wieków...

– Wiem, znam tę historię! – zainteresowała się Marta. – Polscy patrioci w mieście opanowanym przez Niemców, walka o prawa polskich gdańszczan, bohaterowie wojen światowych i tak dalej. W szkole o tym uczono! Osobiście, przyznam, mam raczej mieszane uczucia w stosunku do pana Jana Gniadego. Zdaje się, że w imię swoich niezłomnych zasad moralnych zniszczył publicznie parę osób, ale mniejsza z tym... Nie muszę chyba na niego

głosować? Domyślam się, o co ci chodzi. Sądziś, że on może „posiadać wiedzę” na temat Kriegsmarine, tak?

– Jak najbardziej. Pan Gniady szczeni się słynnym przodkiem, wysokim oficerem Kriegsmarine. Mało tego... Był wielkim Polakiem, bohaterem nie tylko pierwszej wojny światowej, ale wcześniej także – uwaga! – wojny rosyjsko-japońskiej! Nie rób takiej zdziwionej miny. Dobrze słyszysz. Pewnie dlatego Ewa uznała, że temat mnie zainteresuje. To ten sam bohater, który ma zostać patronem Gdańska. Rozprawiano już o tym w mediach, nie pamiętasz? Swoją drogą, to rzeczywiście ciekawa postać. W ramach walki ze znieprawdowanym zaborcą, czyli Rosją, wspomagał ponoć Japończyków podczas tej wojny. Przysłużył się im, a przy okazji też zniewolonej ojczyźnie. Prusy były wtedy neutralne, bo po cichu wspierały Japonię i szkoliły jej wojsko, ale rywalizowały z Rosją o wpływy w ówczesnym świecie. Więc zapewne dowództwo marynarki patrzyło przez palce na działalność swego oficera. A może wcale o niej nie wiedzieli. To zresztą nieważne. Ważne, że gość może nam sporo opowiedzieć. Na pewno ma wiele interesujących rodzinnych dokumentów z tamtych czasów, listów, zdjęć, plotek...

Marta oderwała się wreszcie od ekranu komputera.

– Nie za wysokie progi? – zapytała z powątpiewaniem.

– Ale nie dla mnie! – Mrugnął do niej porozumiewawczo, uśmiechając się z rozbrajającą szczerością. – Dopadnę go. Smarkatej Ewie się to wprawdzie nie udało, ale o kontrowersyjnym Emilu Żądło gość może słyszał coś tam coś tam, zwłaszcza jeśli pochodzi z Gdańska i tutaj bywa...

– Niech żyje skromność! – roześmiała się. – I te wszystkie informacje pochodzą z artykułu tej sympatycznej... smarkatej?

– Owszem. Mała odwaliła kawał dobrej roboty. Tekst jest co prawda nieco zbyt pompatyczny i to będę musiał wybić jej z głowy... Patos jest zawsze, wbrew założeniom, komiczny, niezależnie od powagi tematu. Najwyraźniej została jej ta skromność z czasów szkolnych... Jednak tak przysłużyła się nam tym artykułem, że lepiej nie mogła, dobre dziecko!

– I co zamierzasz?

– Zamierzam dotrzeć do Gniadego i pod pretekstem wywiadu dla prasy wydobyć od niego jak najwięcej informacji o tamtej epoce.

Rozdział 22

Ewa, wdzięczna za poprawienie tekstu, bez oporu zgodziła się dać Emilowi numer kontaktowy do sekretarza prominenta.

– Tak myślałam, że cię to może zainteresuje – powiedziała. – Chociaż uprzedzam: oni nie są tam zbyt chętni do rozmowy. Trochę tego nie rozumiem, bo w końcu dostają darmową reklamę, prawda? Facet jest chyba przeczulony na punkcie swojego imageu. Ten jego sekretarz zażądał nawet prawa do autoryzacji treści, chociaż to nie wywiad, tylko zwyczajny artykuł na podstawie rozmowy. Tymczasem on chce wglądu w ostateczny tekst przed wydrukowaniem! Wyobrażasz to sobie? Zgodziłam się, bo co mi zależy, ale gdybym wiedziała, że to taki problem, to chyba bym się na to w ogóle nie rzucała.

Emil zapalił papierosa.

– Wiesz, politycy często cierpią na nadmiernie wybujałe ego – odparł. – Władza uderza do głowy. A skąd ci ten temat przyszedł na myśl?

– Trochę dzięki tobie. – Ewa wzruszyła ramionami. – To ty zacząłeś z tą Japonią. Po twoim artykule o wojnie rosyjsko-japońskiej przypomniał mi się przodek Gniadego. Był o tym kiedyś program w telewizji. Nagłośnili jego życiorys w ramach kampanii wyborczej, kiedy Gniady zdecydował się kandydować na prezydenta. Pomyślałam sobie, że to dobry i aktualny temat dla naszej gazetki, która z założenia ma promować miasto.

– I słusznie – przyznał Emil, gasząc papierosa. – No nic, mimo wszystko spróbuję się z nim skontaktować. Mnie też interesuje ten jego przodek.

Wbrew obawom, zgodę na spotkanie uzyskał, gdy tylko się przedstawił, co mile polechtało jego ambicję. Umówili się na następny dzień w gdańskim biurze polityka. Lecz kiedy Emil stawiał się na miejscu, okazało się, że pan Gniady nie będzie uczestniczył w rozmowie. Jest nieobecny, bawi w stolicy.

– Jednak ja z najwyższą przyjemnością udzielę panu wszelkich potrzebnych informacji. – Uśmiechnął się chłodno sekretarz. – Zostałem do tego upoważniony. Obecność pana Gniadego nie będzie konieczna.

Mężczyzna był młody, przystojny, nienagannie ubrany w szary prążkowany garnitur najlepszej marki. Emil ucieszył się w duchu, że nie dał się sprowokować Marcie i nie wcisnął się w krawat i marynarkę, zakupioną niegdyś w pierwszym lepszym sklepie z odzieżą za niewygórowaną cenę. Tania elegancja to żadna elegancja. I tak nie dorównałby temu flrcykowi! W dzinsach i swetrze czuł się przynajmniej swobodnie, a jako niezależny dziennikarz miał prawo do ekscentrycznego wyglądu.

Atmosfera wydawała się napięta. Sekretarz wskazał mu fotel, a sam zajął miejsce za ciężkim, masywnym rzeźbionym biurkiem. Emil bez większego trudu rozpoznał w nim oryginalny mebel gdański. Nie na darmo żył z muzealniczką!

Cały obszerny gabinet został urządzonej w tradycyjnym stylu gdańskim, z wielkim przepychem i – musiał to przyznać – również ze smakiem. Z zabytkowym umeblowaniem doskonale harmonizował najnowocześniejszy sprzęt komputerowy. Drogi dywan w odcieniach beżu oraz ekskluzywne, aksamitne kotary dopełniały wizerunku. Urzędnik nie ułatwiał Emilowi zadania. Siedział sztywno wyprostowany, oficjalny. Przyglądał mu się wyczekująco z wystudiowanym, pozornie uprzejmym, jakby lekko ironicznym uśmiechem. Krzesła przy drzwiach zajęli dwaj ochroniarze, z wyglądu przypominający umundurowane goryle. Ci nawet nie udawali życzliwości.

Emil odchrząknął. Miał ogromną ochotę zapalić!

– Zbieram materiały do obszernego tekstu na temat wojny rosyjsko-japońskiej oraz roli gdańskiej marynarki w przemianach w Japonii u progu dwudziestego wieku – zaczął. – Słyszałem w mediach o przodku pana Gniadego, który podobno uczestniczył w tej wojnie i odegrał w niej chlubną rolę. Interesują mnie wszelkie materiały oraz informacje związane z tematem. Liczyłem, że pan Gniady mógłby podzielić się ze mną swoją wiedzą dotyczącą tych kwestii.

Sekretarz milczał przez długą chwilę, przypatrując mu się wnikliwie z kamienną twarzą.

– I jedynie to zagadnienie doprowadziło pana do osoby pana Gniadego? – zapytał w końcu. – Dziwne. Jest pan już drugą osobą z tej samej gazety, która interesuje się tym tematem. Niedawno gościła u nas pewna młoda dama...

Emil o mało nie udławił się z wrażenia. Z trudem powstrzymał parsknięcie. Co za język! „Gówniarz jeden nadęty” – pomyślał z rozbawieniem. Nagle, wraz z przyływem humoru, wróciła mu także równowaga ducha i poczucie proporcji. Poczul się z tego powodu o wiele bardziej „na luzie”.

– Zasadniczo jestem wolnym strzelcem – wyjaśnił nieco kpiąco. – Współpracuję z

różnymi gazetami. Także z *Rozgwiadą*. Powiem panu szczerze, że to właśnie artykuł wspomnianej damy zwrócił moją uwagę na historię rodziny pańskiego chlebobdawcy. Wcześniej na to nie wpadłem. Nie bardzo interesuje mnie polityka.

– Taaak... – Młody człowiek zabębnił palcami w blat biurka. – Rozumiem. Oczywiście, znamy pańskie dokonania... Jest pan popularną postacią w środowisku lokalnych mediów. A więc czego chciałby się pan dowiedzieć?

– Mówiłem już. Miałem nadzieję, że pan Gniady mógłby podzielić się ze mną rodzinną wiedzą nie tylko o swoim przodku, ale również o Kriegsmarine, z którą, o ile mi wiadomo, ów przodek był związany. I w ogóle o tamtej epoce, szczególnie w kontekście wojny rosyjsko-japońskiej, jak i samej Japonii okresu przemian kulturowych. Interesuje mnie wszystko na ten temat, także nieoficjalna historia, zdjęcia, listy, dokumenty, a nawet zwykłe plotki. Jednym słowem, całe tło historyczne i obyczajowe. Liczyłem, szczerze mówiąc, na dłuższą osobistą pogawędkę z panem Gniadym, bo jest to temat-rzeka, jedno zagadnienie rodzi kolejne... – Emil urwał, czując, że cała ta przemowa jest i tak z góry skazana na niepowodzenie. Sekretarz wciąż przyglądał mu się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie wróżyło to niczego dobrego.

– Cóż. Pan Gniady jest, jak panu z pewnością wiadomo, bardzo zajęтым człowiekiem – odezwał się wreszcie urzędnik. – Czy mogę panu zadać jedno pytanie? Czysto prywatnie! – zastrzegł. – Skąd to pańskie zainteresowanie Japonią?

– Mnie interesują najróżniejsze zagadnienia – speszył się Emil, uważając, by nie pisać przypadkowo ani jednego słowa o morderstwach i drzeworytach. – Taki mam zawód. Z tego żyję. W tej chwili zajmują mnie związki gdańskiej marynarki z Japonią na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. A przodek pańskiego szefa to słynny bohater Gdańska.

Sekretarz uśmiechnął się, lecz jego oczy pozostały bez wyrazu.

– To był dziadek pana Gniadego ze strony ojca – oznajmił raptem dość niespodziewanie. – Ten przodek. Nazywał się Gustaw Gniady. W tamtych czasach imię to pisane było przez „v”. Poza tym, wszystko, czego pan potrzebuje, powiedzieliśmy już pańskiej koleżance. Resztę z pewnością znajdzie pan w dostępnych powszechnie opracowaniach. Pan Gniady nie wie nic więcej ponad to, czym już wcześniej podzielił się z opinią publiczną. Nie posiada także żadnych materiałów ani pamiątek z tego okresu. Oprócz jednego zdjęcia, które naturalnie mogę panu pokazać...

Wstał od biurka i podszedł do sekretarzyka pod oknem. Z szufladki wyjął starą fotografię na sztywnym kartoniku, w formacie pocztówki, i podał ją Emilowi.

– Była wielokrotnie reprodukowana – dodał. – Ale jeśli pan sobie życzy, możemy sprezentować panu kserokopię.

– Byłbym wdzięczny – odparł Emil, uważnie przyglądając się zdjęciu. Widniała na nim kilkusobowa grupa młodych oficerów w mundurach pruskiej marynarki wojennej.

– Gustav Gniady stoi pośrodku – objaśnił sekretarz. – To ten wysoki blondyn z wąsikami. Łatwo zauważyć rodzinne podobieństwo, prawda?

Emil przywołał w myślach twarz Jana Gniadego, znaną mu z telewizji i gazet. Całkiem możliwe, że jakieś podobieństwo istniało. Z tym, że Jan Gniady był mniej więcej sześćdziesięcioletnim człowiekiem, podczas gdy jego dziadek, utrwalony na zdjęciu, liczył sobie najprawdopodobniej poniżej trzydziestu lat.

– Rzeczywiście – zgodził się. – Zna pan nazwiska pozostałych oficerów?

– Niestety. – Sekretarz obojętnie pokręcił głową. – Zdjęcie nie jest opisane.

Skinął na jednego z ochroniarzy.

– Skseruj to – polecił mu, sięgając po fotografię. – Pozwoli pan?

Emil wręczył zdjęcie gorylowi. Ten zniknął w przyległym pomieszczeniu i już po chwili wrócił z kserokopią, którą wręczył Emilowi, obrzucając go przy okazji nieprzychylnym spojrzeniem. Urzędnik zamknął oryginał z powrotem w szufladzie gdańskiego sekretarzyka.

– To by chyba było na tyle – uniósł się z krzesła. – Żałuję, że nie możemy panu więcej pomóc.

Emil również wstał. Sugestia była aż nazbyt czytelna.

– Cóż, dziękuję...

– Życzę powodzenia – dodał sekretarz. – Strażnik odprowadzi pana do wyjścia, bo zamykamy już biuro.

– Do widzenia. – Ukłonił się Emil, odwracając się w stronę drzwi gabinetu. Obaj ochroniarze wciąż przy nich stali. Jeden sięgnął dłonią do klamki, a drugi mierzył gościa ponurym spojrzeniem.

– Chwileczkę! – usłyszał Emil za plecami. – Jeszcze jedno...

Odwrócił się zaskoczony. Sekretarz wciąż stał za biurkiem.

– Tak? – zagadnął Emil z nadzieją.

– Powinien się pan zająć czymś ciekawszym niż historia rodu Gniadych – powiedział młody urzędnik i uśmiechnął się złowrogo. – Na co to panu? Jest tyle innych pasjonujących tematów dla tak zdolnego dziennikarza jak pan... Panie Żądło...

Emil poczuł się tak, jakby owiał go strumień lodowatego powietrza.

– Czy moje badania w czymś państwu przeszkadzają? – zapytał zdławionym głosem, któremu z trudem usiłował nadać obojętny ton. Nie tyle ze strachu, ile z tłumionej furii.

Sekretarz uśmiechnął się szerzej.

– Ja tylko pozwoliłem sobie dobrze panu poradzić... – dodał przesadnie życzliwym tonem. – By nie zajmował się pan tym niezbyt ciekawym tematem. Naprawdę szkoda marnować taki talent jak pański.

Rozdział 23

– Naprawdę ci groził?! – Marta kręciła głową z niedowierzaniem. – Ale po co? Daj spokój. Przecież to jakaś bzdura! Cierpisz na manię prześladowczą, skarbie. Chyba oboje mamy już ciężką obsesję od tego wszystkiego.

Emil z wściekłością w oczach zapalił kolejnego papierosa.

– Wyraźnie czułem, że mi grozi – odparł zdenerwowany. – Tam w ogóle atmosfera była ciężka od samego początku. Facet dziwny, informacji jak na lekarstwo, a w powietrzu wisiała podejrzliwość i poczucie zagrożenia. Tylko nie wiem, kto czuł się bardziej zagrożony – oni czyja.

Marta stała przed lustrem i, klnąc pod nosem, z trudem rozczesywała swoje świeżo umyte, niesforne ciemnorude włosy. Wybierali się na kolację do Żebrów.

– Cholera, siwy! – zamruczała z irytacją, brutalnie wyrrywając zdradziecki włos z czubka głowy. – Znowu! Co za potworna niesprawiedliwość! Moja matka do sześćdziesiątki nie miała ani jednego siwego włosa na skroni...

– Skandal – uśmiechnął się Emil z przymusem, całując ją w kark. – To wszystko przez te nerwy. Ale nie martw się, w siwych też będziesz piękna!

– Pochlebca... Wracając do tematu, uważam, że politycy to w ogóle chorzy ludzie. Nie zrozumiesz ich! Myślą zupełnie innymi kategoriami. Pewnie bał się, że informacje o jego rodzinie wykorzystasz przeciwko niemu w kampanii wyborczej, że ośmieszysz go, nie wiem, co jeszcze... Ma pewnie na usługach swoich dziennikarzy, którzy wypisują peany na jego cześć, a taki zdeklarowany liberał jak ty może tylko budzić jego podejrzenia. On pewnie uważa cię za swojego przeciwnika, przedstawiciela skrajnie przeciwnego obozu politycznego.

Marta upięła włosy z tyłu głowy przy pomocy szylkretowej spinki i pociągnęła usta perłową pomadką w naturalnym odcieniu. Wyglądała naprawdę pięknie w czarnej sukience z dekoltem, który ozdobiła swym ukochanym talizmanem – starym naszyjnikiem z główką węża. Z jej nieodmiennie dziewczęcą urodą każdy siwy włos stanowił jedynie niewinny żart natury.

Emil z trudem oderwał od niej zachwycone spojrzenie, by odpowiedzieć:

– Ja nie należę do żadnego obozu politycznego!

– Wiem, że nie. – Marta uśmiechnęła się z politowaniem. – Ale kogo ty chcesz o tym przekonać?! Facetów, dla których świat jest tylko i wyłącznie areną wojen ideologicznych? No, dość tego dobrego – ucięła stanowczo. – Ubieraj się, zaraz musimy wychodzić. Głupio się wiecznie spóźniać. Nie chcę, żeby Maria czekała na nas z kolacją. Wiesz, jaki u nich jest teraz porządek!

– No – roześmiał się, zamieniając granatowe džinsy na czarne, a skórzaną kamizelkę na zamszową. – To fakt! A pamiętasz jeszcze te krakersy i baterie piwa w lodówce Zebry? Chyba tylko tym się żywił!

– Mówisz, jakbyś ty był lepszy! – prychnęła, poprawiając mu kołnierzyk czarnej welwetowej koszuli.

– Może powinienem się ogolić? – zatroszczył się Emil.

– Co to, to nie – przesunęła dłonią po jego szorstkim podbródku. – Ogolony to już nie byłbyś ty! Zakochałam się w zarośniętym facecie.

– Powtórz to.

– Bez przesady. Nie za dużo słodczy naraz!...

Gdy z bukietem kwiatów wsiadali już do samochodu – zwróconego im zaledwie wczoraj i z wgniecioną karoserią – Emilowi przypomniało się coś, co podświadomie dręczyło go od pewnego czasu.

– Marto, co się dzieje z tym dokumentem ze składziku? – zapytał. – Wiesz coś może? Strasznie długo trwa to odcyfrowywanie!

– A wiesz, że nic nie wiem? – zakłopotana się. – Masz rację, to już za długo. Ale nie mogę ostatnio skontaktować się z panią docent, która zajmuje się dokumentem. Pisałam do niej maila, ale nie odpowiedziała. Muszę spróbować jeszcze raz, bo może nie dotarł...

– Pamiętaj, żeby zapytać Zebkę. Może on coś wie.

– Moim zdaniem policja tę sprawę lekceważy. Oni wciąż nie traktują serio wątku historycznego – odparła zde gustowana. – Pewnie w ogóle zapomnieli o tym dokumencie!

Emilowi udało się wreszcie odpalić wychłodzony silnik.

– Nie Zebra – wziął w obronę przyjaciela. – Marek nie jest ignorantem. Na pewno ma stały kontakt z tą panią rzeczoznawcą.

Kobieta zdjęła okulary, przetręła oczy i łyknęła proszki od bólu głowy, popijając je rumiankową herbatą. Był wczesny ranek. Przez całą noc ślęczała nad powierzonym jej dokumentem. Mimo zmęczenia i dręczącego ucisku w skroniach – była z siebie zadowolona.

Wreszcie udało się dopiąć wszystko na ostatni guzik. Owszem, długo to trwało, ale rezultaty przeszły jej najśmielsze oczekiwania. Pomijając honorarium, będzie to prawdziwy osobisty i zawodowy sukces: nauka w służbie publicznej, i to z tak „peryferyjnej” dziedziny jak jej ukochana japonistyka! Może spowoduje to w efekcie zwiększenie dotacji budżetowych na badania... W każdym razie katedra zyska dodatkowy argument.

Zdrzemnie się teraz trochę, po czym jeszcze raz przeczyta i ostatecznie wygładzi tłumaczenie, zanim przefaksuje je gdańskiej policji. W pierwszym odruchu entuzjazmu gotowa była zrobić to natychmiast, jednak po namyśle zrezygnowała z tego pomysłu. Nic na chybcika. Czekali tyle, to mogą zaczekać jeszcze parę godzin. Ważne, żeby zachować pełen profesjonalizm. Ponadto zmęczenie naprawdę dawało się jej we znaki...

Ułożyła się już na kozetce i przykryła kocem, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Kogo to licha niesie o tej godzinie? Niechętnie zwlokła się z ciepłego posłania.

– Kto tam? – zapytała ostentacyjnie zaspanym głosem, by dać intruzowi do zrozumienia, że o takiej porze się śpi, a nie składa komuś wizyty.

– Policja! – usłyszała stanowczy męski głos.

Zerknęła przez judasza: ujrzała tylko zarys sylwetki. O Boże... Tak im się nagle spieszy?! Umawiali się przecież na faks.

Zawahala się.

– W jakiej sprawie?

– W sprawie dokumentu! – w głosie policjanta zabrzmiało zniecierpliwienie.

A jednak!

– Chwileczkę...

Ledwo zdjęła łańcuch i przekręciła klucz w zamku, dwaj mężczyźni wpadli do pomieszczenia jak burza. Nie byli umundurowani, lecz na głowach mieli policyjne czapki. Zdjęli je teraz i schowali do kieszeni, bez pardonu kierując się do pokoju, jedyne w małej kawalerce.

Kobieta cofnęła się.

– O co chodzi? – zapytała załęczniona.

– Dokument! – warknął jeden. – Proszę mi go dać. Musimy go natychmiast przekazać policji w Gdańsku!

– Właśnie miałam zamiar to zrobić...

Drugi mężczyzna znieacka schwycił ją mocno za ramię i ścisnął jak w kleszczach.

– Już! – syknął. – Gdzie go masz?!

Teraz, naprawdę przerażona, usiłowała uwolnić się z jego żelaznego uścisku.

Szamotanina jednak na nic się zdała, wręcz przeciwnie – ucisk wzmógł się.

– Chwileczkę, panowie! O co tu chodzi?! Bo będę krzyczeć...

– Nie będziesz – mężczyzna brutalnie zatkał jej usta dłonią w czarnej skórzanej rękawiczce. Jego towarzysz wykręcił jej ręce do tyłu i związał je, po czym – boleśnie naciskając na policzki – wcisnął jej coś w usta, zaklejając je następnie plastrem. Pchnęli kobietę na kanapę, a sami zaczęli przeszukiwać biurko. Napisane ręcznie tłumaczenie znaleźli natychmiast. Zostawiła je na samym wierzchu.

Jeden z mężczyzn – ten „pierwszy” – szybko przebiegł wzrokiem kartki, uśmiechając się tryumfalnie.

– Masz to w komputerze? – zapytał ostrym tonem.

Nie miała pojęcia, czy to bandyci, czy też nastąpiło nieporozumienie i jest to rzeczywiście policja – albo może jakaś inna służba? – która ją, z jakiegoś powodu, wzięła za przestępczynię. Zaprzeczyła ruchem głowy. Czowała kompletny zamęt. Chciała dodać, że jako osoba starej daty, jeśli tylko może sobie na to pozwolić, pracuje tradycyjnie. Nie jest amatorką komputera, choć go, oczywiście, posiada. Miała zamiar przepisać tekst na maszynie.

Zamiast odpowiedzieć wydała z siebie jedynie nieartykułowane dźwięki.

– Gdzie oryginał? – usłyszała kolejne pytanie.

Ponownie pokręciła głową.

Mężczyzna zerwał plaster. Poczwała nagły piekący ból i zakrztusiła się, gdy wyjmował knebel z jej ust. Zaczerpnęła powietrza, zbyt wystraszona, by krzyżeć.

– Gdzie oryginał?!

– Nie mam go... – wyjąkała z trudem. – Mam... tylko kopię... W szufladzie... Tej górnej... Oryginał jest na policji...

Mężczyzna uderzył ją pięścią w twarz i z powrotem błyskawicznie zakneblował. Pomimo zawrotów głowy, znowu próbowała krzyżeć. Z jej ust wydobyło się rozpaczliwe rżęzenie.

– Ucisz ją!

Ponownie poczuła silne uderzenie, po którym zobojętniała na wszystko. Między jej nogami zrobiło się mokro i ciepło. Bezwiednie oddała moc. Ledwo słyszała wymianę zdań pomiędzy napastnikami. Dochodziła do niej jak z tunelu.

– Kurwa mać, ona chyba mówi prawdę! – pierwszy mężczyzna zwrócił się z wściekłością do kompana. – Dali jej kopię, nie oryginał! Od razu tak, kurwa, mówiłem! To, kurwa, oczywiste!

– Ciesz się, że zdążyliśmy na czas. Co robimy?

Pierwszy zastanowił się przez moment.

– Zabieramy wszystko – zdecydował. – Laptop też. Sprawdzimy go i wyczyścimy na miejscu. I spływamy. Szkoda, kurwa, czasu.

– Co z babsztylem? – „Drugi” skinął głową w kierunku półprzyciemnej kobiety.

– A co ma, kurwa, być?

Zebra otworzył drzwi z grobową miną.

– Cześć... Coś się stało? – spieszyła się Marta, nie wiedząc, co począć z kwiatami. Głupio się z nimi poczuła w zderzeniu z dziwnym wyglądem gospodarza. W końcu podała kwiaty Emilowi. Marii nie było nigdzie widać. Może zachorowała?

– Coś z Marią?!

– Mam dla was złą nowinę – odparł Marek ponuro. – Właściwie fatalną... Nie, nic z Marią, z Marią wszystko w porządku, właśnie nakrywa do stołu. Wchodźcie, kolacja jest aktualna. Tylko apetyty mogą nam nie dopisać...

– Gadaj wreszcie i przestań mącić! – zirytował się Emil.

Zebra zreflektował się.

– Zdejmijcie okrycia. No więc, ma to związek ze śledztwem. Przykro mi – zwrócił się wprost do Marty, jednocześnie odbierając od niej płaszcz – bo chodzi o twoją znajomą. O doktor Kozak. Tę rzeczoznawcę. Otóż... Ona nie żyje. Została zamordowana...

Marta osłupiała.

– Co? Jak to? Kiedy?!

– Co najmniej tydzień temu – Zebra skrzywił się. – Jeśli nie wcześniej. Sekcja zwłok wykaże. Znalaziono ją dzisiaj rano. Mieszkała sama, więc... Warszawską policję zawiadomili zaniepokojeni współpracownicy i sąsiedzi. Została uduszona. Mieszkanie splądrowane. Tak jak u Zagórnego, ale tym razem znikł laptop i wszystkie jej papiery. Tłumaczenie, jeśli było, też szlag trafił.

– Oryginał jest, mam nadzieję, u was? – bąknął oszołomiony Emil.

– Tak, szczęście w nieszczęściu... Dostała tylko kopię, wspólnie tak zresztą ustaliliśmy. Badanie autentyczności i tak dalej przeprowadzono na naszym uniwerku.

– Boże... Biedna kobieta... – westchnęła Marta.

– Zaproszę gości do pokoju! – rozległ się z głębi mieszkania głos Marii. – Wejdźcie, kochani, tutaj sobie pogadacie! Wszystko już dawno gotowe.

Emil pospieszył z kwiatami do gospodyni, a Marta zatrzymała Zebra w przedpokoju.

– W głowie mi się już kręci od tego wszystkiego... – powiedziała. – Cholera! To moja wina! Ja ją w to wciągnęłam! Zaraz cię o wszystko dokładnie wypytamy, ale powiedz mi od razu, ile w końcu wiemy na temat tego dokumentu!

– Po pierwsze – to nie jest twoja wina! Nawet tak nie myśl. Kto mógł coś takiego przewidzieć? A co do dokumentu, cóż... Wiemy, że jest datowany na początek dwudziestego wieku, czyli pochodzi z epoki – odparł Zebra. – Dotyczy jakiejś poważnej transakcji, związanej z budową kolei transsyberyjskiej w Mandżurii. W grę wchodziły kwoty ogromne, jak na ówczesne czasy. Jedna z pieczęci należała do nieistniejącej od dobrych kilkudziesięciu lat kancelarii adwokackiej w Tokio. To w zasadzie wszystko, co wiemy, same ogólniki i domysły. Dokument jest mocno uszkodzony i w niektórych miejscach prawie nieczytelny. Trzeba znaleźć nowego rzeczoznawcę...

– Chyba mam kogoś! – Martę olśniło. – To Japończyk. Profesor. I chyba w jego przypadku nie ma ryzyka, bo mieszka w Japonii. Załatwię to. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Tym bandziorom nie może to ująć na sucho!

– Serio? Masz kogoś takiego? To brzmi obiecująco. Pogadamy jeszcze o tym. Ale nie stójmy w korytarzu, chodźmy do pokoju, bo Majka się w końcu obrazi i zmyje mi głowę! Na kolację jest specjalność mojej żony, tortilla z mięsem i jarzynami, palce lizać... Szkoda, że w takich okolicznościach, ale nic na to nie poradzimy, ktoś to musi zjeść!

Po kolacji – która mimo złych wieści, smakowała wyśmienicie, bo Maria była świetną kucharką – przenieśli się na fotele i małe kanapy, stanowiące kolejną nowość w domu Zebry. Marek zaserwował drinki i tylko Emil pił sok. Wszyscy – oprócz Marii – palili, wyjątkowo więc uzyskali zezwolenie gospodyni na folgowanie nałogowi w pokoju. Nie musieli wychodzić do kuchni, jak czynił to Zebra od ponad roku dzień w dzień.

– No dobra – podkomisarz zwrócił się do Marty i Emila, napelniając piwem wysoką szklankę. – Opowiedzcie teraz, do czego doszliście w swoich historycznych poszukiwaniach. Może razem spróbujemy wyciągnąć jakieś wnioski?

– Daj im spokój! – zbesztła go żona. – Oni są gośćmi! Przyszli do nas z prywatną wizytą, a ty od razu zawracasz im głowę tym śledztwem.

Maria Boniecka-Zebra była nieskazitelnie piękną kobietą o posągowej skandynawskiej urodzie. Mimo przekroczonej już chyba pięćdziesiątki, wciąż stanowiła obiekt cichych westchnień każdego zdrowego na ciele i umyśle faceta. Parę lat starsza od swego męża,

starszego z kolei trochę od Emila – była osobą, którą czas omija z daleka. Nie zmieniła się zupełnie od blisko dwudziestu lat, kiedy mieszkali z Emilem po sąsiedzku, a on – jako młody człowiek – tracił dla niej głowę, gdy tylko spotykał ją na swej drodze. Po tragicznej śmierci swej jedynej, ukochanej córki załamała się, lecz wówczas na swojej życiowej drodze spotkała Marka Zebra.

Marek wielbił żonę niezmiennie i zwykle słuchał jej we wszystkim. Teraz jednak zaprotestował stanowczo:

– O nie! Gośćmi byli przez dwie godziny i wystarczy. Nasze spotkania nigdy nie są do końca prywatne! Poza tym, o czym niby mielibyśmy gadać? O pogodzie?

Marta odstawiła na stolik kieliszek po czerwonym winie, a Zebra natychmiast go przejął i uzupełnił zawartość, zadając tym samym kłam własnej niegościnnosci.

– W porządku! – Roześmiała się. – Przestańcie się kłócić! Przecież między innymi po to przyszliśmy, żeby wymienić się informacjami. A nie tylko, żeby ogołocić wam lodówkę oraz barek! – Mrugnęła do Marii. – Emil, kto zaczyna? Ja czy ty?

– Ty – odparł Emil, popijając sok.

– Ok. – zgodziła się. – Więc z grubsza, chronologicznie, wygląda to tak. Od czego by tu zacząć? Są w tym wszystkim dwie lub trzy historie, które się gdzieś łączą. Tylko nie wiemy, na jakiej zasadzie. Tych połączeń jeszcze nie odkryliśmy, choć muszą istnieć... Zaczniemy od tego, że sto lat temu, a może więcej, w Japonii żył artysta malarz, prawdopodobnie nazwiskiem Baison, współpracujący z największym ówczesnym tokijskim wydawcą. Stworzył cykl drzeworytów, których bohaterką jest jedna kobieta.

– Gejsza! – podpowiedział Emil.

– Tak. Emila bardzo to intryguje. – Marta uśmiechnęła się. – Gejsze były wykształconymi, wolnymi kobietami, artystkami, damami do towarzystwa, jak zwał, tak zwał. Nie były w każdym razie prostytutkami. Kurtyzany i dziwki istniały niezależnie, jak zresztą na całym świecie. Wiadomo, najstarszy zawód świata... W ówczesnej Japonii „uczciwa” kobieta mogła być albo żoną i matką, całkowicie uzależnioną od rodziny męża i w zasadzie kompletnie ubezwłasnowolnioną, albo wołem roboczym, albo gejszą. Piękne, inteligentne, utalentowane i samodzielne kobiety często same wybierały to ostatnie zajęcie. Trudno się dziwić. Każda miejska dziewczyna marzyła o takiej karierze. Kobiety z rodzin samurajskich nie miały szans. Chłopki bardzo rzadko. Ale wracajmy do tematu... No więc nasz malarz stworzył cykl drzeworytów, na których sportretował jedną i tę samą urodziwą gejszę w różnych sytuacjach. Dziewczyna podziwiała kwitnące kwiaty wiśni, bawi w chatce nad jeziorem, marzy, pisze listy, gra na *samisenie*... Raz jest radosna i jakby pełna nadziei, raz

smutna lub zamyślona. Artysta namalował ją tak, że portreciki wprost emanują czułością. Dlatego przyjmuję, że malarza i modelkę coś łączyło. Coś osobistego. Z jakiegoś powodu dopisał na nich nazwę Jokohama, mimo że przypuszczalnie tworzył w Tokio. Po czym zniknął. Całkowicie, jakby rozplynął się we mgle historii. Wszelki ślad po nim zaginął. Aż do dziś...

Jednocześnie wiemy – kontynuowała Marta – że mniej więcej w tym czasie trwała wojna rosyjsko-japońska. W Jokohamie stacjonowały zagraniczne okręty. Między innymi z gdańskiej Kriegsmarine, bo pruscy oficerowie szkolili wówczas japońskich oficerów marynarki. To jest tło historyczne naszej zagadki. Udało nam się ustalić, że w tym samym czasie w Japonii przebywa oficer Kriegsmarine, przodek Zagórnych. I tam umiera albo ginie. Dziwnym trafem wspomniane drzeworyty Baisona trafiają do jego rodziny w Gdańsku. Ktoś wysłał je drogą morską. Następnie rodzinę prześladowają ludzie z marynarki. Szukają jakiejś tajemniczej szkatułki, o której nic nie wiemy. Wiemy za to, że w jednym z naszych drzeworytów ktoś ukrył dokument, będący – jak wiecie – jakąś ważną umową transakcyjną, związaną z budową kolei mandżurskiej. Z pewnością nie przypadkiem dokument znalazł się w tym miejscu. Musi istnieć jakiś związek między drzeworytami a antenatem Zagórnych. Wskazuje na to także napis Jokohama”. Dziwnym zbiegiem okoliczności zarówno malarz jak oficer przepadli mniej więcej w tym samym czasie. Jeden podobno stracił życie, drugi – diabli wiedzą...

– Może to jeden i ten sam człowiek? – zagadnął Zebra.

– Też tak z początku myślałem. Ale Marta twierdzi, że to jest absolutnie wykluczone. A ona się na tym zna – zauważył Emil.

– Raczej tak – przytaknęła. – To znaczy nie. Żaden Europejczyk nie stworzy takich drzeworytów! One są japońskie do szpiku kości. A przodek Zagórnych Japończykiem przecież nie był...

– I co dalej? – przerwała niecierpliwie Maria.

– A dalej – kontynuowała Marta – upływa sto lat... Drzeworyty wiszą sobie niewinnie, niemal całkiem zapomniane i niedoceniane, na ścianie w mieszkaniu współczesnego Zagórnego. Dopóki nie zostaje zamordowany. A wtedy wokół drzeworytów zaczynają dziać się bardzo dziwne rzeczy. Stają się obiektem szantażu i włamań. Giną kolejne ofiary. Znajdujemy dokument. Podczas próby odczytania go zostaje zamordowana następna osoba... No przecież nie jest to przypadek!

Zebra ponownie nalał wszystkim trunki.

– Z tego wniosek – stwierdził – że odpowiedź tkwi jednak w dokumencie.

– Jestem tego pewna! – odparła Marta.

– Czekajcie! – zawołała Maria. – To naprawdę niesamowita historia! Strasznie romantyczna! A co ma z tym wszystkim wspólnego ta gejsza? Bo ona mnie chyba najbardziej interesuje.

– Tego nikt nie wie. Na razie. Ale czuję, że miała wiele wspólnego... – Marta z zadowoleniem upiła łyk wina.

– I patrzcie – ciągnęła Maria – działy się tam różne dramaty, wojny, transakcje, wielka polityka... I nic z tego nie zostało! Nawet nie wiemy, jak wyglądali ci ludzie! A ona wciąż żyje i patrzy na was ze ścian... Nieśmiertelna! Muszę koniecznie przyjechać do was razem z Markiem, by zobaczyć te drzeworyty. Koniecznie! – rozgorączkowała się.

Zebra popatrzył na nią z zachwytem.

– Zapraszamy! – powiedziała Marta z uśmiechem.

– Słuchajcie, coś mi się przypomniało, kiedy wspomniałaś, że nawet nie wiemy, jak wyglądali ci ludzie – wtrącił się Emil. – Czasem wiemy... Na przykład wiemy, jak wyglądał legendarny dziadek Gniadego, tego polityka. I koledzy tegoż dziadka. Z Kriegsmarine!

Pogrzebał tryumfalnie w swojej starej, wytartej torbie fotograficznej – z którą nigdy się nie rozstawał – i wyjął kserokopię fotografii. Towarzystwo obejrzało ją bez zbytniego zainteresowania.

– No i dobrze. – Obojętnie wzruszyła ramionami Marta. – Nawet dosyć przystojny. Ale co mnie obchodzi dziadek Gniadego?! W nosie go mam...

Maria wzruszyła ramionami, patrząc na zdjęcie, gdzie sztywni, upozowani marynarze sztucznie uśmiechali się do obiektywu.

– Profani. – Emil schował zdjęcie. – Jesteście aspołeczni!

– Owszem. – Mrugnęła do niego Marta. – Tak jak i ty, skarbie...

Zebra nie słuchał, myślał nad czymś intensywnie.

– Mam pewien pomysł... – oznajmił po chwili. Zapalił fajkę, po czym zwrócił się bezpośrednio do Marty. – Pogadaj z tym swoim Japończykiem, a ja tymczasem rozpuszczę informację, że poszukujemy rzeczoznawcy od dawnego pisma japońskiego. Wpadło mi do głowy, że... Może ktoś od nas, z policji, sypie?! Choćby nieświadomie. A co innego mogą zrobić te bandziory w sytuacji, kiedy nie chcą dopuścić do ujawnienia treści dokumentu, a wiedzą, że jest on w rękach policji? Samo odwlekanie sprawy nic im na dłuższą metę nie da. Nie będą też chyba zabijać po kolei wszystkich naszych ekspertów?! Wiem, co mogliby zrobić, żeby to miało coś uzyskać. Mogą przysłać swojego człowieka, swojego eksperta, rozumiecie? W ten sposób mieliby dostęp do oryginału. Albo niekoniecznie oryginału. Muszą

być tylko przekonani, że zadowolimy się ich wersją tłumaczenia. My tymczasem będziemy mieli porównanie. No i nasz japoński profesor będzie bezpieczny, zachowamy jego osobę w ścisłej tajemnicy. Lepiej dmuchać na zimne, cholera wie, jak daleko sięgają macki tych sk... sukinsynów.

Rozdział 24

– Słyszałaś?! – Emil jak bomba wpadł do kuchni, gdzie Marta parzyła herbatę w staroświeckim porcelanowym imbryczku, malowanym w róże. Kupiła go w antykwariacie w prezencie dla Emila, ale odkąd zamieszkali razem, służył im obojgu. – Gniady otrzymał nagrodę miasta Gdańska!

Marta zalała wrzątkiem liście herbaty i odstawiła czajniczek.

– Pewnie po to, żeby zwiększyć jego szanse w wyborach – odparła obojętnie.

– Właśnie leci z nim wywiad. Trzeba przyznać, że facet potrafi się kreować. Prawdziwy wzorzec. Archanioł, nie człowiek...

– Zrobić ci herbaty?

– Poproszę.

Emil wrócił do pokoju. Na ekranie telewizora wciąż królowała łysiejąca głowa Jana Gniadego. Polityk miał wyrazistą twarz o mięsistych wargach, ruchliwej mimice i podwójnym podbródku. Być może w młodości był tak przystojnym mężczyzną jak jego dziadek. Teraz jednak tusza zniekształciła mu sylwetkę, a oblicze nabrało drapieżnego wyrazu, co maskował wystudiowanym uśmiechem. Przemawiał tubalnie i z patosem. Niektórym to się bardzo podobało. Emilowi mniej.

Po chwili Marta wkroczyła do pokoju z dwoma kubkami herbaty i usiadła przy swoim komputerze.

– Jezu, wyłącz to już! – poprosiła błagalnym tonem. – Nie mam do tego cierpliwości...

Emil wyłączył telewizor i zapalił papierosa.

– Rozumiem cię. Mnie też denerwuje. Ale może mam uraz po spotkaniu z tym jego przybocznym... – skwitował.

– Mnie w ogóle irytuje ten świątek – oświadczyła rozdrażniona. – Wkurzają mnie tacy mędrcy z bożej łaski, którzy zamiast zajmować się rzeczywistymi problemami, głoszą nauki moralne i tworzą ideologie. Umoralniać innych jest najłatwiej! A systemy ideologiczne już były, ale nie sprawdziły się w historii. Moim zdaniem wszelkie zapędy ideologiczne są potencjalnie niebezpieczne. Jeśli ktoś uważa siebie za powołanego do pouczenia innych, to niech, na litość boską, zostanie księdzem, a nie politykiem, albo niech założy własny kościół!

Osobiście oczekuję, że politycy zajmą się rozwiązywaniem bieżących problemów naszego kraju; ekonomicznych, społecznych, dyplomatycznych i tak dalej. Epoka mężów opatrnościowych skończyła się wraz ze wzrostem świadomości społeczeństwa. Kierowanie państwem powinno odbywać się na tych samych zasadach jak kierowanie przedsiębiorstwem. I z pełną odpowiedzialnością za efekty. Niech każdy robi to, do czego został powołany...

– Ale się rozpędziłaś! – Roześmiał się Emil. – Szybko zabrakłoby wtedy chętnych do rządzenia państwem. Nie po to oni idą do polityki, żeby harować jak woły, tylko żeby zdobyć łatwe pieniądze i tani poklask. Harować na nich to mamy my.

– Nie wszyscy są tacy – odparła Marta. – Trzeba tylko dobrze wybierać. Najgorsi są ci, którzy najgłośniej krzyczą, bo zazwyczaj tym krzykiem pokrywają brak programu.

– Ale akurat Gniady to także biznesmen. I to wielki. Powinien znać się na ekonomii i zarządzaniu.

– Więc dlaczego nie o nich mówi? Tylko w kółko leje wodę na temat patriotyzmu, wartości, historii, przeszłości innych ludzi, której wiecznie ma coś do zarzucenia, oraz o własnej chwale? – zauważyła z sarkazmem.

Emil wzruszył ramionami.

– Jak już kiedyś słusznie zwróciłaś uwagę – uśmiechnął się do niej – nie musisz przecież na niego głosować...

– I nie zamierzam. Osobiście nic do niego nie mam, zwisa mi, ale już teraz widać, że facet woli gadać, niż robić.

Emil postukał w klawiaturę swojego laptopa.

– Mimo wszystko historia jego przodka nadal mnie interesuje – stwierdził. – Był tam wtedy, w samym centrum wydarzeń...

– I co nam z tego przyjdzie?

– Nie wiem. Poszperam trochę w Internecie. Może znajdę jakieś stare artykuły, wywiady, ciekawostki... On podobno nawet autobiografię napisał. Nie chce mi się tego szukać i czytać w całości, ale jakieś fragmenty powinny tu być.

– No to szukaj. A ja napiszę do mojego *sensei*.

– Zgodził się przetłumaczyć ten dokument?

– Zgodził – uśmiechnęła się z zadowoleniem, zdejmując z klawiatury śpiącego Bolera i włączając komputer. – A przynajmniej obiecał, że spróbuje. Już wysłałam mu zeskanowany tekst. Poza tym wspominał mi ostatnio, że jest w trakcie poszukiwań śladów Baisona i że wyniki wyglądają obiecująco. Coś chyba znalazł.

– Byłoby wspaniale...

Przez jakiś czas pracowali w milczeniu. Za oknami dzwonił deszcz, niesiony porywami wiatru znad morza, a – mimo stosunkowo wczesnego popołudnia – było już ciemno i ponuro. Pogoda nie nastrajała do optymizmu. Emil zdawał sobie sprawę z tego, że Marta wciąż nie może pogodzić się ze śmiercią ekspertki z Warszawy, gdyż osobiście namówiła ją na współpracę z policją. Nieprzyjemna sytuacja popsła także – a przynajmniej tak wydawało się Marcie – jej stosunki ze znajomymi z warszawskiego środowiska, zaprzyjaźnionymi także z doktor Kozak. Dlatego chodziła ostatnio taka poirytowana. I trudno się jej dziwić. Emil wiedział dobrze, co znaczy poczucie winy...

By poprawić sobie nastrój, spojrzął na drzeworyty wiszące na ścianie. Jak zwykle, emanowały spokojem, a także łagodną melancholią. Dziwne, ale wcześniej ich w ten sposób nie postrzegał. Teraz natomiast piękna gejsza wydawała mu się... smutna.

Odgonił od siebie drażniące myśli, ponownie skupiając wzrok na ekranie i klikając myszką w kolejny temat. Był to wywiad z Janem Gniadym przeprowadzony dla pewnego plotkarskiego tygodnika internetowego. Zdziwiło go trochę, że tak napsuszony i wrażliwy na swoim punkcie polityk jak Gniady udziela się w podobnie frywolnych mediach. Jednak czego się nie robi dla reklamy – pomyślał Emil ze złośliwym uśmieszkiem, po czym zagłębił się w tekście.

– Hej, mam coś interesującego! – zerwał się raptownie, odrywając od komputera oszołomioną i zdeglustowaną Martę. – Posłuchaj tylko: *Kiedy chodziłem do polskiej katolickiej szkoły w Stanach Zjednoczonych, moi koledzy wołali na mnie Gniadosz. Albo Koń. Widocznie musiał być ze mnie od małego niezły ogier! (śmiech). Ale tak naprawdę to nazwali mnie tak po prostu od nazwiska. Gniady od razu kojarzy się każdemu z maścią konia, a gniady koń to potocznie gniadosz. Rozumie Pani, jak to dzieciaki... Dla niektórych kolegów szkolnych po dziś dzień pozostałem Gniadoszem...*” Gniadosz! No i co?! Z czym ci się to kojarzy?!

Marta zrobiła zdeglustowaną minę.

– Z niczym – wycodziła groźnie. – A co?

Emil przewrócił oczyma.

– Kogo kazał mi szukać Zyga?! Oprócz składziku? Nie jakiegoś Gniadosza przypadkiem?...

– Dobosza – powiedziała Marta z naciskiem. – Dobosz, czyli taki gość, który wali w bębenek.

Emilowi zrzęda mina.

– Tak? – bąknął i podrapał się w głowę. – No, może...

– Nie może, tylko na pewno – uśmiechnęła się słodko. Emil jednak nie ustępował.

– No dobrze, ale ten dobosz od początku wydawał mi się jakoś znajomy. – Zapalił papierosa. – Czekaj... A kto wydzwaniał do Zagórnej po śmierci jej brata?!

Marta zastanowiła się.

– Nie pamiętam – przyznała.

Emil rzucił się do swoich notatek. Szybko przewertował brulion.

– Cholera... Radosz – jęknął. – Albo Jarosz...

– No widzisz? – odparła Marta ironicznie i odwróciła się z powrotem do swojego komputera.

Emil zapalił kolejnego papierosa.

– Zagórna nie była pewna – odezwał się po chwili. – Ale jeśli nawet Rogosz albo Jarosz, to czy nie wydaje ci się dziwne? Zastanów się! Rogosz, Jarosz, Dobosz... Gniadosz...

– Może i tak – westchnęła. – Ale czy ty nie dopatrujesz się w tym sensu trochę na siłę? Równie dobrze może to być zwyczajny zbieg okoliczności...

Rozdział 25

Jakiś czas później do Emila zadzwonił Zebra i poprosił o pilne spotkanie w ich ulubionej kawiarni U Literatów, znajdującej się na ulicy Mariackiej w Gdańsku. Podkomisarz miał stamtąd niedaleko zarówno do pracy jak i do domu, a chciał porozmawiać bez świadków. Emil tymczasem i tak wybierał się na starówkę, by poszperać w księgarniach i antykwariatach z książkami. Zebra z trudem skrywał przez telefon entuzjazm. Okazało się, że jego intryga dotycząca tłumaczenia dokumentu sprawdza się. Na apel policji zgłosiło się trzech ekspertów – dwóch z Krakowa i jeden z Warszawy. Wszyscy otrzymali kopie dokumentu do rozszyfrowania. Każdy był przekonany, że jest jedynym wybranym rzeczoznawcą. I już są pierwsze efekty.

Gdy Emil zszedł po kręconych schodkach do piwnicznej salki kawiarni, Zebra już na niego czekał. O tej wczesnej godzinie było tu zupełnie pusto, tylko na górze, przy barze, siedziała jakaś para, popijając piwo. Zamówili kawę z ekspresu.

– No to opowiadaj, co masz! – popędził kumpla Emil, zapalając papierosa.

– Mamy już wstępne tłumaczenia – z błyskiem w oku powiedział Zebra. – Konkretnie dwa. Jedno z Krakowa, drugie z Warszawy. Bo ten trzeci jeszcze nie skończył. Okazuje się, że jest to umowa na budowę czy też modernizację południowego odcinka kolei mandzurskiej, zarządzanej wówczas, to znaczy w tysiąc dziewięćset piątym roku – taka data widnieje na dokumencie – przez Japonię. Umowa zawarta została między przedstawicielem rządu Japonii a pewnym prywatnym japońskim towarzystwem z udziałem kapitału zachodniego i opiewa na bajeczną wprost kwotę...

Zebra zawiesił głos i zrobił przerwę, by nabić i zapalić swoją fajkę.

– Dobra. – Emil wypił odrobinę kawy, rozkoszując się jej aromatem. – Ale nadal nie rozumiem, jaki to może mieć związek ze współczesnością. Czy te tłumaczenia czymś się różnią?

– Zaczynasz kojarzyć – uśmiechnął się z satysfakcją Zebra. – Otóż różnią się. W dokumencie wymienione są osoby prezesa, sekretarza i pełnomocnika lub doradcy firmy. Na tłumaczeniu z Krakowa widnieją te trzy nazwiska, nie licząc przedstawiciela drugiej strony. Na tłumaczeniu z Warszawy osobę doradcy pominięto...

- Kto nim był?! – Emil z emocji zapalił następnego papierosa.
- Ha! I tu jest pies pogrzebany. Nazwisko jest chyba dosłownym tłumaczeniem z jakiegoś obcego języka na japoński. Facet musiał być Europejczykiem. Przynajmniej tak sugeruje nasz krakowski tłumacz.
- No gadajże wreszcie! – nie wytrzymał Emil.
- Przełożył to wstępnie na „Brazowy Koń” czy jakoś tak, bo nie jest pewny jednego ze znaków – powiedział wreszcie Zebra.
- Emila zatkało.
- Koń! – wykrzyknął po chwili.
- Koń – potwierdził podkomisarz, pykając fajeczkę. – Mógłby to być na przykład jakiś Brownhorse albo Braunpferd, czy jakoś tak. Ale co nam to mówi, tego jeszcze sam nie wiem...
- Mnie coś mówi – chrząknął Emil. – To mógłby być także Gniady Koń... Gniady, czyli brązowy z czarną grzywą, ogonem i pęciami.
- Gniady?! – wykrzyknął Zebra i zaniemówił.
- Właśnie – mruknął Emil ponuro. – Gniady... Ty każ obserwować tego eksperta z Warszawy! To może być podstawiony facet. Najwyraźniej chciał ukryć nazwisko pana „doradcy”, a mógłby to zrobić bez trudu. Wiadomo, że nikt by się nawet nie kapnął, bo z japońskich krzaczków w życiu nie domyślisz się, że coś pominięto!
- Ale... Gniady?! Ten Gniady?
- Ten to raczej nie – parsknął Emil. – Musiałby mieć teraz ze sto kilkadziesiąt lat!
- Miałem na myśli słynnego bohatera wojennego.
- Zaczynasz kojarzyć! – potwierdził Emil.
- Zebra zajadle ciągnął wygasłą już fajkę. W końcu zde gustowany odłożył ją na blat stolika, obok pustej filizanki po kawie.
- Kurwa jego mać... – wycedził, wciąż jeszcze oszołomiony. – Jeszcze nam tu potrzebny do kompletu skandal polityczny.
- Mówię ci, każ śledzić tego eksperta – wzruszył ramionami Emil. – Czeka, zamówię jeszcze jedną kawę. Czy może wolisz co innego?
- Wódkę! – mruknął Zebra. – Tylko wódka postawi mnie teraz na nogi. Ale, cholera jasna, muszę wracać do pracy. Zamów tę kawę... I jakieś ciastko! Majka zabrania mi jeść słodycze, bo twierdzi, że od tego rośnie mi brzuch. Ale dziś sobie pofolguję.
- Z brzuchem też będziesz piękny! – Mrugnął do niego Emil, już ze schodów.
- Ty mi się chyba nie oświadczasz? – rzucił skonsternowany Marek. Emil, śmiejąc się,

znikł na górze. Po chwili wrócił, niosąc dwie kolejne filiżanki.

– Ciastka za chwilę przyniesie kelnerka – oznajmił. – I zabierze brudne filiżanki. Zamówiłem sernik, bo nic innego nie było.

– Może być – odparł obojętnie Zebra. Najwyraźniej wciąż jeszcze nie minęło mu uczucie oszołomienia. – Ty już od pewnego czasu czepiałeś się tego Gniadego, co?

– Chyba nieszczególnie wierzę w zbiegi okoliczności. – Emil znów wzruszył ramionami. Nauczył się tego gestu od Marty. – Może to dlatego.

– I nie spodobało ci się w jego biurze?

– To też – potwierdził. – Mam do ciebie prośbę. Czy możesz zdobyć albumy rodzinne Zagórnych? Takie ze zdjęciami.

– Chyba tak – odparł zaskoczony Zebra. – A na co ci one?

– Chcę porównać z fotografią, którą otrzymałem od sekretarza Gniadego. Może akurat wśród zdjęć rodzinnych Zagórnych znajdzie się jakaś podobizna tego ich przodka, od którego wszystko się zaczęło. A na zdjęciu Gniadego są też inni oficerowie. Może się znali?

– To możliwe – westchnął podkomisarz. – Nawet powinni się znać...

– Więc postarasz się?

– Jasne. A co mi tam... Najwyraźniej przyszło mi teraz śledzić duchy!

– Czasem duchy są bardziej skuteczne niż nam się wydaje...

Kelnerka przyniosła ciastka. Serniki prezentowały się nad wyraz apetycznie. Zebra od razu uregulował rachunek.

– To ja cię tu zapraszałem – zaprotestował, gdy Emil wyraził gotowość zapłaty za siebie, i z miejsca rzucił się zachłannie na zdobycz.

– Spokojnie! – powściągnął go Emil. – Jeszcze się udławisz! Nikt ci przecież tego nie zabierze! Marysi tutaj nie ma...

– Ale ty jesteś – wymamrotał Zebra z pełnymi ustami.

Emil zerknął na zegarek.

– Ale zaraz znikam – powiedział, kończąc swoje ciastko. – Muszę zdążyć po Martę do muzeum. Poza tym może już odezwał się ten jej japoński profesor. Ma tłumaczenie dokumentu wysłać mailem do was i kopię do Marty. Po angielsku, ale to żaden problem. Zobaczmy, jak on przetłumaczy tego „Konia”...

Sensei Yamamoto stanął na wysokości zadania. Jak z przekonaniem stwierdziła Marta, słynny japoński honor nie pozwoliłby mu na niewywiązanie się z podjętego zobowiązania.

Tak więc, zgodnie z obietnicą, tłumaczenie dokumentu na język angielski czekało na nich od rana w skrzynce mailowej Marty. Zapewne profesor spędził nad nim całą noc.

W drodze do domu Emil zdążył wprowadzić Martę w temat, więc teraz oboje rzucili się przede wszystkim na przetłumaczenie nazwiska „z koniem”.

– Jest! – wykrzyknęła tryumfalnie Marta.

– Czyli tamten ewidentnie to pominął – zauważył Emil. – I chyba nie przez pomyłkę! Celowo, jestem pewny.

– Raczej dość trudno przyjąć, że po prostu nie zauważył – przyznała. – Czekaj. On tu jeszcze pisze, że jutro postara się przekazać nam jakieś informacje na temat Baisona. Super. Ale wracając do tego konia... Nic tutaj nie ma, że brązowy. *Sensei* przetłumaczył ten wyraz jako „Bay horse”.

– Nie znam... Zaczekaj, zaraz to sprawdzę – Emil kliknął szybko w internetowy słownik angielsko-polski. – Bay... Kurczę blade! A to się biedny Zebra ucieszy. Bay znaczy gniady!

– Jak wół – potwierdziła Marta. – Gniady. Dokładniej można by to przetłumaczyć jako Gniadosz. Japończycy musieli mieć kłopot z tym nazwiskiem. Zwracam honor. Chyba jednak miałeś rację, kochany...

Rozdział 26

Tym razem i Zebra – który również otrzymał tłumaczenie profesora Yamamoto drogą elektroniczną – nie miał wątpliwości. Tym bardziej, że kilka godzin później dotarła do niego wiadomość od drugiego krakowskiego eksperta. Jego przekład zgadzał się z pozostałymi – z wyjątkiem szczegółu w przekładzie warszawskiego naukowca – a problematyczne nazwisko tłumaczył jako „Brązowy (lub Gniady) Rumak”. Zebra zlecił więc dyskretną obserwację biura polityka Jana Gniadego, a podejrzanego tłumacza kazał nie spuszczać z oka.

Nadal jednak nie potrafili powiązać końca z końcem i wyjaśnić motywu zbrodni.

– Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze – wyraził swoje zdanie Emil.

– Ale jakie pieniądze, sprzed ponad stu lat, mogą tu wchodzić w grę?! – głowił się Zebra. – Przecież kolej transsyberyjska została już dawno zbudowana, a Mandżuria należy do Chin Ludowych. Ten kontrakt stracił ważność dziesiątki lat temu, a każda z tu wymienionych osób rozpadła się w proch i pył.

– Nie wiem. Chyba tylko sam pan Gniady Ogier mógłby nam na to pytanie odpowiedzieć. Lecz, jak się domyślam, dobrowolnie tego nie zrobi...

– Nie mamy żadnych podstaw, by go przycisnąć – powiedział podkomisarz i rozłożył bezradnie ręce. – Nazwisko Gniady Rumak, czy jak mu tam, w egzotycznym starym dokumencie, to jednak trochę za mało. Wyśmiałyby nas albo oskarżyły o prześladowanie na tle politycznym. Śmierdzące jajo... Nie mamy żadnych dowodów, które wiązałyby go z tymi morderstwami. Nawet motywu tak naprawdę nie mamy!

– To nie jest śmierdzące jajo – zanegował tę opinię Emil. – To drapieżnik.

– Jedyna szansa to przyłapać go na gorącym uczynku. Mamy dziada na oku, w razie gdyby znowu zamierzał zapolować. Byle tylko nie okazało się za późno – stwierdził Zebra z goryczą.

Tymczasem Marta – zgodnie z oczekiwaniami – otrzymała kolejnego maila od profesora Yamamoto. Gdy Emil wrócił do domu, zastał ją na gorączkowym tłumaczeniu listu z angielskiego na polski.

– Już kończę! – oznajmiła z błyszczącymi oczyma. – Słuchaj, to jest sensacja!

– Poważnie?...

Emil był pełen powątpiewania. Dla Marty „sensacja” oznaczała trochę co innego niż dla niego, a tym bardziej dla policji. Mimo zaangażowania w śledztwo, pozostawała przede wszystkim historykiem sztuki, pasjonatką swego zawodu.

– Zaparz herbaty, bo ja nie miałam czasu! – rzuciła niecierpliwie. – Zaraz skończę i przeczytam ci całość...

Posłusznie udał się do kuchni i zajął parzeniem esencji. Za nim przydreptał Bolero, nasypał więc kotu chrupek do miseczki. Przez cały czas myślał intensywnie, jaki związek może istnieć między współczesnym gdańskim prominentem a nazwiskiem jego przodka – obecność tego człowieka w Japonii w owym czasie było niemal pewna – na starym dokumencie znalezionym w oprawie drzeworytu.

Właśnie nalewał herbatę do kubków, gdy Marta zawołała z pokoju, żeby się pośpieszył. Wyglądała na bardzo podekscytowaną.

– Pomału wszystko zaczyna mi się rozjaśniać... – oświadczyła. – *Sensei* jest po prostu nieoceniony! Dotarł do oryginalnych źródeł, dawnych gazet, korespondencji dyplomatycznej, a nawet archiwów policyjnych z tamtego okresu oraz materiałów wydawnictwa Hasegawa. Bez niego błędzilibyśmy po omacku!

– No to czytaj.

Emil zapalił papierosa i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Na jego kolanach ułożył się Bolero, zde gustowany gwałtownymi ruchami ukochanej opiekunki, które uniemożliwiały spokojny sen w jej ramionach.

– Posłuchaj tylko! – Marta dramatycznie zawiesiła głos. – Najpierw grzecznościowe formułki, ble, ble, ble... Dobra, odtąd... Czytam tak, jak to na gorąco przetłumaczyłam:

Malarz Baison miał siostrę, słynną z urody i inteligencji, która była znaną i wpływową gejszą. Nazywano ją Yukasan. Jej rad słuchali nawet najważniejsi dygnitarze. Gościła w najlepszych salonach ówczesnego Tokio i tam poznała pewnego pruskiego oficera marynarki, którego okręt stacjonował wówczas w Jokohamie. Młody człowiek zakochał się w niej bez pamięci, a dziewczyna odwzajemniała jego uczucia. Była to tak wielka miłość, że przetrwała liczne rozstania i powroty, aż wreszcie – wbrew przyjętym obyczajom – oficer postanowił poślubić Yukasan i osiąść na stałe w Japonii lub zabrać żonę do Europy. Podobno zamówił u jej brata, z którym był zaprzyjaźniony, cykl drzeworytów z wizerunkami ukochanej, by

umieścić je w książce z miłosną poezją własnego autorstwa. Miał to być oryginalny prezent ślubny dla Yukasan. Można domniemywać, że tomik planowano wydrukować w słynnym wydawnictwie Hasegawa, z którym współpracował Baison. Książka jednak prawdopodobnie nigdy nie ujrzała światła dziennego, a drzeworyty zaginęły, lecz nie wiadomo, czy to tylko legenda czy prawda. Źródła mówią, że drzeworyty były małymi arcydziełami i wzbudzały zachwyt u każdego, kto mógł je zobaczyć. Baison podobno uwielbiał siostrę i w wykonanie prac włożył całe swoje serce i duszę. Rodzeństwo od dzieciństwa było sierotami, stąd wzajemne przywiązanie. Dalszy ciąg tej historii jest jeszcze bardziej niepewny i pełen zagadek. Wydarzyła się wielka tragedia. Pewnego dnia kochanków znaleziono martwych, brutalnie zamordowanych, w domu Yukasan przy ulicy Ginza, który gejsza otrzymała niegdyś w darze od jakiegoś bogatego patrona. Zginęli w tajemniczych, nigdy nie wyjaśnionych okolicznościach, a wraz z nimi młodociana służąca i podopieczna Yukasan, która prawdopodobnie była maiko – kandydatką na gejszę... Morderca – lub mordercy – splądrowali dom i zniszczyli między innymi wszystkie zdjęcia oraz pamiątki. Nie wiadomo, z jakiej przyczyny. Dlatego nigdzie nie zachowały się żadne fotografie Yukasan. W tamtych czasach prywatne zdjęcia były jeszcze rzadkością, nie wykonywano ich tak często jak dziś.

Zabójstwo wzbudziło wielkie emocje, lecz śledztwo nie przyniosło rezultatów. Istniało kilka niepotwierdzonych hipotez. Jedna z nich mówiła nawet, że kochanków zamordował brat Yukasan, malarz, czyli Baison, by nie dopuścić do skandalu. Jest to oczywistą bzdurą, ponieważ artysta nie miał nic przeciwko związkowi siostry z Europejczykiem, był nawet zaprzyjaźniony z jej narzeczonym, a poza tym zawsze głosił nowoczesne poglądy. Inne hipotezy zakładały krwawą zemstę byłego kochanka lub japońskiego nacjonalisty, gdyż w tamtej epoce zdarzały się przypadki prześladowań lub nawet zabójstw japońskich kobiet, które zadawały się z gajdzinami, czyli z białymi.

Lecz to nie koniec tej smutnej historii. Wkrótce po morderstwie zaginął bez śladu także sam Baison. Wybrał się ponoć z pielgrzymką na świętą górę Fuji i już z niej nie powrócił. Ponoć Baison miał, odziedziczoną po rodzicach, chatkę nad jeziorem Biwa, także na wyspie Honsiu. Początkowo myślano, że tam się zasztył, by opłakiwać śmierć ukochanej siostry, i w związku z tym nikt nie chciał go niepokoić. Jednak gdy w końcu wysłannik Hasegawy wybrał się do domku, nie zastał tam żywego ducha, a o Baisonie wszelki śluch zaginął. Sądzono wówczas, że pewnie oszalał z rozpaczy, porzucił swój zawód i poszedł w świat albo został buddyjskim mnichem.

To w zasadzie koniec... – Marta uniosła głowę. – A przynajmniej profesor na tym kończy swoją opowieść. Są to wszystkie informacje, jakie udało mu się odszukać. Pisze jeszcze, że wybrał się nawet nad jezioro Biwa w poszukiwaniu chatki Baisona, ale Honsiu nawiedziły w ciągu wieku liczne trzęsienia ziemi, w tym jedno bardzo poważne w latach dwudziestych, a poza tym takie domki budowano z niezbyt trwałych materiałów, więc nie znalazł po niej nawet śladu. Dalej następują już tylko grzecznościowe formułki, pozdrowienia i tak dalej...

Zamilkła, wyraźnie wzruszona. Zerknęła spod oka na Emila, również zamyślonego po wysłuchaniu opowieści. Machinalnie drapiąc za uchem śpiącego Bolera, wpatrywał się w wiszące na ścianie drzeworyty.

– Piękne, prawda? – Marta pierwsza przerwała milczenie.

– Tragiczne... – odparł Emil, odrywając wzrok od obrazków. – Biedna Yukasan... To dlatego jej cień nie daje nam spokoju. Musi istnieć związek między tamtą historią a obecnymi morderstwami! Trzeba go wykryć, bo najwyraźniej inaczej ta fatalna passa nigdy się nie skończy...

– Mówisz jak nawiedzony. – Uśmiechnęła się Marta. – Żartujesz, prawda?

– Sam nie wiem. – Odwzajemnił uśmiech, lecz mimo to jego wzrok pozostał smutny. – Może coś w tym jest?

Marta również spojrzała na drzeworyty.

– Jestem pewna, że to są te – powiedziała. – Nasza Yukasan była śliczna, prawda? Te drzeworyty są naprawdę arcydziełami. Od razu mówiłam! Teraz przynajmniej już wiemy, dlaczego nikt nie pamięta o Baisonie! Po prostu nic więcej nie stworzył. Skończył karierę jako młody artysta. I przepadł bez wieści. Ciekawe, co się z nim stało...

Emil wzruszył ramionami i zapalił papierosa. Oburzony Bolero, znów niepokojony przez nadmiernie ruchliwe dwunożne istoty i zniesmaczony dymem, który dostał mu się do nosa, zeskoczył ostentacyjnie z jego kolan i rozłożył się na biurku Marty.

– Może rzeczywiście zdziwaczał i został jakimś pustelnikiem, popełnił *seppuku*, albo wyemigrował, albo zaciągnął się na cudzoziemski okręt? Kto to może teraz stwierdzić, po tylu latach! – zauważył.

– I myślisz, że nawet po latach nie wróciłby do malowania?

– Cholera wie – skwitował. – Ludzie różnie reagują, a zrozumieć Japończyka jest chyba jeszcze trudniej, bo to dziwny naród...

– Gadanie! Ludzie tylko z pozoru się różnią, a tak naprawdę to tylko formą, bo w głębi duszy wszyscy jesteśmy do siebie podobni – zdenerwował się Marta. – Nie powielaj

stereotypów. Tylko kultura nas dzieli, geny mamy wspólne.

– Pewnie masz rację – Emil szybko sprowadził rozmowę z powrotem na właściwe, a także znacznie bezpieczniejsze tory. – Może w końcu dojdziemy i do tego, co się stało z Baisinem. Na razie jednak co innego mnie dręczy... Tajemniczym kochankiem był zapewne przodek Zagórnych, oficer Kriegsmarine. Logika by na to wskazywała, choć stuprocentowej pewności nie ma. Ale zakładam, że to jednak był on. Hmm... No to już wiemy, jak zginął. Nie wiemy, dlaczego. Wygląda na to, że rodzina była przez oficjalne czynniki nieźle zwodzona, skoro taka sensacja jak morderstwo pozostała bez echa w rodzinnych przekazach. No i co z tym wszystkim miał wspólnego ukryty dokument?

Rozdział 27

Sfrustrowany Emil kręcił się beczynn timer po domu, nie mogąc na niczym skupić uwagi. Impas w śledztwie dobijał go. Z jednej strony przybywało informacji, z drugiej wyglądało na to, że nic nie mogą zrobić. Tylko czekać. Na co? Na kolejne morderstwo?!

Marta była w pracy, a on nie miał nic konkretnego do roboty. Nawet w redakcji *Rozgwiad y* nie mieli chwilowo zapotrzebowania na nowe teksty. Godzinami przeglądał więc zebrane materiały, wpatrywał się w drzeworyty i klął pod nosem, paląc przy tym niezliczone ilości papierosów i wyszukując kolejne bezsensowne zajęcia.

Nagle przypomniała mu się niedawna uwaga Marty, że drzeworyty trzeba będzie jak najszybciej oprawić w nowe *passe-partout*, ponieważ stare zaczyna już atakować pleśń, która może rozprzestrzenić się wkrótce na same grafiki. W dawnych ramach powierzchnia papieru nadmiernie przylegała do szkła, więc nie miał on czym oddychać i zaczął rozwijać się grzyb. Emil dostrzegł w tym swoją szansę: sam oprawi grafiki na nowo. Decyzja ta przywróciła mu odrobinę energii. Z zapalem zajął się poszukiwaniem odpowiedniego materiału na *passe-partout*. W szufladzie znalazł parę arkuszy eleganckiego, kremowego, ozdobnie tłoczonego kartonu z zapasów Marty. Usatysfakcjonowany zabrał się do pracy w towarzystwie Bolera, który z upodobaniem rozłożył się na gazecie, przyglądając się uważnie jego zaimprovizowanemu warsztatowi papierniczemu.

– Będiesz oceniał efekt, staruszk u – Emil podrapał kocura za uchem. – Tylko nie wytwarzaj się w kleju, bo nas Marta zabije!

Zdjął drzeworyty ze ściany i ostrożnie wyjął z ramek. Rzeczywiście, stare *passe-partout* cuchnęło już lekko pleśnią i gdzieśgdzie widniał na nim zielonkaw y nalot. Na szczęście same grafiki nie ucierpiały. Zabrał się do uwalniania ich z *passe-partout*, podziwiając jednocześnie prześliczny, cieniutki jak bibułka, delikatnie karbowany papier, na którym zostały odbite. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego Marta traktuje papier nie jak martwy materiał, lecz jak żywą, oddychającą tkankę. Zawsze twierdziła, że papier, szczególnie szlachetny gatunkowo, ręcznie czerpany – jak ten – sam w sobie posiada duszę.

Zdjął już *passe-partout* z trzeciego drzeworytu i zabrał się za kolejny. Był to wizerunek dziewczyny z parasolką – jego ulubiony. Wciąż nie mógł jeszcze przyzwycząić

się, że dziewczyna odzyskała imię. Piękna, nieszczęsna Yukasan...

Naraz pod kartonem wyczuł jakieś zgrubienie. A co to, do licha? Zaintrygowany obejrzał dokładnie *passe-partout* i od spodu ujrzał wybrzuszenie oraz wyraźne ślady klejenia. Rozerwał karton. Pod nim znajdowała się kieszeń, jakby koperta, podobna do tej, w jakiej znaleziono dokument – tylko bardziej biała.

Zrobiło mu się gorąco. Bolero przyglądał mu się uważnie i czujnie, jakby dobrze wiedział, o co chodzi. Koty znają wszystkie tajemnice – twierdziła Marta. Sięgnął do środka drżącymi z emocji palcami. Natrafił na ciasno złożone kartki papieru...

Z biciem serca wyciągnął je na światło dzienne. Okazały się mocno pożółkłe i nosiły zatarte ślady liniowania. Stary papier listowy – ocenił od razu. Pokryty był wysmukłymi, szlachetnie pochylonymi, nieco rozmytymi w kilku miejscach staroświeckimi literami, zapisanymi starannie wyblakłym zielonym atramentem...

– Marto, mam coś niesamowitego! Wracaj zaraz do domu! – Emil krzyczał zdyszonym głosem do słuchawki. – Nie, nie zwariowałem! Urwij się, zwolnij, jak najszybciej! Dasz radę sama przyjechać? Wolałbym teraz nigdzie nie wychodzić... Zamów taksówkę... Tylko błagam, pospiesz się!

– Ale co się stało, na miłość boską?! – przerwała mu wreszcie poważnie zdenerwowana Marta.

– Znalazłem coś! Coś ważnego! Pod *passe-partout* drzeworytu! Chciałem je na nowo oprawić i... to tam było schowane... To jest list! Stary list!

– O rany... – Martę zatkało. – Znowu po japońsku?!

– Nie, tym razem nie, na szczęście...

– A po jakiemu? Zaraz jadę! Ale co jest w tym liście?! Przeczytałeś?

– Nie czytałem. – Emil, trzymając telefon przy uchu, jedną ręką zapalił papierosa. – To jest chyba po niemiecku, to znaczy – na pewno pisane jakąś cholerną archaiczną kaligrafią. Zawijasy takie, że nawet ze słownikiem nie dam rady!

– Dałeś znać Markowi?

– Nie, jeszcze nie. Najpierw chcę, żebyś ty to przeczytała...

– Jadę!

Oczekując niecierpliwie na powrót Marty – aby zająć czymś ręce i umysł – Emil oprawił drzeworyty w nowe *passe-partout* i ponownie powiesił je na ścianie. Prezentowały się teraz znakomicie, lecz w tym momencie nie był w stanie tego faktu docenić. Zaparzył cały

dzbanek mocnej kawy i wypalił z pół paczki papierosów, zanim wreszcie rozległ się zgrzyt klucza w zamku i Marta, zarumieniona z pośpiechu i emocji, wpadła jak wiosenna burza do mieszkania.

Rozdział 28

Pisane dnia 15 listopada 1905 roku

Nie tytułuję tego listu, gdyż nie wiem, kto będzie miał okazję go czytać, o ile w ogóle będzie taka możliwość (oby nie okazało się to konieczne). Proszę mi wybaczyć także chaotyczność opisu, lecz sytuacja nie należy do typowych, a ja bardziej nawykłem do pisania raportów oraz poezji, niż do relacjonowania intryg. Czuję się jednak w obowiązku spisać to, co wbrew mojej woli stało się mi wiadomym – na wypadek, gdyby coś mnie złego spotkało na morzu lub lądzie w tych niespokojnych czasach.

Rzecz jest dla mnie w dwójnasób przykra, ponieważ dotyczy mego towarzysza i przyjaciela, a także oficera marynarki, w której obaj służymy, Fredericka Gniady, w pewnych kręgach Kraju Kwitnącej Wiśni zwanym przez miejscowych „Gniadym Rumakiem”. Oficerski honor nakazuje mi przeciwdziałać jego upadkowi, a także splamieniu dobrego imienia gdańskiej marynarki, bo jest dla mnie święte, jak święte jest miasto, gdzie obaj spędziliśmy najpiękniejsze chwile naszego dzieciństwa i młodości.

By nie rozpisywać się zbyt wiele, dodam tylko, że intryga owa miała miejsce tutaj, w Japonii, gdzie stacjonujemy z misją dyplomatyczną i wojskową, a rozpoczęła się podczas trwania wojny z Rosją. Frederick Gniady wdał się potajemnie w niechlubne interesy – co już samo w sobie jest wysoce naganne – z miejscowymi przedsiębiorcami działającymi na terenie Mandżurii i powiązanymi z budową kolei, odebranej w ramach działań wojennych Rosjanom.

Gdyby tylko na tym się skończyło, zapewne bym milczał i tylko błędnie przyjacielowi uwagę zwrócił, co o takim postępowaniu myślę. Jednak rzecz miała swój dalszy ciąg, którego już przemilczeć nie mogę. Nie wszystko w tym względzie jest dla mnie do końca zrozumiałe – nie znam się na interesach – ale wiem jedno i to z samych ust zainteresowanego.

Otóż Frederick Gniady miał nielegalne udziały w pewnym przedsięwzięciu, któremu służył jako biały „doradca”. Owszem, rodzina jego w Gdańsku od lat zajmowała się handlem oraz różnorodnymi interesami na wielką skalę, więc i on tym samym mógł czuć się w tym zakresie biegłym.

Właściciel firmy, zamożny Japończyk nazwiskiem Hiramoto, był już wiekowym i chorującym człowiekiem. Za namową Fredericka podpisano kontrakt na przebudowę części kolei mandżurskiej, finansowany przez kręgi rządowe Japonii. Jednak zanim przystąpiono do realizacji projektu, Hiramoto nagle zmarł, wszystkie swoje uprawnienia i udziały zapisawszy w ostatniej chwili w spadku „Gniademu Rumakowi”, mimo że posiadał naturalnych spadkobierców. Frederick wiedział dobrze, że jako oficer obcej marynarki nie mógł patronować przedsięwzięciu, doprowadził więc do bankructwa firmy. Przy pomocy intryg dyplomatycznych odstąpił mandżurski kontrakt innemu wpływowemu miejscowemu przedsiębiorstwu za odpowiednio wysokie wynagrodzenie. Wskutek defraudacji zdobył tym samym wielki majątek, czym się obecnie wobec przyjaciół szczyci (przynając cynicznie, iż planuje wywieźć go do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej oraz, porzucając służbę i Ojczyznę, tam osiąść).

Z jego własnych ust wiadomo mi, że ostatnia wola Hiramoto została sfalszowana, a udział w owej mistyfikacji wziął też pewien wielce szanowany i powszechnie znany tokijski notariusz, przekupiony i szantażowany przez Fredericka. Protesty legalnych spadkobierców, w których posiadaniu znajduje się prawomocny testament, na nic się zdały, gdyż w oszustwo zamieszane są poważane osoby z miejscowego establishmentu.

Ale na tym jeszcze, niestety, nie koniec tej wstydlivej historii. Z pewnych źródeł, za pośrednictwem mojej japońskiej Narzeczonej, która utrzymuje od lat ściśle przyjaźnie w najwyższych miejscowych kręgach, wiadomo mi o groźnych plotkach związanych z tą sprawą. Są osoby, które twierdzą, jakoby Frederick Gniady przyczynił się osobiście i z premedytacją do śmierci Hiramoto, jednym słowem, iż go otrul, a także, że w czasie trwania wojny Japonii z Rosją szpiegował na rzecz obu stron (mając znajomości wśród jednych i drugich), na co istnieją ponoć niezbita dowody. W to już jednak żadną miarą nie mogę i nie chcę uwierzyć, i składam owe plotki na karb ludzkiego zamięłowania do najpodlejszych intryg. Znam Fredericka od lat chłopięcych i jestem szczerze przekonany, że nie jest on zdolny ani do morderstwa, ani do zdrady.

Moim zamiarem jest rozmówić się w cztery oczy z przyjacielem i nakłonić go do przyznania się i oczyszczenia z zarzutów oraz honorowego naprawienia krzywd.

W tym celu spotkam się z nim niebawem w nadziei, iż uda mi się go skłonić do opamiętania. Gdyby jednak moje starania nie odniosły pożądanego rezultatu, zamierzam zameldować o wszystkim właściwym władzom, a list ten przekazać za pośrednictwem rodziny i przyjaciół do wglądu i osądzenia dowództwu marynarki. W przekonaniu, że Frederick może okazać się zdeterminowany, i będzie chciał zniszczyć list, gdy tylko się o nim dowie, wyślę go

zaufanym osobom w tajemnicy, przemyślnie ukryty wraz z dokumentem, który zdobyłem od Fredericka podstępem. Tymczasowo schowam oba pisma w kufierku mojej Narzeczonej z jej przyborami do pisania, a kuferek ukryję w bezpiecznym miejscu. Go będzie dalej – nie wiem, lecz nich mnie Bóg wspomóż w słusznej sprawie, która kamieniem leży mi na sercu!

*Oberleutnant zur See
(porucznik marynarki)
Jan Knoblock*

Zapadło długie milczenie.

– No to wszystko jasne... – jako pierwszy odezwał się Emil, zapalając papierosa. – Chyba nie ma już żadnych wątpliwości, co?

– Zabił ich! – zawołała Marta z oburzeniem w głosie. – To on ich zamordował, tamten Gniady, przodek obecnego. Sukinsyn! Dla forsy! A ten biedak wierzył, że jego „przyjaciel” nie jest skłonny do morderstwa i zdrady...

– I pewnie dlatego zginął – dodał Emil ponuro. – Gdyby w to nie wierzył, pewnie uchroniłby i siebie, i swoją narzeczoną. Ale normalny, zdrowy na umyśle człowiek nigdy nie wierzy w to, że ktoś znajomy może okazać się potworem w ludzkiej skórze...

– Słuchaj, to jest dowód! Tylko jeden Gniady miał motyw, by nie dopuścić do rozpowszechnienia tych informacji! Mówię teraz o obecnym Gniadym. To byłby koniec jego kariery! I to teraz, w najważniejszym momencie jego życia, przed wyborami! Przecież cała jego reputacja oparta jest na tym wzniosłym, „patriotycznym” micie, związanym z bohaterską przeszłością rodu Gniadych! A tu co się okazuje?... Nie tylko złodziej, ale także zdrajca i morderca! I zdaje się, że niedaleko padło jabłko od jabłoni! – Marta zerwała się z krzesła i zaczęła krążyć po pokoju. – Zadzwoń do Zebry!

– Swoją drogą, to intuicja cię nie zawiodła z tą szkatułką czy też kufierkiem, jak zwał, tak zwał – Emil spojrzał na nią z uznaniem.

– Nie wiem dlaczego, ale pomyślałam sobie, że może nie przypadkiem znalazła się na drzeworycie. – Wzruszyła ramionami. – Mniejsza z tym. Dzwoń do Zebry!

– Masz rację – pokiwał głową. – Zaraz do niego podjadę. Zawiozę mu ten list. I przy okazji, druknij mi też twoje tłumaczenie... Zebra co prawda zna niemiecki, ale z tymi zawijasami to mógłby mieć problem. Aha, i na wszelki wypadek najpierw sfotografuję i zeskanuję list. Żeby już nie było żadnych niespodzianek.

– Lepiej odpukaj – mruknęła Marta.

Rozdział 29

Zebra westchnął, odkładając na biurko list wraz z tłumaczeniem.

– No tak – mruknął. – Macie rację. To z pewnością jest motyw...

– Ale? – podchwycił Emil, wyciągając sobie popielniczkę z przemyślnie ukrytego schowka, który dobrze znał. Zapalił papierosa.

– No właśnie – podkomisarz westchnął jeszcze boleśniej. – Ale... Jestem tak samo jak ty przekonany, że Gniady maczał w tym palce. Mało tego – sędzę, że to on kryje się za tymi morderstwami. Ale dobrze wiesz, w jakim świecie żyjemy... To poszlaka, a nie dowód zbrodni! A jeśli już, to raczej na przodka naszego Gniadego, a ten i tak od dawna wacha kwiatki od spodu... Gniady wyprze się, zaprzeczy, jakoby cokolwiek o tym wiedział, i możemy mu naskoczyć. Ten facet ma wpływy wszędzie, to potentat! Prędzej on nas zniszczy, niż my jego.

– Jego przodek też miał wpływy – wtrącił Emil. – Dlatego był bezkarny. I sam widzisz, jak się to wszystko skończyło.

Zebra ciężko usiadł za biurkiem.

– Ja cię rozumiem! – powiedział z naciskiem. – Gdyby to ode mnie zależało... Ale nasze odczucia to jedno, a życie życiem.

– To morderca. Kto musi jeszcze zginąć, żeby ważny pan Gniady mógł spokojnie i z wysokiego stołka pouczać naród, jakimi wartościami ma się w życiu kierować?

– Chyba my wszyscy. – Marek uśmiechnął się gorzko. – Powinniśmy zginąć. Nie wiem, co robić. Ten list daje nam przynajmniej pretekst do przesłuchania go. Innego pomysłu na razie nie mam.

Emil zgasił papierosa i od razu zapalił następnego.

– Ale ja mam – oznajmił. – Trzeba jak najszybciej rozpowszechnić te wiadomości o jego przodku. Biorę to na siebie.

– Czeka cię proces!

– Mam to w dupie.

– Stary, to jest niebezpieczny facet! – zdenerwował się Zebra. – Ty chyba kompletnie oszalałeś. Ostrzegam cię, w grę wchodzi żywy pomnik, który zresztą sam sobie wystawił,

jeden z symboli Gdańska! A jednocześnie, jak się domyślamy, bezwzględny morderca. Na co ty chcesz się rzucać? Z motyką na słońce? Zostaw to już lepiej policji!

– Ani mi się śni – Emil zaśmiał się sarkastycznie. – Za dobrze to znam, i ty zresztą też. Sprawa rozmyłaby się jak tysiące podobnych. Sam to przed chwilą w zawołany sposób dałeś do zrozumienia. I słusznie. Ten facet jest normalną drogą nie do ruszenia. Święta krowa. Ale ja go, do cholery, ruszę...

– Ja ci dobrze radzę: uważaj!

– Za bardzo jestem zdeterminowany. Nie dam się gnojowi wywinąć. Oczywiście, że będę uważał, spokojna głowa. Życie mi jeszcze miłe, szczególnie teraz, kiedy się nareszcie ułożyło. Przemyślę sobie na spokojnie, jak by to najlepiej zrobić. – Uśmiechnął się niewinnie. – A ty mnie w razie czego pomścisz. Gdyby coś nie wyszło!

Zebra skrzywił się z niesmakiem, kiedy Emil mrugnął do niego porozumiewawczo. Od lat wiedział doskonale, że jego przyjaciel – kiedy się zaprze jak osioł – staje się głuchy na wszelki głos rozsądku.

– Też mam coś dla ciebie – przypomniał sobie, sięgając po gruby, staroświecki album fotograficzny oprawiony w podniszczone szkarłatne płótno. – Interesowały cię zdjęcia rodzinne Zagórnych, zdaje się...

Emil gorączkowo rzucił się na fotografie. Starych zdjęć było niewiele, jednak wśród wyblakłych podobizn poważnych matron w dziwacznych kapeluszach oraz zabawnie ostrzyżonych dzieci w strojach komunijnych lub w marynarskich ubrankach, znalazł jedno, które przedstawiało młodego człowieka w mundurze oficerskim marynarki wojennej. Mężczyzna wyglądał najwyżej na dwadzieścia kilka lub trzydzieści lat i wbrew ówczesnemu obyczajowi uśmiechał się pogodnie w stronę kamery. Miał ciemne włosy, równo przystrzyżony wąsik, spokojne jasne oczy oraz sympatyczną otwartą twarz, pełną wewnętrznego uroku.

Emil ostrożnie wyjął portret z fotonaróżników, ale na odwrocie nie było żadnego podpisu ani nawet daty, tylko stary stempel zakładu fotograficznego w Danzigu. Koszmarny zwyczaj niepodpisywania zdjęć! – skonstatował w duchu.

Pospiesznie wyjął z torby kserokopię, otrzymaną w biurze Gniadego, i porównał obie fotografie, sięgając nawet po lupę leżącą na biurku podkomisarza.

– Jest! – Wskazał tryumfalnie palcem. – Patrz! To on, jak w mordę. Ten sam. Tuż obok tego... Gniadego Ogiera.

Zebra przyjrzał się zdjęciom.

– On, na bank – potwierdził. – Tutaj chyba trochę poważniej wygląda. No, to by

potwierdzało, że rzeczywiście się znali. Swoją drogą, sympatyczny chłopak.

– Sympatyczny – zgodził się Emil. – Tym bardziej mam nadzieję, że i jeden, i drugi Gniady będą smażyć się w piekle po wieki wieków. Amen.

– Ty przecież nie wierzysz w piekło? – Zebra uśmiechnął się do niego dobrotliwie.

– To zależy od okoliczności. Czasem jestem gotów uwierzyć. Skserujesz mi to zdjęcie? Marta na pewno będzie ciekawa, jak on wyglądał.

Podkomisarz zawahał się, po czym podał fotografię Emilowi.

– Możesz je sobie zabrać – odparł. – I tak już chyba nikomu nie będzie potrzebne. Nie ustalono jeszcze, kto dziedziczy po Zagórnych, bo nikt z bliższej rodziny już nie pozostał, ale jedno stare zdjęcie i tak nikogo nie zbawi. Oprawcie je i powieście obok portretów ukochanej...

Emil gonił we śnie kogoś niewidzialnego, czającego się gdzieś w pustych mrocznych przestrzeniach, gdy naraz z mglistych oparów ciemności wyrwał go przenikliwy, przeciągły krzyk – jakby płacz dziecka – a po chwili poczuł gwałtowne szarpnięcie. Natychmiast otworzył oczy i usiadł na łóżku. Przez zasłonięte przejrzystymi frankami okna wpływała do pokoju blada księżycowa poświata, zalewając wszystko swym srebrzystym blaskiem, który odrealniał nawet najbardziej rzeczywiste sprzęty. Być może to ona sprawiła, że poczuł dziwny lęk.

– Ciiicho! – usłyszał szept Marty. Nie leżała obok niego, tylko kucnęła boso i w pizamie na podłodze, potrząsając go za ramię.

– Co się stało?! – Z miejsca oprzytomniał.

– Ktoś jest pod naszymi drzwiami – wyszeptała. – I dłubie przy zamku...

– Może ci się śniło?

– Obudziłam się nagle – odparła wciąż szeptem. – I usłyszałam ten chrobot w drzwiach. Wtedy wrzasnął Bolero i chrobot ucichł. Ale kot wciąż warczy pod drzwiami. Ktoś tam jest, mówię ci!

Emil zerwał się z łóżka, wziął z nocnego stolika swoją zapalniczkę z miniaturową latarką i zaczął skradać się do przedpokoju.

– Zostań! – syknął do Marty, która podążyła za nim.

– Mowy nie ma... – odszepnęła stanowczo, trzymając się tuż za jego plecami.

W korytarzu panowały całkowite ciemności, słychać było tylko głuchy, ostrzegawczy warkot Bolera. Emil nacisnął guzik latarki i w jej nikłym, czerwonym świetle ujrzął kota

z najeżoną sierścią i napuszonym ogonem nasłuchującego pod drzwiami. Naraz klamka poruszyła się lekko, a po chwili coś cicho zgrzytnęło w zamku. Emil zastygł. Marta chwyciła go kurczowo za ramię. Kocur zawarczał głośniejsze i bardziej wibrująco, po czym z jego piersi wydobył się cieniutki bojowy zaśpiew. Emil złapał to, co miał pod ręką – wiszący na wieszaku parasol Marty z ostrym szpikulcem – i ostrożnie zbliżył się do drzwi. Zaskrzypiała deska podłogi. Chrobot nagle umilkł...

W tym momencie Marta zakłęła pod nosem i zapaliła raptownie wszystkie światła w przedpokoju, a także w przylegającym do niego salonie. Emil zamrugał, oślepiony nagłą jasnością. Zachwiał się i odruchowo oparł się na wieszaku, który z potężnym hukiem runął na podłogę.

– Dzwonię na policję! – oznajmiła Marta głośno, z determinacją chwytając za słuchawkę telefonu stojącego na szafce pod lustrem.

Na klatce schodowej rozległ się tupot butów i głośne trzaśnięcie drzwi wejściowych. Gdy Marta łączyła się z Zebłą, Emil dopadł okna – lecz z ciemności doszedł go już tylko ryk zapuszczanego silnika samochodu.

Emil wystukał ostatnie linijki tekstu, przebiegł go wzrokiem jeszcze raz i zapisał, po czym skopiował plik do e-maila i kliknął „wyślij”. Następnie zadzwonił z komórki do redakcji *Rozgwiadzy*.

– Tu Żądło – powiedział pospiesznie. – Czy zastałem jeszcze Szymona? Albo Ewę? Rozumiem... No to trudno. Proszę tylko powtórzyć, że w redakcyjnej poczcie czeka ważna wiadomość. I pewien materiał w załączniku... No, owszem, dość pilne, ale bez przesady. Do jutra przecież odbiorą... Tak. Dobra. Dzięki.

– Co ty chcesz zrobić? – dopytywała się Marta.

– Zaraz sama zobaczysz – odparł, przerzucając strony w swoim notesie. – Jest...

Kiedy ponownie sięgnął po telefon, Marta zajrzała mu przez ramię i przeczytała: „Biuro wyborcze J. Gniady”.

– Emil?!

Lecz on tylko uciszył ją wymownym gestem dłoni.

– Mówi Emil Żądło – powtórzył. – Muszę pilnie rozmawiać z panem Gniadym... Osobiście. Tak, to jest bardzo ważna sprawa. Dotyczy pewnych nowo odkrytych dokumentów, które z pewnością zainteresują pana prezesa.

Rozdział 30

Kolejną noc przesiedzieli, nie śpiąc wcale. Spędzili ją głównie w kuchni, przy pozapalanych światłach i mocnej kawie, udając, że czytają książki, choć żadne nie mogło się ani przez chwilę skupić. Nawet rozmawiali niewiele. Emil wypalił paczkę papierosów, a Marta mniej więcej połowę. Nad ranem udało im się trochę zdrzemnąć, lecz Emil i tak budził się czujnie na każdy szelest.

Około dziesiątej zerwał go dzwonek telefonu. Zabrział w jego uszach jak alarm.

– Włącz wiadomości! – krzyknął w słuchawkę Zebra. – Jadę do was!

I natychmiast się rozłączył.

Marta otworzyła oczy, przetarła je i rozprostowała się na fotelu.

– Kto to dzwonił? – zapytała.

– Zebra – odparł, włączając telewizor.

Sensacja ogarnęła wszystkie stacje. Spikerzy telewizyjni z ogniem w oczach relacjonowali bombę sezonu:

Znany gdański biznesmen i polityk, kandydat na prezydenta RP, Jan Gniady, nie żyje!

Marta poderwała się z miejsca i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w ekran. Emil, nie odrywając wzroku od telewizora, wymacał w kieszeni zmięte pudełko papierosów, znalazł w nim ostatniego niedobitka i zapalił.

Słynnego polityka znaleziono martwego nad ranem w gabinecie jednej z jego luksusowych willi pod Warszawą. Wszystkie okoliczności wskazują na to, że Gniady zastrzelił się minionej nocy. Policja wykluczyła udział osób trzecich. Motywy samobójstwa nie są na razie znane. W sprawie prowadzone jest intensywne śledztwo...

Zebra już po kwadransie zadzwonił do drzwi. Zażądał kawy i jeszcze raz wysłuchał

wiadomości specjalnych nadawanych raz po raz we wszystkich mediach.

– A jednak zrobiłeś to, co zaplanowałeś... No to chyba już po sprawie – zauważył, wyłączając telewizor.

– Na to wygląda – pokiwał głową Emil. – Jednak nie sądziłem, że zdecyduje się na taki krok.

– A na co liczyłeś?

– Zasugerowałem mu, żeby dobrowolnie oddał się w ręce policji... I że w świetle posiadanych przez nią dowodów, jest to dla niego jedyne honorowe wyjście, stanowiące zarazem okoliczność łagodzącą.

– No to znalazł sobie jeszcze bardziej honorowe... – skonstatował Zebra. – Ale mógł nam przecież po prostu zwiać! O tym nie pomyślałeś?!

– Pozwoliłem sobie nieco... upiększyć sytuację i subtelnie dać do zrozumienia, że wszystkie możliwe drogi ewakuacji zostały już obstawione przez odpowiednie służby.

Zebra pokręcił głową z konsternacją.

– Mógł kazać cię trzasnąć, idioto. Co ty mu właściwie naopowiadałeś?

– Poza tym? – wzruszył ramionami Emil. – Tylko samą prawdę. No, może prawie samą... Powiedziałem o liście tego oficera, Knoblocka, znalezionym w drzeworycie, a także streściłem mu jego zawartość. I że zdeponowałem materiały w kilku trójmiejskich redakcjach na wypadek, gdyby coś mi się przytrafiło. Obiecałem też, że jeśli dobrowolnie odda się w ręce policji, to wstrzymam ukazanie się tych sensacji w prasie.

– Ale nie powstrzymałeś?

– Jak to? – zdumiał się Emil.

Zebra wyjął z kieszeni złożony egzemplarz *Życia Wybrzeża* i podsunął w jego kierunku. Emil z niedowierzaniem zerknął na zaznaczony fragment. Była to notatka na temat ujawnionych ostatnio bulwersujących informacji o niechlubnej przeszłości słynnego gdańskiego rodu Gniadych. Zawierała wiadomość o znalezieniu ukrytego listu i poddawała w wątpliwość legalność rodzinnego majątku.

– Nic nie rozumiem... – wymamrotał Emil. – Skąd? Kleczko?!

– A co? Nie zdeponowałeś u niego materiałów?

– W życiu! Co ty... Zwariowałeś? U tego skurwiela?! *Sorry...* Wysłałem je tylko do *Rozgwiadzy*.

Zebra uniósł brwi.

– No to jakoś musiały wyciec – stwierdził. – Twój komputer jest już przecież, o ile mi wiadomo, czysty jak dziewica orleańska.

– A wy nie kontaktowaliście się z prasą?

– Na tym etapie? Nie – stanowczo odparł podkomisarz. – I od nas na pewno nie mogło to wyjść. Nie tym razem. Poza mną nikt nie wiedział o tym liście. Nie zdążyłem go nawet włączyć do dowodów w sprawie. Wręczyłeś mi go nieoficjalnie i zastanawiałem się dopiero, co z tym fantem zrobić.

Emil zapalił papierosa z nowej paczki.

– Cholera jasna! – warknął. – Jakim cudem?

– Daj spokój! – Zebra machnął ręką. – Nie to jest najważniejsze. Chyba nie żałujesz Gniadego? Z powodu tych samych materiałów facet z zimną krwią ukatrupił przynajmniej siedem osób!

– Nie o to chodzi...

– Marku, a jeśli ktoś oskarży Emila, że sprowokował Gniadego do samobójstwa?! – przeraziła się nagle Marta.

– Bzdura! – zbagatelizował jej obawy. – Spokojnie. Żądło jest dziennikarzem. Wykonywał swoją robotę. Prasa ma prawo i obowiązek upowszechniania informacji, a polityk jest osobą publiczną. Poza tym, dobrze się składa, że to akurat Kleczko opublikował te rewelacje. Pomijając już, skąd je wziął. No i wiem z pewnych źródeł, że rozmowa Gniadego z Emilem nie została nagrana. Widocznie pan Gniady wolał nie zostawiać żadnych śladów tej pogawędki.

– Całe szczęście... – westchnęła Marta.

– Wiesz coś więcej? – zapytał Emil.

– Owszem – Zebra nabił swoją fajkę. – Strzelił sobie prosto w usta, w gabinecie zamkniętym od wewnątrz. Zginął na miejscu. Znalaziono broń, zabezpieczono na niej jego odciski palców. Zostawił odręczny list pożegnalny, w którym dziękuje swoim wyborcom i żegna się ze współpracownikami. Rodziny nie miał. Dodałbym od siebie, że na całe szczęście... Tłumaczy też, że jego decyzję spowodowały względy natury osobistej. Czyli wszystko jasne, żadnych dwuznaczności czy wątpliwości.

– A jego biuro, tutaj, w Gdańsku?

– Zabezpieczone.

– A... jego ludzie? Sekretarz?

– Sekretarz znikł – oznajmił podkomisarz. – Prawdopodobnie dostał cynk od szefa i zdążył ulotnić się z kraju. Oczywiście wysłemy za nim list gończy. Natomiast na lotnisku zatrzymano dwóch ochroniarzy. Już siedzą. Na razie milczą jak dwa zmurszałe głązy, ale w końcu wyśpiewają wszystko.

– Moim zdaniem to ich rękami Gniady załatwiał tych biednych ludzi – wtrąciła Marta.
– To fakt – przyznał Emil – że mordy mieli bardziej pasujące do płatnych zabójców niż do pracowników ochrony. Miałem szczęście ich oglądać.
– Znajdziemy na nich haka. Nie wykręcą się od odpowiedzialności – powiedział podkomisarz. – Najważniejsze, że nikt już więcej z powodu Gniadych nie zginie. Po stu latach wreszcie spokój.

Emil wpadł do redakcji *Życia Wybrzeża* niczym torpeda, nie zwracając uwagi ani na zdumione spojrzenia, ani na pełne konsternacji powitania. Większość pracowników wciąż go jeszcze pamiętała, nie zapomniano również jego spektakularnego zerwania z redakcją.

Wyminął w korytarzu znajomego redaktora działu sportowego, który próbował go zagadnąć, i zmierzał prosto do gabinetu Klęczki. Nagle otworzyły się drzwi jednego z pomieszczeń biurowych i Emil z kimś się zderzył.

– O Jezu! – zapiszczał znajomo czyjś wysoki głosik i pod nogi Emila potoczyła się filiżanka, plamiąc wykładzinę gorącą herbatą.

– Najmocniej przepraszam... – wyjąkał, podnosząc wzrok na osobę, którą nieomal staranował. I osłupiał. Była to niedawno zatrudniona na okres próbny sekretarka z *Rozgwiadzy*.

– Co pani tu robi?!

Dziewczyna, nie patrząc mu w oczy, chwyciła kubek i prędko skryła się za sąsiednimi drzwiami. Emil dzwonił rano do Ewy i dowiedział się, że sekretarka odeszła dziś bez słowa wyjaśnienia, zostawiając ją z całym majdanem niezłatwionych spraw. Teraz zrozumiał, dlaczego.

– Witaj, Żądło! – Kleczko podniósł się zza biurka. Kretyńskim uśmiechem maskował popłoch, gdy Emil z hukiem wparował do jego gabinetu. – Cóż cię do nas sprowadza? Czyżbyś jednak zdecydował się wrócić? Dzwoniłem niedawno do ciebie, ale...

– Kleczko, ty skurwielu – wycedził Emil, przerywając bezpardonowo jego monolog. – Zamknij się i posłuchaj: wiem, że nasłałeś szpiega do *Rozgwiadzy*. Panienka wprawdzie nieco głupawa, ale widać tobie ten poziom odpowiada, skoro zdecydowałeś się zatrudnić ją teraz u siebie. I dobrze zrobiłeś, bo i tak wkrótce zostałaby zwolniona. Mamy nieco wyższe wymagania wobec naszych kadr.

– Stary! – zarechotał Kleczko. – Zastanów się, co ty pieprzysz! Ta twoja, jak jej tam... *Rozgwiadza*... to zwyczajna szmata!

– To ty jesteś szmata – odparował twardo. – I zapamiętaj sobie, że jeśli jeszcze raz opublikujesz coś, do czego nie masz prawa, to wytoczę ci proces. Ostrzegam cię. A jeśli i to nie pomoże, obję ci gębę. Znasz mnie od lat, więc wiesz, kiedy żartuję, a kiedy jestem śmiertelnie serio.

– Ale o co ci chodzi, Żądło?

– Zrozumiałeś.

Kleczek zaniemówił za swoim biurkiem, a plastikowy uśmiezek zastygł na jego mięsistych wargach.

Emil zmierzył go wzrokiem z wyrazem obrzydzenia na twarzy, po czym wyszedł, z rozmachem zatrzaskując drzwi.

Marta czekała na niego w domu, lekko zaniepokojona jego przedłużającą się nieobecnością. Telewizor na cały regulator aż trząsł się od plotek i informacji na temat sensacyjnej śmierci znanego polityka.

– Wszystko w porządku...? – zapytała.

Uśmiechnął się i pocałował ją.

– W najwyższym. Nie zabiłem go, jeśli o to ci chodzi. Nadają coś nowego? – wskazał na ekran telewizora.

– Ciągle trąbią o tym samym – odparła.

– Więc wyłączmy to! – Emil pstryknął pilotem. – Może pójdziemy coś zjeść? Co powiesz na jakąś dobrą knajpkę?

– Chińszczyzna?

– A może tym razem coś bardziej wyszukanego? W końcu mamy dzisiaj co uczcić!

– No to chodźmy – Marta zrzuciła stary porozciągany sweter Emila i nałożyła czarną koszulową bluzkę z aksamitu. – Mam dwie wiadomości. Dzwoniła Emila i pytała, czy Bartek będzie mógł spędzić u nas miesiąc wakacji...

Emil aż przystanął z wrażenia.

– Coś podobnego! – wykrzyknął. – Co jej się stało? I co?

W jego głosie, mimo pozornego luzu, dało się jednak wyczuć napięcie.

– Myślę, że to zbawienny wpływ jej nowego męża – odparła Marta pogodnie. – Wyobraź sobie, Emila dokonała cudownego odkrycia: stwierdziła, że chłopiec tęskni na tatą! Oczywiście, zgodziłam się i w twoim imieniu, a również swoim, zaprosiłam małego na wakacje.

– Kochana jesteś! – Emil odetchnął z ulgą i przytulił ją mocno do siebie.

– Mam tylko nadzieję, że żaden szaleniec nie popełni tutaj w tym samym czasie żadnego tajemniczego morderstwa... – Puściła do niego oko.

– Dobra, dobra! – roześmiał się. – A druga wiadomość?

– Zebra z Marią zaprosili się do nas na uroczystą kolację. Maria koniecznie chce obejrzeć nasze drzeworyty.

– No i ma rację. Warto. Kiedy?

– Jeszcze nie wiem, nie umawialiśmy się dokładnie – wzruszyła ramionami. – Sądzę, że za jakiś tydzień albo dwa?

– No to super. Pogadamy o sprawie.

Marta spiorunowała go wzrokiem.

– Czy ty naprawdę nie potrafisz już gadać o niczym innym, tylko o tych waszych „sprawach”?

– Waszych?! Chyba raczej, chciałaś powiedzieć „naszych”

– Jesteś okropnym wariatem, wiesz? – Przyciągnęła go za kołnierz kurtki i pocałowała prosto w usta. – Ale i tak cię kocham!

Epilog 1

Malarz Baison z ciężkim sercem wyszedł na werandę swej chatki nad jeziorem, by po raz ostatni objąć wzrokiem bliski sercu pejzaż, który tyle razy z miłością odtwarzał na papierze lub jedwabiu. Zmierzchało. W wodach jeziora kapały się ostatnie promienie zachodzącego słońca, a wzgórze po drugiej stronie złocistej toni ogarniał już mrok. Późnojesienne barwy natury, cisza, spokój i krystaliczne, zimne powietrze przyniosły mu chwilowe ukojenie. Przymknął oczy, by w głębi swych wspomnień przywołać dźwięczny śmiech siostry. Jego echo wciąż jeszcze żyło pośród tych wzgórz, tak jak jej śpiew i tęskne dźwięki *samisenu*, wydobywające się spod smukłych palców. Yukasan – podobnie jak on – szczególnie kochała to miejsce. Często przyjeżdżała tu, nad jezioro Biwa, by z bratem dzielić radości i smutki. Tutaj oboje spędzili swe trudne, lecz szczęśliwe dzieciństwo.

Nikt obcy nie znał tej ich samotni, gdyż rozmyślnie utrzymywali jej istnienie w tajemnicy przed światem. Był to ich własny raj. Nie chcieli, by zewnętrzny gwar zakłócił ich spokój. Nawet przyjaciel i wydawca Baisona, który wiedział wprawdzie, że jego grafik ma chatkę w górach, nie znał jej dokładnego położenia. Do sekretu dopuszczony został tylko ukochany Yukasan, w istocie już pełnoprawny członek ich małego klanu.

Baison uśmiechnął się gorzko, wspominając szczęśliwe chwile. Obecnie to cudowne miejsce nie było już dla niego tym samym. Przybył tu, by się pożegnać. Jutro już go tu nie będzie. A może nigdy...

Koszmar ostatnich tygodni zburzył całe jego życie. Wszystko, co kochał i co było ważne. Daremnie starał się przepędzić okrutny ból serca, przytłaczający go niczym ciężki głaz. Tego bólu już nie da się pozbyć. Jediną pociechą była świadomość, że niemal do końca wypełnił swoją powinność. Udało mu się wywieźć na czas szkatułkę Yukasan, wraz z ukrytymi w niej dokumentami, o co prosił go ukochany siostry, jedyny naprawdę godny szacunku *gajdzin*, jakiego znał. Po tragedii ukrył dokumenty w skrytce, umieszczonej w prowizorycznej oprawie drzeworytów – które miały być prezentem ślubnym, a stały się stupą nagrobną – i wysłał je statkiem hen, za morza, pod wskazany adres, a kuferek zatopił w wodach jeziora. Był przekonany, że w wysyłce drzeworytów nikt nie dopatrzy się niczego

podejrzanego. Biali ludzie oszaleli na punkcie tych rycin i masowo wywozili je do swoich dalekich krain. I ktoś z pewnością zapragnie zamienić celowo szpetną oprawę na solidne złoczone ramki, jak to było w zwyczaju *gajdzinów*. A wtedy znajdzie dokumenty. Na to liczył.

Teraz jednocześnie ścigał i był ścigany. Gdy tylko urządził swym bliskim wspólny ceremoniał pogrzebowy, zresztą za cichą zgodą marynarki, w której służył zabity oficer, rozpuścił wieści, że zamierza odbyć pieszą pielgrzymką na szczyt góry Fuji, żeby uczcić zmarłą siostrę. Chciał zmylić zabójcę. Jednak jeszcze nie pora na modły!

Wiedział, że morderca i zdrajca szuka go, by zamknąć mu usta na wieczność. Baison znał jego imię, choć nikt nie chciał go słuchać. Ale to nic nie szkodzi. Nie spocznie, póki nie pomści śmierci swej jedynej siostry – lub sam nie zginie. To ostatnia rzecz, jakiej jeszcze musi dokonać. Będzie walczył, mimo że jego wróg jest żołnierzem, oficerem i białym samurajem, a on tylko biednym artystą. Rozpacz i wściekłość dają niewyobrażalną siłę. Potem, jeśli tak mu będzie sądzono, odejdzie gdzieś daleko, zaszyje się w górskiej pustelni, by w samotności dążyć do najwyższego oświecenia.

Zamierzał już wracać do środka, żeby do pątniczego tobołka spakować najpotrzebniejsze rzeczy oraz najdroższe pamiątki, zanim odejdzie stąd na dobre. Nagle usłyszał szelest w bambusowych zaroślach u stóp chaty...

Frederick Gniady odetchnął z ulgą, rozpoznając szczupłą sylwetkę młodego Japończyka na werandzie małego domku nad samym jeziorem. Nie zmyliły go zmiany w powierzchowności poszukiwanego. Zwykle w stolicy, w nowomodnym towarzystwie, wyglądał tak, jak przystało na ucywilizowanego artystę, współpracującego z szanowanym stołecznym wydawnictwem: ubrany z europejską, z wprawą posługujący się europejskimi manierami. Teraz odziany był w tradycyjne kimono, na jego twarzy znać było wielodniowy zarost, a włosy – najwyraźniej nieprzystrzyżone od dłuższego czasu – upięł w charakterystyczny japoński kucyk. No, to znalazła się zguba! Tropił Baisona od wielu dni, lecz koniec końców dobra opatrność nagrodziła jego trud.

Gniady poruszył się przypadkowo w swej kryjówce, a malarz, wyrwany z zadumy, spojrzał w jego kierunku, wypatrując w zapadającym zmroku przyczyny szelestu. Chyba czas już wyjść z ukrycia. Czas wreszcie zakończyć tę sprawę – raz na zawsze.

Japończyk mruknął w rodzimym języku coś, czego intruz nie zrozumiał. Mimo stosunkowo długiego pobytu w tym kraju, chropawe i barbarzyńskie dźwięki wciąż jeszcze stanowiły dla niego istotny problem. W przeciwieństwie do Knoblocka, który potrafił

dogadać się z Japońcami bez większego problemu. Pewnie z powodu tej swojej dziwki.

Wynurzył się z krzaków, szyderczo błyskając zębami w coraz większych ciemnościach. Baison drgnął, rozpoznając go tak samo, jak on rozpoznał jego. To zapach krwi zbliżył ich do siebie niczym parę kochanków, idących za głosem serca. Oni szli za głosem nienawiści, która jest chyba jeszcze silniejszym uczuciem niż miłość...

– Witaj... przyjacielu! – odezwał się przybysz ironicznie, obserwując jednocześnie, jak przeciwnik sięga do pasa przy swoim kimonie.

– Jak mnie tu znalazłeś? – zapytał Baison, przechodząc gładko na angielski.

Frederick zaśmiał się.

– Twój niedoszły szwagier wspomniał mi kiedyś o tej waszej... hmm... rezydencji nad jeziorem – odparł z pełną pogardą satysfakcją. – Opowiadał też, jakie to igraszki urządzali tu razem z twoją uroczą siostrzyczką.

Zapadło milczenie, podczas którego mierzyli się wzrokiem. Gniady odruchowo położył dłoń na zimnym i twardym przedmiocie, ciężącym w kieszeni jego surduta.

– Przyszedłeś ze mną walczyć? – zapytał w końcu Baison, nie spuszczać zeń hardego spojrzenia.

Gniady ponownie parsknął śmiechem, po czym jednym błyskawicznym, niemal niedostrzegalnym ruchem wyszarpnął z kieszeni kurtki rewolwer i wycelował prosto w serce Japończyka.

– Nie – odparł z szyderczym uśmiechem na ustach i nacisnął spust, zanim tamten zdążył zareagować.

Rozległ się głuchy huk i poniósł krótkim echem ponad taflą wody. Poderwał do lotu tylko wodne ptactwo, skryte wśród przybrzeżnych szuwarów. Ptaki uciekły z niespokojnym jazgotem – i wszystko na powrót umilkło. W pobliżu nie było żywego ducha. Nikt nie mógł usłyszeć odgłosu wystrzału. A gdyby nawet... Ostatnio, również pod wpływem europejskich obyczajów, przybywało w te strony coraz więcej amatorów polowania.

Gniady z zadowoleniem obserwował, jak Japończyk pada na kolana, na jasne deski werandy, resztką sił usiłując uchwycić się bambusowego słupa, po czym ciężko przewraca się na bok z dłonią na piersi i oczami zastygłymi w wyrazie zdziwienia. Na jego kimonie rozlała się ciemna plama krwi. Ostatni świadek został wyeliminowany. Teraz już nikt nie przeszkodzi mu w realizacji jego ambitnych planów. Będzie mógł spokojnie zdeponować zdobyte środki w oddziale jakiegoś amerykańskiego banku, a następnie wróci do Gdańska, by uporządkować swoje sprawy. Uwolni się od służby w marynarce i wyemigruje do Nowego Świata – dosłownie i w przenośni...

Teraz trzeba tu jeszcze zatrzeć ślady swej bytności. I znaleźć niewygodne dowody. Był na sto procent pewien, że Baison ukrył je właśnie tutaj, w tym odludnym miejscu, w swojej skrytej „twierdzy”. Przeszedł ponad zwłokami, nie mogąc się opanować, by wzgardliwie nie trącić ich czubkiem buta. Wnętrze chaty było surowe i nad wyraz skromne. I niemal puste. Gniady spenetrował je w pięć minut. Zapasy papieru, pędzli, pędzelków, farb i ryłców. Szkicownik. Trochę taniej żywności, głównie ryżu i marchwi. Kilka sztuk odzieży. Lecz nigdzie nie znalazł tu tego, czego szukał.

– Psiakrew! – zaklął pod nosem.

Zrezygnowany usiadł na macie, by chwilę odpocząć i zebrać myśli. Szkatułki tutaj z pewnością nie było. Ani dokumentów luzem. Co ten barbarzyńca mógł z nimi zrobić? Na pewno nie oddał ich w ręce nikogo z marynarki. Już by o tym wiedział. Nie miał też lepszej kryjówki niż ta zapomniana przez Boga i ludzi chałupa. Mógł odesłać ją razem z rzeczami należącymi do Knoblocka jego rodzinie. Tak... To byłoby dla niego, dla Gniadego, rzecz po prostu nie do przyjęcia!

Lecz na to nie miał już wpływu. Uspokoił bijące zbyt szybko serce. Postanowił w pogotowiu czekać na dalszy rozwój wypadków, a w ostateczności uciec do Ameryki, zanim ktoś dobierze mu się do skóry. Zawsze istnieje możliwość, że Baison ukrył materiały tak skutecznie, iż nikt nie trafi na ich trop. A Knoblocków w Gdańsku można będzie na wszelki wypadek przycisnąć, osobiście lub przez dobrze opłaconego pośrednika.

Gniady wstał wreszcie, by dokończyć dzieła. Zanim wyszedł z chaty, wziął do ręki oprawiony w jedwab i lakę szkicownik Baisona. Wertując go, natrafił na mnóstwo rysunków roślin, owadów i zwierząt, szkice pejzażu – w większości wariacje na temat kotliny, w której się właśnie znajdował – oraz liczne portrety Yukasan. Ta jej twarz, piękna, dumna i nieprzystępna! Pożądana i znenawidzona. Boże, jakże głęboko jej nienawidził, nawet teraz, gdy już była martwa! Podła, azjatycka ladacznica. Wzgardziła uczuciem Fredericka, wybrała jego rywala – nie zasługiwała zatem nawet na pamięć!

Gwałtownym ruchem włożył szkicownik do kieszeni i wyszedł na werandę. Trup Baisona wciąż wpatrywał się pustym wzrokiem w granatowe, rozgwieżdżone niebo, jakby nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Gniady zaciągnął ciało na brzeg, wrzucił do znalezionej łódki i powiosłował na środek jeziora. Tam zepchnął zwłoki do wody, pomagając sobie wiosłem, by szybciej zatonęły. Gdy trup zniknął w ciemnej toni, Frederick uśmiechał się z tryumfem. Nagle przypomniał sobie o szkicowniku. Wyjął go z kieszeni i z rozmachem cisnął do wody, obserwując, jak powoli niknie pod jej powierzchnią. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Teraz zabił ich podwójnie! Niech ich piekło pochłonie, nich wszelka pamięć o tych trojgu

zagine na wieki!

Zastanowił się jeszcze, czy nie puścić chałupy z dymem, lecz po namyśle zrezygnował z tego pomysłu. Łuna zbyt szybko mogłaby ściągnąć tutaj ciekawskich, a poza tym lepiej zostawić wszystko tak, jak gdyby gospodarz sam, z własnej woli opuścił to miejsce i udał się gdzieś w siną dal. Na duchowe wygnanie. Osobiście zasugeruje komu trzeba – jako szczerze zboląły przyjaciel domu – taką ewentualność. Niech ludzie myślą, że żaloba całkiem pomieszała artyście w głowie. Jego zniknięcie nikogo nie zdziwi. Od czasu tragicznej śmierci siostry i tak już porządnie zdziwaczał.

Gniady spokojnie wrócił na brzeg, sprawdził, czy krew nie została na werandzie. Ostatnim spojrzeniem ogarnął wnętrze i otoczenie chatki – po czym rozpląnął się bez śladu w mrokach nocy...

Epilog 2

– No, kochani – Marta otworzyła drzwi, wpuszczając do środka spóźnionych Żebrów.
– Nareszcie! Witajcie! Już zaczęliśmy się obawiać...

– Obawa, jak widać, weszła wam w krew – zażartował Marek, całując ją w oba policzki. – Bylibyśmy punktualnie, ale musiałem jeszcze po drodze wpaść po coś na komisariat. I zaraz sama zobaczysz, po co.

– Cicho siedź! – upomniała go Maria. – Jeszcze nie teraz!

– Na szczęście nic nie stygnie – uśmiechnął się Emil, pomagając Marii zdjąć płaszcz. – Przygotowaliśmy zimny bufet.

– Ale ja przyniosłam coś na gorąco! – przyznała się ze skruchą, wręczając Marcie spory garnek, owinięty szczelnie w gazetę. – Przepraszam was, ale po prostu uwielbiam sobie pichcić. A skoro już upichciłam, to przywiozłam. Proszę bardzo, to tylko skromna fasolka, coś w rodzaju naszej „po bretońsku”, za to według tradycyjnego francuskiego przepisu, na wytrawnym białym winie, z prawdziwymi pomidorami, ziołami, oliwą *extra virgin* i z wędzonymi kabanoskami. Jeszcze ciepła.

– Rewelacja! – ucieszył się Emil. – Znam fasolkę Majki, palce lizać!

– I francuskie wino do tego. – Zebra podał butelkę przyjacielowi. – Bo przyjechaliśmy taksówką i zamierzam pić do rana.

– Jest co pić. – Mrugnął Emil. – Trunków ci u nas dostatek... Ale wchodźcie już wreszcie, poloneza czas zacząć!

Zapędził gości do pokoju, w którym lśniło, gdyż przez cały ranek sprząтали bałagan. Pod oknem ustawili długi niski stół, zastawiony różnościami, starannie dobranymi przez Martę. Stały tam solone śledziki, przyrządzone na wiele sposobów, czarny i czerwony kawior w miseczkach, koktajl z krewetek, małże marynowane, kurczak w galarecie, ryba po grecku, kolorowe papryczki faszerowane kielbaskami, różne gatunki serów, trzy sałatki, nadziewane oliwki, kapary i korniszony. Na drugim stoliku stały ciastka i owoce, a na wysuniętym blacie barku alkohole do wyboru, do koloru, łącznie ze zgrzewką piwa.

– Wow! – zachwycił się Zebra, zacierając ręce.

– Po pierwsze, chcę zobaczyć Bolera i drzeworyty – oznajmiła stanowczo Maria. – O! Widzę je! To one, prawda? Japońskie drzeworyty? Boże, jakie piękne...

Przystanęła pod ich „japońską ścianą” w niemym zachwycie.

– A my mamy coś dla was! – dodał z zadowoleniem Zebra, wyciągając zza pleców elegancką torebkę na upominki. – Myślę, że to będzie dobry prezent...

– A co to? – Marta zajrzała do torby i pisnęła. – Jezu!

– Pokaż! – Emil wyjął jej z ręki... szósty drzeworyt! Ten z motylem.

– Ale jak to? – wyjąkał skonsternowany. – Jakim cudem? Miałem go przecież dopiero odkupić od antykwariusza...

Marta zabrała mu drzeworyt i tymczasowo powiesiła go na ścianie w miejsce jakiejś akwarelki.

– Jest cudowny! – Objęła Zebra, a potem Marię. – Dzięki wam bardzo!

– Tu jest jego miejsce – uśmiechnął się podkomisarz i zwrócił się do Emila: – To już załatwione. Sam go dla was kupiłem. Jako dowód rzeczowy nie będzie nam już potrzebny, a gdyby nawet, to go nam wypożyczycie. Obfotografowaliśmy wszystko i zostawiliśmy sobie tylko tę kopertę podczepioną do *passe-partout* razem z dokumentem. Powinno wystarczyć.

– Jesteś kochany... – rozczuliła się Marta.

– Prawda? – Zebra zerknął tryumfalnie na żonę.

– Prawda, prawda! – zaśmiała się Maria. – Ten zjawiskowy motyl to chyba symbol kobiety z drzeworytów? Jest tak barwna i lekka jak on...

– Może to nie przez przypadek Puccini nazwał swoją bohaterkę madame Butterfly? – podsunęła Marta. – Te dawne Japonki miały coś z motyla!

– Fakt – zgodził się Emil.

– Musisz jutro jechać do tego samego sklepu, żeby dokupić identyczną ramkę, no i zrobić nowe *passe-partout* – dodała, wciąż podziwiając drzeworyt.

– Załatwione – oparł. – A to teraz siadajcie, gdzie kto chce i częstujcie się, czym chata bogata, a ja na początek przyrządzę „krwawą Mary”!

– Bardzo à propos – zauważył Zebra, atakując zachłannie półmisek ze śledzikami w sosie jogurtowym z rozmarynem.

– Gniadego zgubiła ambicja i próżność – zaczął swą opowieść Zebra, nasyciwszy już pierwszy głód i pragnienie. – Gdyby za wszelką cenę nie zechciał zostać mężem opatrnościowym narodu, ta historia zapewne nigdy nie wyszłaby na jaw. Inna sprawa, że nie

zginęliby także niewinni ludzie. Gniady dobrze znał historię swojego dziadka. Znaleźliśmy w jego biurze mnóstwo świadczących o tym dokumentów. A jednak, pomimo wszystko, dosłownie po trupach, całą swą karierę oparł na legendzie swojej rodziny. Widocznie osobistymi przymiotami nie bardzo mógł się poszczycić. Dodam, że była to całkowicie fałszywa legenda, jak wam już zresztą wiadomo. Mało tego, włożył mnóstwo wysiłku w dalsze jej fałszowanie i utrwalanie tego oszustwa. Ludzka łatwowierność i ślepy głód autorytetów są niezbadane! Winię tu także media, bo łatwo ulegające demagogii – podkomisarz zerknął wymownie na Emila. – Ale mniejsza o to. Rozumiem, że jest atrakcyjna... Wracając do Gniadego, powiodło mu się nawet obwołanie swego przodka gdańskim, o ile nie narodowym, bohaterem! A z siebie uczynił wyrocznię moralną, powołaną do osądzania innych, w tym szczególnie niewygodnej konkurencji politycznej oraz rywali w interesach. Sami wiecie, ilu ludzi udało mu się zniszczyć i ilu złamać kariery. Władza i pieniądze były obsesją Gniadego. Nigdy nie założył rodziny, do tego stopnia te dwie namiętności przewróciły mu w głowie. Tymczasem ten jego przodek to nie tylko bezwzględny morderca, ale także oszust i zdrajca. Wszystko wskazuje na to, że w czasie sławetnej wojny rosyjsko-japońskiej był podwójnym szpiegiem. Wnusio wmawiał wszystkim dookoła polskość i patriotyzm dziadka, gdy tak naprawdę Gniady nie wiedział nawet, czy uważa się za Polaka, czy za Niemca. Miał to w dupie. Interesowała go tylko forsa. Gdy w drodze oszustwa zdobył fortunę, natychmiast czmychnął do Stanów i założył tam biznes, z którego potomek do śmierci czerpał zyski.

– To jest chyba nielegalny majątek? – podchwyciła Maria. – Czy da się z tym coś jeszcze zrobić?

– Tego nie jestem pewien. – Zebra wzruszył ramionami. – Od tamtego czasu upłynął przeszło wiek, więc sprawa może być dawno przedawniona. Całkowicie zmieniła się konfiguracja polityczna. Ale my oczywiście prześlemy gdzie trzeba wszelkie dokumenty, niech się tym martwią prawowici spadkobiercy...

– Znam historię pewnej działki, która dawniej należała do cegielni, jeszcze w czasach pierwszej wojny światowej – podpowiedziała Marta. – I od prawie stu lat jest obciążona hipoteką tak, że obecni właściciele nie mogą jej sprzedać. Więc skoro ta sprawa nie straciła na aktualności, więc może i tamta?

– To już nie nasze zmartwienie – wtrącił Emil. – Opowiadaj dalej, Zebra, całkiem nieźle ci idzie! Nie myślałem, że taki z ciebie mówca.

– Ćwiczyłem. – Marek uśmiechnął się. – Ale teraz zbiliście mnie z pantałyku... Chwileczkę... Marta wspomniała o pierwszej wojnie światowej. To i mnie coś się

przypomniało. Otóż Gniady, ten dawniejszy, w czasie pierwszej wojny także nie próżnował. Zajmował się pokątnym handlem bronią. Nie przebijając w klienteli... W Ameryce ożenił się, nawet trzy razy, ale miał tylko jednego syna, ojca naszego Jasia. Gniady także z tatusia próbował uczynić bohatera, lecz to mu się nie udało. Gniady tatuś w czasie drugiej wojny niestety niczym się nie wślawił, oprócz tego, że zdierał pieniądze z Żydów, którzy próbowali przemycić do Ameryki swoich bliskich z Europy. Ożeniony z Polką, spłodził synalka, godnego reprezentanta rodu...

– Wygląda na to, że wszyscy ci... Gniadzi?... to byli genetyczni psychopaci! – ponownie wtrąciła Marta.

Zebra zmierzył ją surowym spojrzeniem.

– Nie przerywać! – zagrzmiął. – Bo wszystko mi się pomiesza i cała moja starannie przygotowana mowa weźmie, w łeb. Masz rację, coś chyba było z nimi nie tak. Przejdźmy do współczesności. Kiedy Zagórny natrafił przypadkowo na dokumenty swojego przodka, Knoblocka – być może zamierzał sprzedać kolekcję drzeworytów, postanowił więc oprawić je na nowo – zapragnął, jak przypuszczamy, szantażować Gniadego i tym sposobem zdobyć trochę kasy na lepsze życie dla siebie i ukochanego. Bo, jak pamiętacie, Zagórny był gejem. I jako wykładowca nie śmierdział groszem. Jednak nie wiedział, biedak, na kogo trafił. Gniady nie miał wyjścia. Kampania wyborcza, wielka kariera stojąca otworem, pełnia sukcesów, a tutaj nagle zagrożenie hańbą! Dobrze wiedział z autopsji, jak się niszczy ludzi takimi rewelacjami. Musiał go uciszyć. No więc nasłał na gościa swoich byczków, którzy mieli go załatwić, a potem wykraść dokumenty. Udało im się tylko to pierwsze, gdyż Zagórny okazał się cwańszy, niż Gniady przypuszczał, i zabezpieczył drzeworyt z dokumentem u swojej siostry, a z tym drugim chłopcy mieli po prostu pecha. Zagórny posiadał większą rodzinną kolekcję, a im się spieszyło. Powywlekali z ramek, co się tylko dało, ale nie wpadli na to, żeby zaglądać pod *passe-partout*. Tym sposobem list Knoblocka ocalał. Swoją drogą przypuszczamy, że to sam Zagórny ukrył znaleziony wcześniej list w tym drugim drzeworycie. Koperta, w której był schowany, jest nowa; tylko wykonana na wzór tamtej starej. Być może zamierzał dać go na przechowanie Dziejcowi. Prawdopodobnie oba dokumenty były pierwotnie przechowywane razem. Gdyby bandyci mieli więcej rozumu, to ukradliby po prostu wszystkie drzeworyty, jak leci, ale oni chyba nie byli jeszcze wtedy pewni, że to o nie chodzi. Nie wiemy, co prawda, ile pary z gęby puścił na ten temat Zagórny w swych rozmowach z Gniadym. Sądzę, że przede wszystkim szukali jednak legendarnej szkatułki... Nieopatrznie, ku własnemu nieszczęściu, uświadomił im to dopiero partner i asystent Zagórnego, Rafał Dziejcio. Chyba naprawdę szczerze kochał swego przyjaciela,

więc zapragnął pomścić jego śmierć. Widać też, że orientował się w temacie, Zagórny musiał mu się zwierzać. Wpadł więc na rozpaczliwy pomysł pogrózek w Internecie. A nazwisko Emila wpadło mu prawdopodobnie do głowy pod wpływem zwykłego impulsu, znał je z prasy i użył, że tak powiem, symbolicznie. Sam wolał zachować anonimowość, może bał się zwrócić do Gniadego osobiście. Przepęlniała go ślepa nienawiść. Miotał się jak złapany w sidła zając. W końcu usiłował dotrzeć do Emila, być może dręczony wyrzutami sumienia, że posłużył się publicznie jego nazwiskiem, narażając tym samym na niebezpieczeństwo. Znał też zapewne sukcesy Emila jako dziennikarza śledczego. Zapragnął go ostrzec, a przy okazji miał może nadzieję, że uzyska przebaczenie oraz pomoc lub przynajmniej dobrą radę. Jednak strach okazał się silniejszy i w końcu Dzedzic z tego pomysłu zrezygnował. A szkoda. Chłopak działał jak pijane dziecko we mgle. Całkiem się w swojej rozpaczach pogubił. No i przypłacił to życiem. Macki Gniadego sięgały daleko.

Aha, tamte telefony z pogrozkami to już raczej nie Dzedzic, ale robota ludzi Gniadego. Możliwe, że zrobili to profilaktycznie. A może sądzili, iż rzeczywiście maczasz w tym palce, prowokujesz ich albo sprawdzasz. Nie byli pewni. Nie przewidzieli również, że dopiero tym krokiem naprawdę zachęcą cię do działania. Ale trudno za wiele wymagać od kogoś, kto nie zna charakteru i oślego uporu naszego Żądęłka...

Emil obdarzył kolegę uśmiechem pełnym łaskawości i dolał mu wina.

– Tymczasem siostra Zagórnego, pani Matylda – kontynuował pojednawczo Zebra – sprzedała drzeworyty do antykwariatu, gdzie odnalazł je Emil i sprzątnął Gniademu sprzed nosa. Bo Gniady już wcześniej wynajął włamywacza, drobnego złodziejaszka, naszego biednego Zyge, żeby rąbnął drzeworyty. Zyga nie tylko spartaczył robotę, ale chciał przy tym upiec własną pieczeń – buchnął dokument, więc także musiał zginąć. Zresztą i tak by go pewnie zabili, bo na co im potencjalny świadek... Pani Matylda z kolei miała nieco za długi język, a przy tym była zachłanna i naiwna jak dziecko. Zdążyła więc zbyt wiele naopowiadać Gniademu, kiedy dzwonił do niej, podając się za miłośnika sztuki zainteresowanego kupnem kolekcji. A sprawa tymczasem zaczęła zataczać coraz szersze kręgi. Policja węszyła, Emil węszył, Matylda paplała na prawo i lewo. I także się doigrała. A przy okazji musiał zginąć i jej stryj, będący według Gniadego w posiadaniu zbyt niebezpiecznych informacji, oraz mąż Matyldy...

– No i moja pani ekspertka... – westchnęła Marta.

– To już później. Najpierw jeszcze usiłowali załatwić – a może tylko nastraszyć, trudno powiedzieć – was. W końcu nie mogli być pewni, co tak naprawdę wiecie. Tak czy siak, gdybyście przy okazji tego straszenia zginęli, to Gniady by po was raczej nie zapłakał.

Usiłowali też włamać się do twojego komputera, ewentualnie śledzić lub zniszczyć zapisane na nim informacje na temat Gniadego. Prawie im się to udało. Potem, gdy już byli pewni, że mamy dokument i wkrótce zostanie on rozszyfrowany – wtedy Gniady nie wiedział jeszcze dokładnie, co w nim jest, był za to przekonany, że jest to jedyny dowód przeciwko jego mitom – spróbowali temu przeciwdziałać. Najpierw zamordowali naszą ekspertkę, by nie dopuścić do ujawnienia treści dokumentu. Sądzieli, że przy okazji uda im się go ukraść, ale wpadła w ich łapy tylko kopia, gdyż oryginał został u nas. No i tłumaczenie. Gniady już wiedział, co powinien z niego wyeliminować. Domyślał się, że będziemy szukać nowego rzeczoznawcy i że jest ich w Polsce niewielu. No więc podstawił swojego... Nie chwaląc się, przewidziałem to! – W tym miejscu Zebra błysnął uśmiechem samozadowolenia, jednak już po chwili mina mu nieco zrzędła. – Ale przy tej okazji wyszła na jaw jeszcze jedna, szczególnie dla nas przykra sprawa: Gniady miał wtykę w policji...

– U nas? – zapytał Emil.

– Nie, w warszawskiej. Ale za to ten z Warszawy miał u nas znajomego, takiego młodego idiotę. No i głuchy telefon działał sobie w najlepsze...

– I co będzie z tymi policjantami? – zainteresowała się Maria.

Zebra wzruszył ramionami.

– Obaj stracą pracę, a ten z Warszawy już ma postawione zarzuty.

– Ale ten cały „młody idiota” nie działał w złej wierze? – dopytywała Maria. – Tylko został wykorzystany? Nie możecie mu tym razem darować?

– Głupota także jest grzechem – odparł. – A za grzechy należy płacić. Nie potrzebujemy w policji idiotów.

– No dobra, dalej! – ponagliła niecierpliwie Marta.

– Dalej to już wszystko jasne. Znaleźliście list, który był niespodzianką dla nas wszystkich. Ale największą dla Gniadego. Do tego stopnia, że kiedy Emil zastosował swoją psychologiczną pułapkę i Gniady zrozumiał, że jego kariera, a może i cała amerykańska fortuna, legły w gruzach, to znalazł jedyne możliwe wyjście z tej sytuacji: strzelił sobie w łeb. I była to chyba pierwsza i ostatnia honorowa decyzja, jaką ten człowiek w swoim życiu podjął.

– No dobrze, a ta historia z Kleczką? – przypomniała sobie Marta.

– To nie ma z tym wszystkim nic wspólnego – wyjaśnił Emil. – Menda Kleczko zwąchał, że coś się święci i wstawił swojego szpiega do naszej redakcji. To w jego stylu. Kłopot z tego taki, że Ewa znowu została bez sekretarki, a już trochę przywykła do pomocy w papierkowej robocie.

– A ja bym się nie nadała? – zapytała zniecierpliwiona Maria.

– Ty, Majeczko?! – obruszył się podkomisarz. – Ale na co ci to?

– Znam się na księgowości – odparła. – Sekretariat takiej małej redakcji też potrafiłabym poprowadzić. I znam Ewunię, świetnie się dogadamy. Chciałabym spróbować. No i to była kiedyś także gazeta mojej córki...

Wszyscy zamilkli.

– Jasne! – pierwszy ocknął się Emil. – Ewa będzie szczęśliwa! Ale ostrzegam, zarobki...

– Nie zależy mi na zarobkach. – Uśmiechnęła się Maria. – Marek nieźle zarabia. No to załatwione. Koniec, kropka. Mam jeszcze pytanie: ten dziadek Gniadego zabił naszą parę kochanków, to już wiem. Marek mi trochę opowiadał. Ale co z tym malarzem? Tym od drzeworytów?

– Tego się już pewnie nigdy nie dowiemy – westchnęła Marta. – Możliwe, że rzucił wszystko i zaczął gdzieś nowe życie. Ale możliwe też, że Gniady i jego zamordował.

– No tak... – Maria spojrzała na japońskie grafiki. – A jednak oni wciąż żyją. Spójrzcie. Są nieśmiertelni! Gniady przegrał.

– To piękne, co powiedziałaś – Marta poczuła wzruszenie, więc szybko wstała, by wstawić wodę na kawę.

– Idziesz do kuchni? – Maria podniosła się również. – Pomogę ci, w czym tylko się da, bo koniecznie muszę przywitać się z Bolerem! Wspomniałaś, że śpi w kuchni. Wiesz, my niedługo wybieramy się do schroniska, żeby adoptować kociaka.

– Słuszna decyzja! – pochwaliła Marta.

I wyszły.

Emil skorzystał z okazji, by zapalić papierosa. Do tej pory ograniczał się ze względu na Marię. Zebra zapalił swoją fajkę.

– Zamierzasz opublikować tę historię? – zapytał Emila.

– Chyba tak. Skoro już i tak ukazał się tekst Kleczki. Urwał i zastanowił się.

– Myślę, że prawda nawet po latach powinna zatryumfować, bo ofiary zasługują na nią, niezależnie od upływu czasu – dokończył po chwili, maskując powagę tych słów lekko ironicznym i zażenowanym uśmiechem.

W drzwiach stanęła Marta z talerzykami do ciasta.

– A ja zamierzam napisać bardzo poważną naukową monografię o Baisonie na podstawie tego cyklu drzeworytów – dodała, słysząc ostatnie słowa Emila. – I to wspólnie z *sensei* Yamamoto. Baison to naprawdę wspaniały artysta. Zasłużył na to, by już nigdy więcej

nie zapomniano jego imienia!

Gdy Emil spojrział na ścianę, wydało mu się, że Yukasan uśmiecha się do nich wszystkich spod swojej papierowej niebieskiej parasolki...

KONIEC

Posłowie

Na koniec czuję się zobowiązana udzielić Czytelnikowi kilku wyjaśnień na temat tego, co w tej książce jest fikcją, a co prawdą.

Opisywane w tekście wątki historyczne związane z otwarciem Japonii na świat, przemianami zachodzącymi w tej części świata, wojną rosyjsko-japońską oraz udziałem gdańskiej Kriegsmarine w szkoleniu ówczesnej japońskiej armii są prawdziwe. Prawdziwe są również wszelkie informacje dotyczące historii japońskiego drzeworytu barwnego, a także opisane w książce drzeworyty. Lecz tutaj sytuacja lekko się komplikuje...

Cykl drzeworytów, będący inspiracją dla powieści, rzeczywiście istnieje i naprawdę łączy się z nim romantyczna historia oraz zagadka, związana z osobą twórcy. Drobne szczegóły zostały w ich opisie zmienione, jednak zasadniczo wygląd drzeworytów powieściowych jest zgodny z oryginałem. Są częścią starej książki, wydanej w Japonii przez wydawnictwo Hasegawa z Tokio w 1890 roku, a zatytułowanej *Oyuchasan*. Jej autorem jest F. M. Bostwick, amerykański porucznik marynarki wojennej. Z postacią autora wiąże się bardzo piękna, romantyczna historia. Otóż – amerykański oficer (sam Bostwick) stacjonujący w Yokohamie, zakochał się w pięknej Japonce i na jej cześć napisał poetycką pieśń, której tekst – wraz z zapisem nutowym – stanowi treść książki. Swoją przyjaciółkę nazywał właśnie Oyuchasan (czytamy: Ojuciasan). W mojej książce jej powieściowej *alter ego* nadałam imię brzmiące podobnie – Yukasan.

Sześć drzeworytów to przypuszczalnie wersje pierwotne, projekty tych, które wykorzystano ostatecznie jako ilustracje. Są one ręcznie podkolorowane, jak gdyby twórca eksperymentował dopiero z ich ostateczną kolorystyką. W latach 90-tych XIX wieku trafiły – za pośrednictwem pewnego oficera Kriegsmarine – do Gdańska, i tu przetrwały w rodzinnych kolekcjach aż do dziś. Ich historia – odpowiednio zmodyfikowana i przeniesiona w epokę nieco późniejszą; w czasy wojny rosyjsko-japońskiej – stała się kanwą mojej powieści.

Twórcą drzeworytów rzeczywiście był niejaki Baison, malarz związany ze słynnym i legendarnym wydawnictwem Hasegawa, a następnie – z jakichś tajemniczych powodów – całkowicie zapomniany. Nie wiadomo o nim nic, z wyjątkiem faktu, że współpracował z

Hasegawa w epoce Meiji (czas otwarcia granic Japonii) oraz że stworzył ilustracje do pieśni *Oyuchasan*.

Faktycznie nie są znane pozostałe jego dzieła ani też późniejsze losy. Baison był bardzo uzdolnionym artystą, a jego drzeworyty nie przypominają żadnych innych, są naprawdę wyjątkowo oryginalne i wykonane po mistrzowsku.

Zagadka Baisona dręczyła mnie latami i dlatego narodziła się ta opowieść. Wszystkie badania i wnioski, mające na celu ustalenie pochodzenia drzeworytów, ich autora i jego losów są autentyczne i zostały wiernie przedstawione w tekście. Za wyjątkiem, ma się rozumieć, ostatecznego kształtu miłosnej historii japońskiej gejszy i europejskiego oficera, zbrodni oraz związanej z nią afery finansowej. Te wątki są fikcją literacką i stanowią osobistą wizję lub sugestię autorki na temat możliwych losów postaci związanych z „gdańskimi” drzeworytami.

Wątek biznesmena i polityka Jana Gniadego oraz jego przodków jest fikcyjny. Osoby takie nie istnieją ani nigdy nie istniały. Ani nie będą istnieć.

Przynajmniej taką mam nadzieję...

Emil Żądło i jego przyjaciele żyją wyłącznie w głowie autorki oraz na kartach książek o nim, choć... co do samego Emila, to nie byłabym tego aż tak bardzo pewna.

Jest postacią wyjątkowo niepoprawną i chyba złaknioną ucieleśnienia.

Z wyrazami szacunku

Autorka

Gdańsk, grudzień 2008 r.

Więcej informacji na temat drzeworytów opisanych w książce można znaleźć w dwóch artykułach autorki, opublikowanych w miesięczniku „Spotkania z zabytkami” w numerach z września 2007 oraz z lipca 2008 r.